



CZARNO-

DOJKKA

BLONDYNKA

POWIEŚĆ Z PHILIPEM MARLOWE'EM

BENJAMIN

BLACK

O książce

Po śmierci Raymonda Chandlera w zapiskach pisarza odnaleziono tytuły planowanych przez niego opowiadań i powieści. Znalazł się wśród nich tytuł Czarnooka blondynka. Benjamin Black sięgnął po niego i stworzył powieść, pod którą Chandler z całą pewnością nie wstydziłby się podpisać.

Los Angeles. Leniwe popołudnie. Nic się nie dzieje. Philip Marlowe jest samotny jak nigdy dotąd, kiedy do jego biura wkracza czarnooka blondynka. Clare Cavendish, dziedziczka wielkiej fortuny, chce, by odszukał jej byłego kochanka, który zapadł się pod ziemię. Brak innych klientów – a może uroda kobiety? – sprawia, że Marlowe przyjmuje zlecenie i nie po raz pierwszy w życiu trafia do świata ludzi bogatych, którzy zrobią wszystko, by zachować swe przywileje.

**BENJAMIN
BLACK
CZARNOOKA
BLONDYNKA**

Z angielskiego przełożył
PAWEŁ LIPSZYC



Wydanie elektroniczne

Benjamin Black

Pseudonim Johna Banville'a, irlandzkiego pisarza, dziennikarza i scenarzysty. Powieści Banville'a, uważnego za jednego z najbardziej kreatywnych współczesnych pisarzy anglojęzycznych, cenionego za czarny humor i wnikliwość obserwacji, otrzymały wiele prestiżowych nagród, między innymi Bookera, Nagrodę Franza Kafki i Irlandzkiego PEN-Clubu.

Pod pseudonimem Benjamin Black pisarz opublikował dziesięć powieści kryminalnych, w tym siedem w cyklu z dublińskim patologiem Quirkim.

Tytuł oryginału:
THE BLACK EYED BLONDE

Copyright © John Banville Inc. and Raymond Chandler Limited 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Paweł Lipszyc 2017

Redakcja: Katarzyna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: © Elisabeth Ansley/Arcangel Images, Ysbrand Cosijn/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Meszka

ISBN 978-83-6578-184-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Dla Josepha Isaaca i Ruby Ellen

1

To było jedno z tych letnich wtorkowych popołudni, kiedy człowiek zastanawia się, czy ziemia przestała się obracać. Telefon na moim biurku wyglądał jak przedmiot, który wie, że jest obserwowany. Pod zakurzonymi oknami sunęły jezdnią samochody, a dobrzy mieszkańcy naszego miłego miasta, głównie panowie w kapeluszach, przechadzali się po chodniku donikąd. Przyglądałem się kobiecie na rogu Cahuenga i Hollywood, czekającej na zmianę światła. Długie nogi, wąski kremowy żakiet z poduszkami w ramionach, prosta i wąska granatowa spódnica. Kapelusik przywodził na myśl ptaka, który przycupnął na włosach z boku głowy i radośnie się tam umościł. Spojrzała w lewo, w prawo, znowu w lewo – kiedyś musiała być grzeczną dziewczynką – wreszcie przeszła przez zalaną słońcem ulicę, płynąc wdzięcznie na własnym cieniu.

Na razie okres należało uznać za chudy. Przez tydzień bawiłem się w ochroniarza faceta, który przyleciał z Nowego Jorku boeingiem 314 clipper. Niedogolony, nosił złotą bransoletę, a na małym palcu pierścień z rubinem wielkości jeżyny. Facet przedstawił się jako biznesmen, a ja postanowiłem mu uwierzyć. Bardzo zdenerwowany, obficie się pocił, ale nic się nie stało, a ja zainkasowałem honorarium. Potem Bernie Ohls z biura szeryfa skontaktował mnie z miłą starszą panią, której syn narkoman zwędził kolekcję rzadkich monet jej zmarłego męża. Aby odzyskać towar, musiałem użyć trochę siły, ale nic poważnego. Na

jednej z monet z kolekcji widniała głowa Aleksandra Wielkiego, na innej profil Kleopatry, z tym jej nochalem... Co oni wszyscy w niej widzieli?

Brzęczyk oznajmił, że drzwi od ulicy się otworzyły, potem usłyszałem, jak przez poczekalnię przechodzi kobieta i na chwilę zatrzymuje się pod drzwiami mojego biura. Stukot szpilek na drewnianej podłodze zawsze coś we mnie budzi. Swoim specjalnym modulowanym głosem – „Możesz mi zaufać, jestem detektywem” – miałem ją właśnie zaprosić, kiedy weszła bez pukania.

Z bliska okazała się wyższa niż widziana z okna – wysoka, szczupła, o szerokich ramionach i wąskich biodrach, słowem: mój typ. Kapelusik miał maleńką woalkę z czarnego jedwabiu, sięgającą czubka nosa, ładnego czubka bardzo ładnego nosa, arystokratycznego, lecz nie za wąskiego ani niezbyt długiego, żadnego tam kinola Kleopatry. Pasujące do żakietu jasnokremowe rękawiczki do łokci uszyto ze skóry rzadkiego stworzenia, które spędziło krótki żywot na delikatnych susach po alpejskich turniach. Nieznajoma ładnie się uśmiechała, do pewnego stopnia przyjaźnie, a przy tym nieco krzywo, co nadawało uśmiechowi atrakcyjną sardoniczność. Włosy miała jasne, oczy zaś czarne, czarne i głębokie jak górskie jezioro; powieki misternie zwężyły się w kącikach. Czarnooka blondynka; nieczęsto widuje się takie połączenie. Starąłem się nie patrzeć na jej nogi. Najwyraźniej bóg wtorkowych popołudni uznał, że trzeba dodać mi otuchy.

– Nazywam się Cavendish – powiedziała.

Poprosiłem, żeby usiadła. Gdybym wiedział, że przyjdzie, uczesałbym się i skropił za uszami wodą kolońską Bay Rum. W tej sytuacji musiała jednak brać mnie takim, jakim jestem. Zresztą to, co widziała, chyba nie budziło jej sprzeciwu. Usiadła na wskazanym przeze mnie krześle przed biurkiem. Potem, palec po palcu, ściągnęła rękawiczki, przyglądając mi się bacznie czarnymi oczami.

– Czym mogę służyć, panno Cavendish? – spytałem.

– Pani.

- Przepraszam... pani.
- Przyjaciółka opowiadała mi o panu.
- Ach tak? Mam nadzieję, że dobre rzeczy.

Poczęstowałem ją camellem z paczki na biurku, którą trzymałem dla klientów, ale otworzyła torebkę z lakierowanej skóry, wyjęła srebrną papierośnicę i kliknęła kciukiem zatyczkę. Sobranie black russian, cóż innego? Kiedy podałem jej ogień nad biurkiem, pochyliła się w przód, przekrzywiła głowę z przymkniętymi powiekami i na moment dotknęła mojej dłoni opuszką palca. Z uznaniem spojrzałem na perłowy różowy lakier na paznokciach, ale nic nie powiedziałem. Oparła się na krzesło, założyła nogę na nogę pod wąską granatową spódnicą i raz jeszcze posłała mi chłodne, szacujące spojrzenie. Nie spieszyła się w formowaniu opinii na mój temat.

- Chciałabym, żeby pan kogoś znalazł – oświadczyła.
- Tak. Kto to taki?
- Człowiek o nazwisku Peterson, Nico Peterson.
- To pani przyjaciel?
- Kiedyś był moim kochankiem.

Jeśli oczekiwała, że w wyniku szoku połknę własne zęby, spotkało ją rozczarowanie.

- Był?
- Tak. W dość tajemniczy sposób zniknął, nawet się nie żegnając.
- Kiedy to się stało?
- Dwa miesiące temu.

Dlaczego zwlekała tak długo przed przyjściem do mnie? Postanowiłem nie pytać, przynajmniej na razie. Osobliwie się czułem, obserwowany przez chłodne oczy zza przejrzystej czarnej siateczki. Jakby ktoś przyglądał mi się z ukrycia, przyglądał się i oceniał.

- Powiedziała pani, że zniknął – podjąłem. – To znaczy: z pani życia czy całkowicie?
- Wygląda na to, że jedno i drugie.

Czekałem na więcej, ale ona tylko cofnęła się jeszcze odrobinę i znowu się uśmiechnęła. Ten uśmiech; wyglądał tak, jakby dawno temu przytknęła do niego zapaloną zapałkę i pozwoliła mu się żarzyć. Urocza wysunięta górna warga przypominała wargę niemowlęcia; mięciutka, trochę nabrzmiała, jakby niedawno sporo całowała, i to bynajmniej nie małe dzieci. Najwyraźniej wyczuła, że z powodu woalki czuję się nieswojo, bo odgarnęła ją z twarzy. Bez woalki oczy robiły jeszcze większe wrażenie: matowy odcień focznej czerni sprawił, że coś ugrzęzło mi w gardle.

– Proszę opowiedzieć mi o tym Petersonie – powiedziałem.

– Dość wysoki, jak pan. Brunet. Przystojny, w typie słabeusza. Nosi głupawy wąsik w stylu Dona Ameche. Ładnie się ubiera, a przynajmniej tak było, kiedy miałam coś do powiedzenia w tej kwestii.

Z torebki wyjęła krótką hebanową firkę i zabrała się do umieszczania w niej papierosa. Zgrabne, smukłe palce, a przy tym silne.

– Czym się zajmuje? – zapytałem.

Spojrzała na mnie, a w jej oczach błysnęły stalowe ogniki.

– Pyta pan: z czego żyje? – Po namyśle powiedziała: – Widuje się z ludźmi.

Tym razem to ja oparłem się na krześle.

– Co pani ma na myśli?

– To, co mówię. Prawie zawsze, kiedy się spotykaliśmy, właśnie musiał pilnie wyjść. „Muszę zobaczyć się z pewnym facetem”. „Jest gość, z którym muszę się zobaczyć”. – Miała talent aktorski; zaczynałem budować sobie obraz pana Petersona. Chyba nie był w jej typie.

– Zajęty jegomość – stwierdziłem.

– Może i zajęty, ale, obawiam się, raczej bezowocnie. W każdym razie nie zauważyłby pan rezultatów jego zabiegów; ja z pewnością ich nie widziałam. Zapytany, mówi, że jest agentem gwiazd. Ludzie, z którymi musiał się tak pilnie spotykać, zazwyczaj mieli związek z jedną z wytwórni filmowych.

W ciekawy sposób mieszała czasy. Tak czy inaczej, odniosłem wrażenie, że ten Peterson to dla niej pieśń przeszłości. Po co więc chciała go znaleźć?

– Działa w branży filmowej? – spytałem.

– Nie powiedziałabym, że w. Raczej skrobie na obrzeżach. Odniósł pewien sukces z Mandy Rogers.

– Powinienem znać to nazwisko?

– Gwiazdka, pierwsza naiwna, jak by powiedział Nico. Niech pan sobie wyobrazi Jean Harlow bez talentu.

– Jean Harlow miała talent?

To wywołało jej uśmiech.

– Nico jest święcie przekonany, że wszystkie jego gęsi to łabędzie.

Wyjąłem fajkę i nabiłem. Nagle uzmysłowiłem sobie, że w mieszance znajduje się tytoń Cavendish. Postanowiłem nie dzielić się z nią tym spostrzeżeniem szczęśliwego zbiegu okoliczności, bo wyobraziłem sobie wymuszony uśmiech i towarzyszące mu pogardliwe drgnięcie kącika ust.

– Długo pani zna tego pana Petersona? – spytałem.

– Niedługo.

– Jak długie jest niedługo?

Wzruszyła ramionami, a raczej ledwo zauważalnie uniosła prawe ramię.

– Rok? – Zabrzmiało to jak pytanie. – Niech pomyślę. Poznaliśmy się latem. Chyba w sierpniu.

– Gdzie to było? Gdzie się poznaliście?

– W klubie Cahuilla. Zna go pan? W Palisades. Tereny do gry w polo, baseny, mnóstwo pięknych i bogatych. To takie miejsce, gdzie nie pozwoliliby przekroczyć bramy z elektronicznymi zabezpieczeniami takiemu szlifibrukowi jak pan. – Ostatniego zdania nie wypowiedziała, ale i tak je usłyszałem.

– Pani mąż o nim wie? O pani i Petersonie?

– Naprawdę nie potrafię powiedzieć.

– Nie potrafi pani, czy nie chce?

– Nie potrafię. – Spojrzała na kremowe rękawiczki rzucone na kolana. – Pan Cavendish i ja mamy... jak to określić? Układ.

– Jakiego rodzaju?

– Mało pan domyślny, panie Marlowe. Na pewno wie pan, o jakim układzie mówię. Mój mąż lubi konie do polo i kelnereczki, niekoniecznie w tej kolejności.

– A pani?

– Lubię wiele rzeczy. Przede wszystkim muzykę. Mój mąż reaguje na muzykę w dwojaki sposób, w zależności od nastroju i stopnia trzeźwości. Muzyka przyprawia go o mdłości albo wywołuje śmiech, a on nie śmieje się melodyjnie.

Wstałem od biurka, zabrałem fajkę do okna i zapatrzyłem się w dal. W biurze po drugiej stronie ulicy sekretarka w bluzce w szkocką kratę, ze słuchawkami dyktafonu w uszach, pochylała się nad maszyną do pisania. Kilkakrotnie mijalem ją na ulicy. Ładna buzia, nieśmiały uśmiech. Ot, dziewczyna mieszkająca z matką i przyrządzająca klopsa na niedzielny lunch. To jest miasto samotnych ludzi.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani pana Petersona? – zapytałem, nie odrywając wzroku od pracującej panny Remington. W biurze zapadło milczenie, więc odwróciłem się. Najwyraźniej pani Cavendish nie miała zwyczaju mówić do czyichś pleców. – Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Często stoję w tym oknie, obserwując świat i jego obyczaje.

Wróciłem do biurka i usiadłem. Fajkę odłożyłem do popielniczki, splotłem dłonie i oparłem podbródek na knykcjach, żeby pokazać, jak pilnie umiem słuchać. Postanowiła zaakceptować ten żarliwy pokaz pełnej, niepodzielnej koncentracji.

– Już panu mówiłam, kiedy go ostatnio widziałam: jakieś dwa miesiące temu.

– Gdzie?

– Tak się składa, że w Cahuilla. W niedzielne popołudnie. Mój mąż był zajęty wyjątkowo wyczerpującym chukkerem. To jest...

– Runda polo. Tak, wiem.

Pani Cavendish pochyliła się i strzepnęła popiół z papierosa obok cybucha mojej fajki. Nad biurkiem uniosła się lekka woń perfum. Pachniały jak Chanel N° 5, ale dla mnie wszystkie perfumy pachniały jak Chanel N° 5, w każdym razie do tamtej chwili.

– Czy pan Peterson zdradzał oznaki tego, że zamierzał zrejterować? – zapytałem.

– Zrejterować? Cóż za osobliwe słowo.

– Uznałem, że brzmi mniej dramatycznie niż „zniknął”, jak się pani wyraziła.

Z uśmiechem skinęła nieznacznie głową, przyznając mi rację.

– Zachowywał się tak jak zwykle – powiedziała. – Był może nieco bardziej roztargniony, nawet zdenerwowany, choć może tak mi się teraz wydaje. – Podobał mi się jej sposób mówienia; przywodził na myśl porośnięte bluszczem mury czcigodnych uczelni oraz litery starych umów handlowych wykaligrafowanych na pergaminie. – Z pewnością nie dawał po sobie poznać, że zamierza... – Kolejny uśmiech. – Zrejterować.

Pogrążyłem się w rozmyślaniach, pozwalając, by widziała, jak myślę.

– Proszę mi powiedzieć: kiedy zdała sobie pani sprawę, że odszedł? To znaczy, kiedy pani uznała, że... – Przyszła moja kolej, żeby się uśmiechnąć. – Zniknął.

– Kilkakrotnie do niego dzwoniłam, ale nie odpowiadał. Potem do niego pojechałam. Nie odwołano dostaw mleka, na werandzie piętrzyły się gazety. Zostawianie rzeczy w ten sposób nie było w jego stylu. Pod pewnymi względami był uważny.

– Udała się pani na policję?

– Policję? – Otworzyła szeroko oczy i pomyślałem, że się roześmieje. – To na nic. Nico nie przepadał za policją i nie podziękowałby mi, gdybym

ich na niego napuściła.

– Dlaczego za nimi nie przepadał? – spytałem. – Miał coś do ukrycia?

– Czyż wszyscy czegoś nie ukrywamy, panie Marlowe? – Ponownie uniosła urocze powieki.

– To zależy.

– Od czego?

– Od wielu rzeczy.

Rozmowa zataczała coraz większe kręgi, prowadząc donikąd.

– Pani Cavendish, pozwoli pani, że spytam: jak pani sądzi, co się stało z panem Petersonem?

Znowu to ledwo zauważalne wzruszenie ramion.

– Sama nie wiem, co myśleć. Dlatego przyszedłem do pana.

Skinąłem głową – z nadzieją, że wyglądało to mądrze – sięgnąłem po fajkę i zacząłem wystukiwać resztki tytoniu. Fajka to bardzo przydatny rekwizyt, jeśli człowiek chce sprawiać wrażenie zamyślonego i mądrego.

– Czy mogę spytać, dlaczego tak długo zwlekała pani z przyjściem do mnie?

– Długo? Myślałam, że się odezwie, że pewnego dnia zadzwoni telefon i on odezwie się do mnie z Meksyku czy innego miejsca.

– Czemu akurat z Meksyku?

– No to z Francji, z Lazurowego Wybrzeża. Albo z jeszcze bardziej egzotycznego miejsca, na przykład z Moskwy, Szanghaju, sama nie wiem. Nico lubił podróżować. To koło jego niepokój. – Nieznacznie wychyliła się do przodu i spytała z pewnym zniecierpliwieniem: – Przyjmie pan tę sprawę, panie Marlowe?

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniłem. – Ale jeszcze nie nazywajmy tego sprawą.

– Jakie są pańskie warunki?

– Zwyczajowe.

– Nie wiem, jakie są zwyczajowe warunki.

Nie przypuszczałem, że je zna.

– Depozyt wysokości stu dolarów, dwadzieścia pięć dolarów dziennie plus wydatki w okresie, gdy prowadzę dochodzenie.

– Ile może trwać takie dochodzenie?

– To również zależy.

Pani Cavendish zamilkła na chwilę i raz jeszcze otaksowała mnie wzrokiem, aż nieco się stropiłem.

– Jeszcze nie zapytał pan o mnie.

– Zmierzałem do tego okrężną drogą.

– Cóż, oszczędzę panu pracy. Moje panięńskie nazwisko brzmi Langrishe. Słyszał pan o Langrishe Fragrances, Incorporated?

– Naturalnie. Firma perfumeryjna.

– Dorothea Langrishe jest moją matką. Już jako wdowa przyjechała tu ze mną z Irlandii i założyła w Los Angeles firmę. Skoro pan o niej słyszał, wie pan, jaki odniosła sukces. Pracuję dla niej, choć matka woli mówić, że pracuję z nią. W rezultacie jestem bardzo bogata. Chcę, żeby znalazł pan dla mnie Nico Petersona. To biedaczysko, ale moje własne. Zapłacę panu, ile pan zechce.

Przez moment zamierzałem znowu zająć się fajką, ale uznałem, że powtórzone przedstawienie będzie zbyt czytelne. Utkwiłem więc w mojej rozmówczynie puste spojrzenie.

– Jak już wspomniałem, pani Cavendish: sto dolarów, dwadzieścia pięć plus wydatki. Przy moim stylu pracy każda sprawa ma charakter wyjątkowy.

Uśmiechnęła się, ściągając usta w ciup.

– Sądziłam, że jeszcze nie chce pan nazywać tego sprawą.

Komentarz puściłem mimo uszu. Wysunąwszy szufladę, wyjąłem standardową umowę i pchnąłem ją ku niej po biurku końcem palca.

– Proszę to wziąć, przeczytać, a jeśli zgadza się pani na warunki, podpisać i mi zwrócić. Teraz proszę mi dać adres i numer telefonu pana Petersona. Jak również wszystko, co, pani zdaniem, może się okazać pomocne.

Przez chwilę patrzyła na umowę z taką miną, jakby zastanawiała się, czy ją wziąć, czy cisnąć mi w twarz. W końcu podniosła ją z biurka, starannie złożyła i schowała do torebki.

– Mieszka w West Hollywood, na tyłach Bay City Boulevard – powiedziała, ponownie otworzyła torebkę, wyjęła oprawiony w skórę notesik i cienki złoty ołówek. Napisawszy coś w notesiku, wyrwała kartkę i mi podała. – Napier Street. Proszę uważnie się rozglądać, bo inaczej pan ją przeoczy. Nico lubi ustronne miejsca.

– Z powodu nieśmiałości – dodałem.

Kiedy wstała, pozostałem za biurkiem i ponownie owionęła mnie woń perfum. Zatem nie Chanel, lecz Langrishe. Postanowiłem, że wytropię nazwę lub numer tych perfum.

– Potrzebuję też kontaktu z panią – rzuciłem.

– Zapisałam tam mój numer telefonu. – Wskazała trzymaną przeze mnie kartkę. – Proszę dzwonić, kiedy zajdzie potrzeba.

Przeczytałem adres: 444 Ocean Heights. Gdybym był sam, gwizdnąłbym. Jedynie ludzie z najwyższych sfer mogą sobie pozwolić na mieszkanie na prywatnych ulicach, tuż nad oceanem.

– Nie znam pani imienia – zauważyłem.

Z jakiegoś powodu oblała się lekkim rumieńcem, spuściła wzrok, potem szybko podniosła go znowu.

– Clare – powiedziała. – Bez „i”. Dostałam imię na cześć naszego ojczystego hrabstwa w Irlandii. – Z ironicznie-żałosnym grymasem dodała: – Moja matka jest dość sentymentalna na punkcie ojczyzny.

Kartkę z notesika schowałem do portfela i wyszedłem z biurka. Niezależnie od własnego wzrostu, przy pewnych kobietach czujesz się od nich niższy. Na Clare Cavendish patrzyłem z góry, ale odnosiłem wrażenie, że unoszę wzrok. Podała mi rękę i uściśniłem ją. Pierwszy dotyk dwojga ludzi, choćby najkrótszy, to naprawdę coś.

Odprowadziłem ją do windy, posłała mi ostatni przelotny uśmiech i znikła.

Po powrocie do biura znowu zająłem pozycję przy oknie. Pracowita jak pszczołka panna Remington nadal stukąła na maszynie. Siłą woli próbowałem ją skłonić, by na mnie spojrzęła, ale bez skutku. Zresztą, co bym zrobił? Pomachałbym jak kretyn?

Pogrążyłem się w rozmyślaniach o Clare Cavendish. Coś nie pasowało. Jako prywatny detektyw cieszę się pewną sławą, ale dlaczego córka Dorothei Langrishe z Ocean Heights i Bóg wie ilu jeszcze ekskluzywnych miejsc miałyby mi powierzać zadanie odnalezienia zaginionego mężczyzny? A przede wszystkim, dlaczego w ogóle zadała się z Nico Petersonem, który, jeśli jej opis odpowiadał rzeczywistości, musiał się okazać zwykłym tanim oszustem w drogim garniturze? Długie, zawiłe pytania, na których trudno się skupić, kiedy w pamięci ma się szczerę, mądre oczy Clare Cavendish i migoczące w nich ogniki rozbawienia.

Odwróciwszy się, ujrzałem w rogu biurka fifkę. Heban miał ten sam połyskliwy odcień czerni co oczy pani Cavendish. Zapomniała nie tylko o fifce, ale także o moim depozycie, ale to nie miało znaczenia.

2

Pani Cavendish miała rację: Napier Street nie afiszowała się, ale w porę ją dostrzegłem i skręciłem z bulwaru. Ulica wznosiła się łagodnie w stronę wzgórz majaczących w oddali w błękitnej mgiełce. Powoli sunąłem, odliczając numery domów. Ten należący do Petersona przypominał trochę japońską herbaciarnię, a przynajmniej moje wyobrażenie o japońskiej herbaciarni. Opasany werandą parterowy dom z ciemnej sosny czerwonej miał kryty łupkiem dach o kształcie ostrosłupa, z czterema łagodnie wznoszącymi się bokami zwieńczonymi kurkiem. Żaluzje w wąskich oknach opuszczono. Wszystko mówiło mi, że nikt tu od dawna nie mieszka, choć gazet już nie przybywało. Zaparkowawszy samochód, po trzech drewnianych stopniach wskoczyłem na werandę. Nasłonecznione ściany wydzielały zapach kreozotu. Nacisnąłem dzwonek, ale nie rozbrzmiał w środku, więc spróbowałem kołatki. Pusty dom potrafi wchłaniać odgłosy jak wyschnięty strumień wodę. Zbliżywszy oczy do przeszklonych drzwi, próbowałem zajrzeć przez koronkową zazdrostkę. Nie dostrzegłem nic prócz zwyczajnego salonu ze zwyczajnymi rzeczami.

– Nie ma go, bracie – rozległ się za mną głos.

Odwróciłem się. Starszy jegomość miał na sobie wyblakłe niebieskie ogrodniczki i koszulę bez kołnierzyka. Głowa w kształcie skorupki orzeszka ziemnego, duża czaszka, długi podbródek i zapadnięte policzki, do tego bezzębne, nieco rozdziawione usta. Tygodniowy siwy zarost połykiwał w słońcu. Taki mocno zapuszczony Gabby Hayes. Jedno oko

miał zamknięte, drugim, przymrużonym, przyglądał mi się, powoli poruszając szczęką jak przeżuwająca krowa.

– Szukam pana Petersona – wyjaśniłem.

Stary odwrócił głowę i splunął bez śliny.

– Powiedziałem ci, że nie ma go w domu.

Zszedłem po schodach. Zauważyłem, że trochę się zawahał, zastanawiając się pewnie, kim jestem i jakie mogę przynosić kłopoty. Wyjąłem papierosy i poczęstowałem go. Skwapliwie wziął jednego i przykleił sobie do dolnej wargi. Potarłem zapałkę o paznokciec kciuka i podałem mu ogień.

Z pobliskiej trawy wyskoczył świerszcz, jak kłown wystrzelony z armaty. Słońce mocno przypiekało, wiał gorący, suchy wiatr; cieszyłem się, że mam kapelusz. Stary stał z obnażoną głową, ale wyraźnie mu to nie wadziło. Głęboko zaciągnął się papierosem, zatrzymał dym w płucach, wreszcie wypuścił w kilku szarych smużkach.

Zużytą zapałkę cisnąłem w trawę.

– Nie powinienesz być tego robić – upomniał mnie stary. – Jak zaprószysz tu ogień, całe zachodnie Hollywood pójdzie z dymem.

– Znasz pana Petersona? – zapytałem.

– Jasne. – Ręką wskazał za siebie, na podupadającą chałupę w głębi ulicy. – Tam mieszkam. Czasami do mnie wpadał pogawędzić, częstował papierosami.

– Od jak dawna go nie ma?

– Niech pomyślę. – Znowu zmrużył oczy. – Ostatnim razem widziałem go chyba jakieś siedem, osiem tygodni temu.

– Przypuszczam, że nie wspominał, dokąd się wybiera.

Stary wzruszył ramionami.

– Nie widziałem, jak odjeżdża. Po prostu pewnego dnia zauważyłem, że go nie ma.

– Jak?

Spojrzał na mnie i potrząsnął głową, jakby miał wodę w uchu.

– Co: jak?

– Jak zauważyłeś, że go nie ma?

– Po prostu zniknął – rzucił i po chwili spytał: – Jesteś gliniarzem?

– Tak jakby.

– Co to znaczy?

– Prywatnym detektywem.

Stary zachichotał i charknął.

– Prywatny detektyw w ogóle nie jest gliniarzem. Może w marzeniach.

Westchnąłem. Kiedy słyszą, że pracujesz prywatnie, sądzą, że mogą ci wciskać każdy kit. Zresztą, pewnie tak jest. Stary szczerzył do mnie zęby w uśmiechu, zadowolony jak kura, co właśnie zniosła jajko.

Rozejrzałem się po ulicy. Tania knajpa Joe's. Pralnia Kwik Kleen. Warsztat samochodowy, gdzie mechanik grzebał we wnętrznościach bardzo marnie wyglądającego chevroleta. Wyobraziłem sobie, jak Clare Cavendish wysiada z eleganckiego auta i krzywi się na widok tej okolicy.

– Jakich ludzi tu sprowadzał? – spytałem.

– Ludzi?

– Przyjaciół. Kumpli od kieliszka. Znajomych z branży filmowej.

– Filmowej? – Stary zaczynał przypominać echo.

– Co ze znajomymi kobietami? Miał jakieś?

To pytanie wywołało gromki śmiech, ale nie był to odgłos miły dla ucha.

– Jakieś? – zaskrzeczał. – Słuchaj pan, ten gość miał tyle ciż, że nie wiedział, co z nimi robić. Prawie każdej nocy przywoził inną.

– Musiałeś uważnie się mu przyglądać.

– Po prostu go widywałem – odparował defensywnie i trochę się naburmuszył. – Robili taki rwetes, że mnie budzili. Pewnej nocy jedna z tych kobitek upuściła coś na chodniku, chyba butelkę szampana. Zabrzmiało to jak pocisk. Lalunia tylko się roześmiała.

– Sąsiedzi nie skarżyli się na te wybryki?

– Jacy niby sąsiedzi? – Stary spojrział na mnie z politowaniem i pogardą.

Skinąłem głową. Słońce nie chciało odpuścić. Otarłem kark chusteczką. W środku lata zdarzają się tu takie dni, kiedy słońce obrabia człowieka jak goryl banana.

– Cóż, dzięki – powiedziałem i wyminąłem starego.

Powietrze nad dachem mojego samochodu falowało. Wyobrażałem sobie gorący dotyk kierownicy. Czasami myślę o przewodzce do Anglii, gdzie ponoć nawet w lecie jest chłodno.

– Nie ty pierwszy o niego wypytujesz – odezwał się za mną stary.

– Serio? – Odwróciłem się.

– W zeszłym tygodniu węszyło tu dwóch Latynosów.

– Meksykanów?

– Przecież mówię. Dwóch. Wystrojeni od stóp do głów, ale Meksykanin w garniturze i eleganckim krawacie to nadal Meksykanin, nie?

Wcześniej słońce prażyło mi tylną, teraz przednią część ciała. Czułem pot zbierający się nad górną wargą.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Nie. Przyjechali samochodem, jakiego w życiu nie widziałem. Musiał być zrobiony u nich. Wysoki i szeroki jak łóżko w burdelu, z płóciennym dachem pełnym dziur.

– Kiedy to było?

– Dwa, trzy dni temu. Węszyli tu jakiś czas, zaglądali przez okna jak ty, potem wsiedli do samochodu i odjechali. – Kolejne splunięcie bez śliny. – Nie przepadam za Meksykanami.

– Coś podobnego.

Stary spojrział na mnie kwaśno i pociągnął nosem.

Ponownie się odwróciłem i ruszyłem do rozgrzanego auta.

– Myślisz, że on wróci? – spytał stary.

Znów się zatrzymałem. Czułem się jak gość weselny próbujący się uwolnić od Starego Żeglarza.

– Wątpię – odparłem.

– No, pewnie nikt specjalnie za nim nie tęskni. – Kolejne pociągnięcie nosem. – Mimo to go lubiłem. – Stary wypalił papierosa, a półcentymetrowy niedopałek rzucił w trawę.

– Nie powinieneś był tego robić – powiedziałem, wsiadając do samochodu.

Kiedy dotknąłem kierownicy, zdziwiłem się, że nie rozległ się syk.

3

Zamiast wrócić do biura, skręciłem za róg i udałem się do Barney's Beanery w poszukiwaniu czegoś chłodnego, co mógłbym w siebie wlać. W knajpie, nieco za artystowskiej jak na mój gust, spotykało się zbyt wielu gości ze słowem „artysta” wypisanym na całym ciele. Za barem wciąż wisiał stary, sfatygowany napis *Pedałowie: wynocha*. Zauważyłem, że gramatyka nie jest najmocniejszą stroną bywalców knajpy. Barman był jednak przyzwoitym facetem, który w ciągu niezliczonych nocy cierpliwie wysłuchiwał moich utyskiwań. Przedstawiał się jako Travis, choć nie wiem, czy było to jego imię, czy nazwisko. Potężnie zbudowany, z owłosionymi rękami, na lewym bicepsie miał misterny tatuaż z niebieską kotwicą oplecioną czerwonymi różami. Mimo to wątpię, czy kiedykolwiek pływał po morzu. Miał wielkie wzięcie u pedałów, którzy często odwiedzali bar pomimo wywieszki, a może z jej powodu. Travis opowiadał zabawną historię o Errolu Flynnie; pewnej nocy Flynn zrobił tam coś z wężem, którego hodował w bambusowej skrzynce, ale nie pamiętam pointy.

Zająwszy miejsce na stołku przy barze, zamówiłem meksykańskie piwo. Nieopodal stała miska z jajkami na twardo. Zjadłem jedno z dużą ilością soli. Sól oraz suche żółtko pozostawiły na języku kredowy posmak, poprosiłem więc o dolewkę tecate.

Wieczór dopiero się rozkręcał i w knajpie była zaledwie garstka klientów. Kiedy wszedłem, Travis, który nie miał zwyczaju przesadnie się spoufalać, pozdrowił mnie nieznacznym skinieniem głowy. Ciekawe,

czy wiedział, jak mam na imię. Pewnie nie. Prawie na pewno wiedział, z czego żyję, choć nie przypominałem sobie, by choćby raz o tym wspomniał. Gdy panował niewielki ruch, stał z dłońmi opartymi na barze, opuszczał masywną głowę i rozmarzonym wzrokiem patrzył przez otwarte drzwi na ulicę, jakby wspominał dawno utraconą miłość lub zwycięską walkę. Niewiele mówił. Nie potrafiłem stwierdzić, czy był tępy, czy bardzo mądry. Tak czy inaczej, lubiłem Trávisa.

Spytałem go, czy znał Petersona. Nie sądziłem, aby Barney's był knajpą w jego stylu, ale nie szkodziło spróbować.

– Mieszka na Napier – powiedziałem. – Przynajmniej do niedawna tam mieszkał.

Travis powoli wrócił z zaułka wspomnień.

– Nico Peterson? Jasne, że go znam. Czasem wpadał tu po południu, wypijał piwo i zjadał jajko, dokładnie tak jak ty.

Po raz drugi połączono mnie z Petersonem – Clare Cavendish wspominała, że był wysoki jak ja – i choć nie było to istotne podobieństwo, nie sprawiało mi to przyjemności.

– Jakim on jest facetem? – zapytałem.

Barman wzruszył ramionami, napinając potężne mięśnie. Krótka gruba szyja wystawała z obcisłej czarnej koszulki jak hydrant.

– Typ playboya – powiedział. – Przynajmniej za takiego chce uchodzić. Bawidamek z wąsikami i włosami ułożonymi brylantyną w śliczną falę. Poza tym jest zabawny, zawsze potrafi rozbawić lalunie.

– Przyprawiał tu swoje dziewczyny?

Travis wychwycił sceptyczny ton mego głosu. Barney's nie nadawał się na podrywanie stylowych dam.

– Czasami – rzucił z krzywym uśmiechem.

– Jedna z nich to dość wysoka blondynka o czarnych oczach i ustach zapadających w pamięć.

– To mogłaby być każda z nich – odparł Travis z tym samym ostrożnym uśmiechem.

– Ta akurat ma klasę. Wysławia się wytwornie, jest bardzo szykowna, chyba zbyt szykowna jak na Petersona.

– Przykro mi. Jeżeli kobiety są tak atrakcyjne, jak mówisz, nie przyglądam się im zbyt dokładnie. To rozprasza.

Travis był prawdziwym profesjonalistą. Przyszło mi też na myśl, że może nie przypadkiem nie zauważał kobiet, a za wywieszką za barem też nie przepadał, z osobistych powodów.

– Kiedy ostatnio tu wpadł? – spytałem.

– Nie widziałem go od jakiegoś czasu.

– Czyli...

– Parę miesięcy. Dlaczego cię to interesuje? Zniknął?

– Najwyraźniej wyjechał.

– To dzisiaj przestępstwo? – W oczach Travisa błysnęło rozbawienie.

Kręcąc szklanką piwa, utkwilem w niej wzrok.

– Ktoś go szuka – wyjaśniłem.

– Dama z ustami zapadającymi w pamięć?

Przytaknąłem. Jak już wspomniałem, lubiłem Travisa. Mimo rozmiarów miał w sobie coś czystego i schludnego, utrzymywał się w formie; może jednak był marynarzem. Nigdy nie poczułem, że mogę o to zapytać.

– Pojechałem do niego do domu, ale nic nie znalazłem – powiedziałem.

Klient dawał jakieś znaki z drugiej strony baru, więc Travis poszedł go obsłużyć. Siedziałem i rozmyślałem o tym i owym, na przykład dlaczego pierwszy łyk piwa zawsze smakuje znacznie lepiej niż drugi? Z powodu skłonności do takich filozoficznych rozważań cieszyłem się reputacją detektywa ludzi myślących. Trochę myślałem też o Clare Cavendish, ale, podobnie jak Travisa, rozpraszała mnie, powróciłem więc do kwestii piwnej. Może odpowiedź tkwiła w temperaturze. Nie tyle drugi łyk był znacznie cieplejszy niż pierwszy, ile usta, po początkowym chłodnym przepłukaniu, wiedziały, czego się spodziewać

za drugim razem, i przygotowywały się, przez co zniknął element zaskoczenia, a tym samym przyjemność znacznie się osłabiała. Hm. Rozumowanie wydawało się przekonujące, ale czy zadowoliło takiego pedanta jak ja? Na szczęście wrócił Travis, mogłem więc dać wytchnienie szarym komórkom.

– Właśnie sobie przypomniałem, że nie jesteś pierwszym człowiekiem, który pyta o naszego przyjaciela Petersona – powiedział.

– Ach tak?

– Parę tygodni temu przyszli tu dwaj Meksykanie i pytali mnie, czy go znam.

Z pewnością ci sami, w samochodzie z dziurami w dachu.

– Jakiego rodzaju Meksykanie? – spytałem.

Posłał mi zamyślony uśmiech.

– Po prostu Meksykanie. Wyglądali na biznesmenów.

Biznesmeni. Jasne. Jak mój facet z Nowego Jorku z pierścieniem na małym palcu.

– Wyjaśnili, dlaczego go szukają?

– Nie. Pytali tylko, czy tu bywa, kiedy był ostatnio i takie tam. Nie mogłem im powiedzieć więcej niż tobie. Nie poprawiło im to humoru.

– Czyli dwóch smętnych gości?

– Wiesz, jacy są Meksykanie.

– Tak, nie są to najbardziej czytelnicy ludzie na świecie. Długo tu zabawili?

Travis wskazał dłonią moją szklanę.

– Jeden wypił piwo, drugi wodę. Odniosłem wrażenie, że mają misję.

– Serio? Jaką misję?

Zapatrzył się w sufit.

– Trudno powiedzieć, ale mieli to poważne spojrzenie, od którego błyszczały oczy... wiesz, co mam na myśli?

Nie wiedziałem, mimo to przytaknąłem.

– Sądzisz, że ich misja mogłaby mieć poważne konsekwencje dla naszego pana Petersona?

– Tak – przyznał Travis. – Jeden z nich bawił się sześciostrzałowym rewolwerem z rękojeścią z masy perłowej, a drugi dłubał w zębach nożem.

Nie sądziłem, że stać go na ironię.

– To jednak dziwne – powiedziałem. – Peterson nie wygląda mi na faceta, który zadaje się z meksykańskimi biznesmenami.

– Na południe od granicy jest wiele możliwości.

– Tu akurat masz rację.

Sięgnął po moją pustą szklankę.

– Chcesz jeszcze jedno?

– Nie, dzięki. Nie chciałbym wpaść w amok.

Zapłaciłem, zlałem ze stołka i wyszedłem na wieczorne powietrze. Nieco się ochłodziło, ale cuchnęło spalinami, a dzień zostawił mi na zębach ziarnisty osad. Zostawiłem Travisowi wizytówkę i poprosiłem, żeby się odezwał, jeśli dowie się czegoś o Petersonie. Nie zamierzałem czuć przy telefonie, ale przynajmniej Travis znał teraz moje nazwisko.

Pojechałem do domu. W domach na wzgórzach zapalały się światła, przez co wydawało się, że jest później, niż było. Nisko nad horyzontem wisiał sierp księżycy okolony brudnymi niebieskimi chmurami.

Wciąż miałem dom w Laurel Canyon. Właścicielka wyjechała na dłużej do owdowiałej córki w Idaho, gdzie postanowiła zostać, może z powodu kartofli. W liście napisała mi, że mogę mieszkać w domu, jak długo zechcę. Tak więc zapaściłem korzenie na mojej grzędzie na wzgórzu, przy Yucca Avenue, z eukaliptusami po drugiej stronie ulicy. Nie do końca wiedziałem, jak się z tym czuję. Czy naprawdę chciałem spędzić resztę życia w wynajętym domu, gdzie jedynymi rzeczami, które

mogłem uznać za własne, był wierny dzbanek do kawy i szachy ze zmatowiałej kości słoniowej? Pewna kobieta chciała za mnie wyjść i odciągnąć mnie od tego wszystkiego, piękna i bogata kobieta, jak Clare Cavendish. Mimo to kurczowo trzymałem się niezależności, choć nie w pełni sprawiała mi radość. Yucca Avenue to nie Paryż, gdzie biedna mała leczyła posiniaczone serce, przynajmniej tak słyszałem.

Dom miał odpowiednią wielkość, ale w wieczory takie jak ten przypominał norę Białego Królika. Zaparzyłem mocną kawę, wypilem filiżankę i przez jakiś czas wałęsałem się po salonie, starając się nie odbijać od ścian. Potem wypilem jeszcze jedną kawę, wypaliłem jeszcze jednego papierosa, ignorując gęstniejący granatowy zmierzch za oknem. Pomyślałem, że rozegram jeden z mniej strasznych debiutów Alechina i zobaczę, dokąd mnie zaprowadzi, ale zabrakło mi odwagi. Nie mam obsesji na punkcie szachów, ale lubię tę grę, podobają mi się niezbędne w szachach skupiony chłód i myślowa elegancja.

Sprawa Petersona dręczyła mnie, a przynajmniej jej część związana z Clare Cavendish. Nie opuszczało mnie przekonanie, że pani Cavendish zwróciła się do mnie w podejrzany sposób. Nie potrafiłem powiedzieć dlaczego, ale czułem, że ktoś mnie wystawia. Przecież piękna kobieta nie przychodzi z ulicy i nie prosi o znalezienie jej zaginionego chłopaka; to się tak nie odbywa. Ale właściwie jak odbywa się coś takiego? Przecież w całym kraju pełno jest biur podobnych do mojego, w których codziennie mogą się pojawiać piękne kobiety i prosić dokładnie o to biednych frajerów, takich jak ja. Nie wierzyłem w to jednak. Po pierwsze, kraj nie mógł się poszczycić dużą liczbą takich kobiet jak Clare Cavendish. Prawdę mówiąc, wątpilem, czy choćby jedna mogła jej dorównać. Jeśli mówiła prawdę, to dlaczego zadawała się z taką szumowiną jak Peterson? Jeśli się z nim zadawała, czemu bez śladu zażenowania zdawała się na łaskę – już miałem powiedzieć „rzucała się w objęcia”, ale w porę się powstrzymałem – prywatnego detektywa i błagała go, żeby odnalazł zaginionego ptaszka? No dobra, nie błagała.

Postanowiłem, że nazajutrz pogrzebię trochę w historii pani Clare Cavendish, z domu Langrishe. Na razie musiałem się zadowolić telefonem do sierżanta Joego Greena z centralnego wydziału zabójstw. Kiedyś Joe nosił się z zamiarem oskarżenia mnie o współudział w zabójstwie pierwszego stopnia, a taka rzecz cementuje relacje między ludźmi. Nie nazwałbym jednak Joego przyjacielem, raczej ostrożnym znajomym.

Kiedy odebrał, wyraziłem podziw, że tak późno jeszcze pracuje, ale on tylko zadyszał w słuchawkę i spytał, czego chcę. Podałem nazwisko i adres Nico Petersona. Nic mu to nie mówiło.

– Kto to jest? – spytał kwaśno. – Playboy zamieszany w jedną z twoich spraw rozwodowych?

– Wiesz, że nie prowadzę spraw rozwodowych, sierżancie – odparłem lekkim, swobodnym tonem. Joe był z natury nieprzewidywalny. – To po prostu facet, którego próbuję namierzyć.

– Masz jego adres, prawda? Więc dlaczego nie zapukasz do jego drzwi?

– Już to zrobiłem. Nikogo nie ma w domu. Już od pewnego czasu.

Joe znowu zaczął dyszeć. Chciałem mu poradzić, żeby ograniczył palenie, ale poszedłem po rozum do głowy.

– Dlaczego się tym interesujesz? – spytał.

– Jego znajoma chciałaby wiedzieć, gdzie się podział.

W słuchawce rozległo się ni to prychnięcie, ni to chichot.

– To mi pachnie sprawą rozwodową.

Masz jednopasmowy umysł, Joe, pomyślałem. Potem powtórzyłem, że nie zajmuję się rozwodami i to nie jest tego rodzaju sprawa.

– Moja klientka chce tylko wiedzieć, gdzie on jest – powtórzyłem. – Powiedzmy, że jest sentymentalna.

– Kim jest ta damulka?

– Wiesz, że ci tego nie powiem, Joe. W grę nie wchodzi żadne przestępstwo. To prywatna sprawa.

Usłyszałem, jak zapala zapalną, zaciąga się papierosem i wypuszcza dym.

– Będę musiał zajrzeć do akt – odezwał się w końcu. Wyraźnie zaczął się nudzić. Nawet historia o kobiecie i zaginionym kochanku nie mogła na długo przykuć jego uwagi. Joe był dobrym gliniarzem, ale pracował już wiele lat i nie umiał dłużej się koncentrować. Obiecał, że zadzwoni, podziękowałem i odłożyłem słuchawkę.

Joe zadzwonił następnego dnia o ósmej rano, kiedy smażyłem kanadyjski bekon do jajek z grzankami. Znow miałem mu powiedzieć, że imponują mi jego godziny pracy, ale mi przerwał. Podczas gdy mówił, stałem przy kuchence ze słuchawką w dłoni, patrząc, jak brązowy ptaszek buszuje w gałęziach krzewu tekomy za oknem nad zlewem. Bywają takie chwile, gdy wszystko nieruchomieje, jak gdyby ktoś właśnie zrobił zdjęcie.

– W sprawie tego gościa, o którego pytałeś – powiedział Joe. – Mam nadzieję, że jego znajomej jest dobrze w czarnym. – Głośno odchrząknął. – Nie żyje. Zmarł... – Usłyszałem szelest kartek. – Dziewiętnastego kwietnia w Palisades, niedaleko tamtejszego klubu. Wpadł pod samochód, sprawca zbiegł. Gość leży w Woodlawn. Jeśli ona chce go odwiedzić, mam nawet numer kwatery.

4

Nie wiem, dlaczego dzielnicę nazywali Ocean Heights, bo chyba jedyną wysoką rzeczą były tu czynsze. Dom wcale nie był duży, o ile uważasz Pałac Buckingham za niewielką skromną siedzibę. Posiadłość nosiła nazwę Langrishe Lodge, chociaż trudno sobie wyobrazić coś mniej podobnego do domku myśliwskiego. Do budowy użyto całego mnóstwa różowego i białego kamienia; na maszcie na dachu dumnie powiewała flaga, okien było chyba z tysiąc. Całość wydała mi się dość szkaradna, ale nie jestem ekspertem w sprawach architektury. Z boku rosły wielkie drzewa, chyba jakaś odmiana dębu. Krótki podjazd prowadził na żwirowy owal przed domem, gdzie dałoby się urządzić wyścigi rydwanów. Skoro można dojść do czegoś takiego, pomagając kobietom, by ładnie pachniały, chyba wybrałem niewłaściwą branżę.

Po drodze myślałem o deklarowanej przez Clare Cavendish miłości do muzyki. Nie pociągnąłem tego wątku, nie spytałem, jaką muzykę lubi, a ona nie powiedziała, ale właściwie nie miało to znaczenia. Czy raczej miał znaczenie fakt, że przeszliśmy nad tą sprawą do porządku dziennego. Nie była to może najintymniejsza rzecz, jaką mogła mi powiedzieć – jak rozmiar butów albo to, w czym spała w nocy, lub też w czym nie spała. Mimo to słowa o muzyce miały swoją wagę, jak coś cennego, perła czy diament, który mi podała. Fakt, że przyjąłem je bez komentarza, a ona z zadowoleniem przyjęła moje milczenie, oznaczał, że mieliśmy teraz wspólny sekret, talizman, obietnicę na przyszłość. Potem jednak uznałem, że to wszystko brednie i myślenie życzeniowe.

Kiedy zaparkowałem oldsmobila na żwirze, zauważyłem młodego człowieka idącego ku mnie przez trawnik. Ścinał stokrotki kijem golfowym. Jego sportowy strój składał się z dwukolorowych butów do golfa i białej jedwabnej koszuli z luźnym kołnierzykiem. Ciemne włosy też opadały luźno na czoło, więc raz po raz odgarniał je nerwowym ruchem bladej smukłej dłoni. Szedł chwiejnie, lekko się zataczając, jakby miał słabe kolana. Gdy się zbliżył, spostrzegłem z zaskoczeniem, że ma czarne owalne oczy Clare Cavendish, choć dla niego były o wiele za ładne. Zobaczyłem też, że z bliska nie wygląda już tak młodo. Pewnie zbliżał się do trzydziestki, choć, oglądany pod światło, mógł uchodzić za dziewiętnastolatka. Zatrzymał się przede mną i z lekko szyderczym uśmiechem zlustrował mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Jesteś nowym szoferem?

– A wyglądam na szofera?

– Sam nie wiem – odparł. – Jak wyglądają szoferzy?

– Getry, czapka z lśniącym daszkiem, wyzywające spojrzenie proletariusza.

– Hm... nie masz getrów ani czapki.

Zauważyłem, że wokół niego roznosi się zapach drogiej wody kolońskiej, skóry i czegoś jeszcze, pewnie perfumowanej bibułki używanej do pakowania jajek Fabergé. A może lubił się skrapiać najlepszymi produktami mamusi. Naprawdę był cacany.

– Przyszedłem spotkać się z panią Cavendish.

– Ach, tak... – Zachichotał. – Czyli musisz być jednym z jej kochasiów.

– Jak oni...

– Toporne niebieskookie typy. Po głębszym zastanowieniu muszę stwierdzić, że też nie pasujesz. – Zerknął mi przez ramię na oldsmobila.

– Kochasie przyjeżdżają w szkarłatnych coupé. – Wymówił to słowo z francuska. – Czasem trafia się też silver wraith. Kim więc jesteś?

Niespiesznie zapaliłem papierosa. Z jakiegoś powodu to go rozbawiło i znów zarżał nieprzyjemnym śmiechem, który zabrzmiał sztucznie; za

wszelką cenę starał się uchodzić za twardziela.

– Musisz być bratem pani Cavendish – powiedziałem.

– Muszę? – Teatralnie otworzył szeroko oczy.

– W każdym razie musisz należeć do rodziny. Kim jesteś, rozpieszczonym synkiem mamusi czy czarną owcą?

– Nazywam się Edwards, Everett Edwards – oznajmił, pogardliwie zadzierając nosa. – Tak się składa, że Everett Edwards Trzeci.

– Chcesz powiedzieć, że było was już dwóch?

Trochę się rozluźnił, uśmiechnął, wzruszył ramionami.

– Durne imię, co? – rzucił i przygryzł wargę.

Tym razem ja wzruszyłem ramionami.

– Nie mamy wielkiego wyboru w kwestii naszych imion.

– A ty? Jak się nazywasz?

– Marlowe.

– Marlowe? Jak ten dramatopisarz? – Everett Edwards Trzeci przyjął aktorską postawę: odchylił się w bok od bioder w górę i drżącą ręką wskazał niebo. – Spójrz, spójrz, krew Chrystusa spływa z firmamentu! – zawołał, a dolna warga mu zadrżała. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie znajduję twoją siostrę? – spytałem.

Opuścił ramię i wrócił do swojej przygarbionej postawy.

– Jest gdzieś tutaj. Sprawdź w oranżerii. – Pokazał ręką. – O, tam.

Naburmuszony wyraz twarzy okazał się silniejszy od niego. Everett był tylko dużym dzieciakiem, rozpieszczonym i znudzonym.

– Dzięki, Everetcie Trzeci.

– Jeśli sprzedajesz ubezpieczenia, marnujesz czas! – zawołał, kiedy się oddalałem. Znowu zachichotał. Pomyślałem, że łatwiej będzie mu się żyło, jeśli z tego wyrośnie, może po pięćdziesiątce, kiedy zacznie chodzić w trzyczędownych garniturach, a w oko wetknie monokl.

Ruszyłem po chrzęszczącym żwirze wzdłuż bocznej ściany domu we wskazanym kierunku. Na lewo ode mnie rozciągał się ogród wielkości

małego parku miejskiego, tyle że lepiej utrzymany. Bryza przynosiła słodką woń róż, zapach skoszonej trawy i słonej wody pobliskiego oceanu. Zastanawiałem się, jak się mieszka w takim domu. Przechodząc obok okien, zajrzałem do środka. Pokoje, przynajmniej na ile dostrzegłem, były przestronne, wysokie i nienagannie urządzone. A jeśli człowiek chciał sobie klapnąć przed telewizorem z prażoną kukurydzą i kilkoma browarami, żeby obejrzeć mecz? Może na takie rozrywki urządzone pomieszczenia w piwnicy; sale bilardowe, pokoje do hulanki, tego rodzaju rzeczy. Podejrzewałem, że w Langrishe Lodge prawdziwe życie zawsze toczy się gdzie indziej.

Oranżeria, misterna konstrukcja ze stalowego szkieletu i giętego szkła, przylgnęła do tyłu domu jak olbrzymia przyssawka sięgająca pierwszego czy drugiego piętra. W środku ujrzałem wielkie palmy, przyciskające liście do szyb, jakby błagały o uwolnienie. W otwartych na oścież przeszklonych podwójnych drzwiach leniwie falowała na wietrze zasłona z białej gazy. Lato w tej okolicy nie daje się we znaki tak jak w mieście; tutejsi mieszkańcy mają własną porę roku. Odgarniając gazę, wszedłem do oranżerii. Ciężkie, gęste powietrze pachniało jak grubas po długiej gorącej kąpieli.

Nie od razu dostrzegłem Clare Cavendish. Częściowo zasłonięta nisko zwieszającymi się liśćmi palmy, siedziała na delikatnym krzeselku z kutego żelaza przy takim samym stoliku i pisała coś w notesie czy dzienniku w skórzanej oprawie. Zauważyłem, że pisze długopisem. Ubrana do tenisa, w bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami, krótką plisowaną spódniczkę, skarpetki i pantofle. Włosy upięła po bokach spinkami. Wcześniej nie widziałem jej uszu. To były ładne uszy, co przyznaję rzadko, ponieważ ta część ciała jest dla mnie tylko odrobinę mniej dziwaczna niż stopy.

Usłyszała, jak się zbliżam, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyłem w jej oczach coś trudnego do zdefiniowania. Na pewno zdziwienie – w końcu

przyszedłem bez uprzedzenia – ale coś jeszcze. Niepokój, może nawet niechęć, albo przez chwilę w ogóle mnie nie poznawała?

– Dzień dobry – powiedziałem najswobodniejszym tonem, na jaki mogłem się zdobyć.

Clare Cavendish szybko zatrzasnęła notes, potem, już wolniej, nałożyła nasadkę na długopis i z rozmysłem odłożyła na stolik gestem przywódcy państwa, który właśnie podpisał porozumienie pokojowe lub wypowiedzenie wojny.

– Przestraszył mnie pan, panie Marlowe.

– Przepraszam, powinienem był zadzwonić.

Wstała i cofnęła się, jakby chciała, by odgrodził nas stolik. Policzki miała lekko zarumienione, jak wczoraj, gdy spytałem ją o imię. Ludzie, którzy łatwo się czerwienią, nie mają lekko, bo łatwo się zdradzają. I tym razem z trudem powstrzymywałem się od patrzenia na jej nogi, ale dostrzegłem, że są szczupłe, zgrabne i mają barwę miodu. Na stoliku dostrzegłem kryształowy dzbanek z płynem w kolorze tytoniu.

– Napije się pan mrożonej herbaty? – spytała, dotykając ucha dzbanka opuszką palca. – Mogę zadzwonić po szklankę.

– Nie, dziękuję.

– Zaproponowałabym panu coś mocniejszego, ale chyba trochę za wcześnie... – Spuściła wzrok i przygryzła wargę w ten sam sposób jak Everett Trzeci. – Jakiś postęp w sprawie?

– Pani Cavendish, chyba powinniśmy usiąść.

Uśmiechnęła się słabo i nieznacznie pokręciła głową.

– Ja nie... – zaczęła, ale po chwili spojrzała nad moim ramieniem. – Ach, tutaj jesteś, kochanie – powiedziała nieco za głośno, z wymuszoną sympatią.

Odwróciłem się. W otwartych drzwiach oranżerii stał mężczyzna, podtrzymując dłonią zasłonę, i przez chwilę myślałem, że, podobnie jak Everett Trzeci, wygłosi kwestię ze starej sztuki. On jednak puścił zasłonę i wszedł do oranżerii, uśmiechając się bez wyraźnego powodu. Dobrze

zbudowany, choć nie wysoki, miał trochę krzywe nogi, szerokie barki i duże kanciaste dłonie. Kremowe bryczesy, wysokie buty z cielecej skóry, koszula tak biała, że aż lśniła, żółta jedwabna apaszka. Kolejny sportowy typ. Powoli nabierałem przekonania, że nie robili tu nic, tylko uprawiali sporty.

– Gorąco. Cholernie gorąco. – Dotychczas nawet nie spojrzał w moją stronę.

Clare Cavendish sięgnęła po dzbanek, ale mężczyzna ją uprzedził, wziął szklankę, napełnił do połowy mrożoną herbatą i wypił jednym haustem, odchylając głowę do tyłu. Cienkie, proste włosy miały kolor jasnego dębu. Scott Fitzgerald znalazłby dla niego miejsce w jednej ze swych słodko-gorzkich historii miłosnych. Właściwie mężczyzna przypominał nieco Scotta Fitzgeralda: przystojny, chłopięcy, z rysą fatalnej słabości charakteru.

Clare Cavendish przyglądała się mu, znowu przygryzając wargę. Jej usta należało uznać za prawdziwe dzieło sztuki.

– To jest pan Marlowe – przedstawiła mnie.

Mężczyzna drgnął z udanym zdziwieniem i rozejrzał się, z pustą szklanką w dłoni. Wreszcie utkwiał we mnie wzrok i nieznacznie zmarszczył czoło, jakby wcześniej mnie nie dostrzegł, ponieważ idealnie wtapiałem się w liście palmowe i szklane ściany oranżerii.

– Panie Marlowe, to jest mój mąż, Richard Cavendish.

Pan Cavendish obdarzył mnie uśmiechem tyleż obojętnym, ile pogardliwym.

– Marlowe – powiedział, wypróbując nazwisko jak monetę pośledniej wartości. Potem jeszcze bardziej się rozpromienił. – Czemu nie odłoży pan kapelusza?

Zapomniałem, że trzymam go w dłoni. Rozejrzałem się. Pani Cavendish podeszła, wzięła ode mnie kapelusz i odłożyła na stolik obok dzbanka. W obrębie trójkąta wyznaczanego przez naszą trójkę powietrze strzelało bezgłośnie jak pod wpływem prądu

elektrostatycznego. Mimo to Cavendish wyglądał na w pełni rozluźnionego.

– Poczęstowałaś gościa drinkiem?

– Tak, ale odmówiłem – rzuciłem, nim zdążyła odpowiedzieć.

– Odmówił pan, co? – Cavendish zachichotał. – Słyszałaś, kochanie? Dżentelmen odmówił. – Dolał sobie herbaty, wypił, odstawił szklanekę i skrzywił się. Zauważyłem, że jest o parę centymetrów niższy od żony. – Czym pan się zajmuje, panie Marlowe?

Tym razem Clare uprzedziła mnie.

– Pan Marlowe znajduje rzeczy – odparła.

Cavendish przekrzywił głowę i zerknął w górę na żonę, wypychając językiem policzek. Potem znów spojrział na mnie.

– Jakież to rzeczy pan znajduje, panie Marlowe? – zainteresował się.

– Perły – pospiesznie wyjaśniła żona, znowu pragnąc mnie uprzedzić, chociaż odpowiedź nawet nie przyszła mi jeszcze do głowy. – Zgubiłam ten perłowy naszyjnik od ciebie, to znaczy gdzieś go zawieruszyłam.

Zastanowił się nad jej słowami, tym razem wpatrując się w podłogę.

– I co robi? – spytał, nie patrząc na żonę. – Będzie się czołgał po podłodze w sypialni, zaglądał pod łóżko, wtykał nos w mysie dziury?

– Dick – odezwała się błagalnie. – To naprawdę nieważne.

Wtedy Cavendish utkwiał wzrok w żonie.

– Nieważne? Gdybym nie był dżentelmenem, jak obecny tu pan Marlowe, kuśliby mnie, żeby powiedzieć, ile kosztowała ta błyskotka. Oczywiście... – zwrócił się do mnie – gdybym to zrobił, przypomniałaby, że kupiłem naszyjnik za jej pieniądze. – Znów spojrział na żonę. – Prawda, kotku?

Na coś takiego nie było odpowiedzi, więc Clare Cavendish tylko patrzyła na męża z lekko opuszczoną głową i wysuniętą miękką dolną wargą, a ja pomyślałem, że właśnie tak musiała wyglądać jako bardzo młoda dziewczyna.

– Wystarczy prześledzić ruchy pańskiej żony – powiedziałem ostrożnie tonem, którego nauczyłem się w ciągu wieloletnich kontaktów z gliniarzami. – Sprawdzić miejsca, gdzie była w ostatnich dniach, sklepy, do jakich zaglądała, restauracje. – Wyraźnie czułem na sobie wzrok Clare, ale patrzyłem na Cavendisha, który gapił się w otwarte drzwi i powoli kiwał głową.

– Taa – rzucił. – Jasne. – Ponownie powiódł wzrokiem po oranżerii, zamrugął z roztargnieniem, opuszką palca dotknął brzegu pustej szklanki na stoliku i wreszcie wyszedł, pogwizdując pod nosem.

Jego żona i ja przez chwilę po prostu staliśmy. Słyszałem, jak Clare Cavendish oddycha. Wyobrażałem sobie jej płuca wypełniające się powietrzem i opróżniające się, delikatne różowe płuca w kruchej białej klatce. Ta kobieta wywoływała w mężczyźnie podobne myśli.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Drobiazg.

Prawą dłonią podtrzymywała się lekko oparcia żelaznego krzesła, jakby zrobiło się jej trochę słabo.

– Proszę mi opowiedzieć, czego pan się dowiedział – odezwała się, nie patrząc na mnie.

Bardzo chciałem zapalić, ale nie sądziłem, że powinienem to robić w tej wytwornej szklanej konstrukcji. To byłoby jak palenie papierosa w katedrze. Potrzeba nikotyny przypomniała mi o tym, co przyniosłem. Z kieszeni wyjąłem hebanową firkę i położyłem na stoliku obok kapelusza.

– Zostawiła ją pani u mnie w biurze – wyjaśniłem.

– Ach, tak, naturalnie. Nie używam jej często, jedynie dla efektu. Przychodząc do pana, byłam zdenerwowana.

– W takim razie dobrze to pani ukrywała.

– Chciałam to ukryć przede wszystkim przed sobą. – Wpatrywała się we mnie z uwagą. – Proszę powiedzieć, co pan odkrył, panie Marlowe – powtórzyła.

– Nie ma łatwego sposobu, żeby to powiedzieć. – Spojrzałem na swój kapelusz na stoliku. – Nico Peterson nie żyje.

– Wiem.

– Dwa miesiące temu wpadł pod samochód, kierowca zbiegł. To się stało... – Urwałem i spojrzałem na nią szeroko otwartymi oczami. – Co pani powiedziała?

– Że wiem. – Uśmiechnęła się do mnie, przekrzywiając głowę w lekko sardonycznym geście, jak to robiła poprzedniego dnia w moim biurze, z rękawiczkami złożonymi na kolanach i hebanową fifką trzymaną ukośnie, bez męża, który wprowadził ją w zdenerwowanie. – Może to pan powinien usiąść, panie Marlowe.

– Nie rozumiem – przyznałem.

– Oczywiście, że nie. – Clare Cavendish odwróciła się, sięgnęła po szklankę, z której pił jej mąż, przesunęła ją nieznacznie w bok, po czym odstawiła na pierwotne miejsce wyznaczone kręgiem wilgoci. – Przepraszam, powinnam była panu powiedzieć.

Wyjąłem papierosy; atmosfera świętości ulotniła się z oranżerii.

– Skoro wiedziała już pani, że nie żyje, po co pani do mnie przysłała.

Znowu odwróciła się do mnie i patrzyła w milczeniu, szukając odpowiednich słów.

– Rzecz w tym, panie Marlowe, że niedawno widziałam go na ulicy i bynajmniej nie wyglądał na martwego.

5

Idea świeżego powietrza przypadła mi do gustu. To znaczy, lubiłem myśleć, że przebywam wśród drzew, traw, ptaków w zaroślach i całej reszty. Czasem nawet lubiłem na to wszystko patrzeć z autostrady, na przykład przez przednią szybę. Jednak przebywanie na świeżym powietrzu, bez ochrony, podobało mi się już znacznie mniej. Słońce grzejące mi kark sprawiało, że czułem się nieswojo; nie chodziło tylko o to, że było mi gorąco, ale ogarniał mnie niepokój. Poza tym miałem poczucie, że obserwuje mnie zbyt wiele oczu, ukrytych wśród liści, zza płotów, z nor. W dzieciństwie nie przepadałem za przyrodą. Chłopcę wędrowni i młodzieńcze odkrycia rozgrywały się na ulicach. Chyba nie rozpoznałbym narcyza, gdybym go zobaczył. Toteż kiedy Clare Cavendish zaproponowała przechadzkę po ogrodzie, z trudem ukryłem niechęć. Ale oczywiście się zgodziłem. Gdyby zaprosiła mnie na wędrowkę po Himalajach, włożyłbym buty do wspinaczki i ruszyłbym za nią.

Po wyciągnięciu zawlecзки i rzuceniu mi granatu w postaci wiadomości o tym, że widziała Petersona, poszła się przebrać, a ja zostałem przy jednej z przeszklonych ścian i patrzyłem na białe obłoczki napływające znad oceanu. Oddalając się, Clare przelotnie dotknęła mojego nadgarstka trzema palcami, a ja wciąż je tam czułem. Jeżeli wcześniej podejrzewałem, że sprawa lekko cuchnie, teraz smród zwał z nóg.

Po piętnastu minutach i dwóch papierosach wróciła w białym lnianym żakiecie z watowanymi ramionami i spódnicy do łydek. Może i była Irlandką, miała jednak stuprocentowe opanowanie i chłodny wdzięk angielskiej róży. Ponieważ włożyła płaskie pantofle, górowałem nad nią wzrostem o dodatkowe parę centymetrów, nadal jednak miałem poczucie, że patrzę na nią z dołu. Nie dostrzegłem ani śladu biżuterii, nawet obrączki.

– Pewnie nie ma pan ochoty na spacer, prawda? – spytała, podchodząc do mnie cicho od tyłu. – Ale muszę wyjść, mój umysł lepiej pracuje na świeżym powietrzu.

Mogłem spytać, dlaczego tak jej zależy na sprawności umysłowej, ale tego nie zrobiłem.

O posiadłości Langrishe Lodge dało się powiedzieć jedno: przyroda była tu tak odległa od dziczy, jak to tylko możliwe, a przy tym wciąż pozostawała zielona, czy raczej byłoby tak, gdyby w większości nie zbrązowiała od słońca. Żwirową ścieżką ruszyliśmy po kątem prostym od domu w kierunku kępy drzew, które widziałem z szosy. Indygowe błyski w oddali wskazywały na ocean.

– Dobrze, pani Cavendish – zacząłem. – Kawa na ławę.

Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałem, a Clare zerknęła na mnie z ukosa, oblewając się lekkim rumieńcem, który zaczynał być już moim dobrym znajomym. Zmarszczyłem brwi, odchrząknąłem. Jak dzieciak na pierwszej randce, strzelałem gafę za gafą.

Odezwała się dopiero po przejściu kilkunastu kroków.

– Czy to nie dziwne, że poznaje się ludzi bez względu na miejsce, gdzie się akurat znajdujesz, niezależnie od okoliczności? Na przykład idziesz przez dworzec Union w godzinie szczytu i sto metrów przed sobą dostrzeżasz twarz, albo nawet nie twarz, wystarczy układ ramion, przechylenie głowy, i momentalnie wiesz, kto to jest, choćbyś nie widział tego człowieka wiele lat.

– To chyba kwestia ewolucji – podsunąłem.

– Ewolucji?

– Potrzeba odróżnienia przyjaciela od wroga nawet w najgęstszym lesie. Składamy się z instynktów, pani Cavendish. Uważamy się za istoty wyrafinowane, ale jest inaczej. Jesteśmy prymitywni.

– Cóż... – Zaśmiała się cicho. – Może pewnego dnia ewolucja zrobi z nas coś dobrego.

– Niewykluczone, ale pani i ja tego nie dożyjemy.

Na jej uśmiech padł cień i przez chwilę szliśmy w posępnym milczeniu.

– Ładne dęby – rzuciłem, wskazując głową w stronę linii drzew przed nami.

– Buki.

– Aha, w takim razie buki.

– Może pan wierzyć lub nie, ale dwadzieścia lat temu przywieziono je z Irlandii. Jeśli w grę wchodzi nostalgia, moja matka nigdy nie żałuje pieniędzy. Wtedy były tylko młodymi drzewkami, a teraz... proszę tylko spojrzeć.

– Tak, wystarczy spojrzeć. – Znów chciałem zapalić, ale i tym razem okolica nie wydawała się sprzyjająca. – Gdzie widziała pani Nico Petersona?

Nie odpowiedziała od razu. Idąc, wpatrywała się w czubki swych jakże stonowanych pantofli.

– W San Francisco. Pojechałam tam w interesach, w sprawach firmowych. Jechałam taksówką Market Street i nagle zobaczyłam, jak Nico idzie chodnikiem tym swoim szybkim krokiem; niewątpliwie pędził, żeby się z kimś zobaczyć. – Znowu ten stłumiony śmiech.

– Kiedy to było?

– Niech pomyślę. – Pomyślała. – W zeszły piątek.

– Czyli zanim pani do mnie przyszła?

– Oczywiście.

– Jest pani pewna, że to był on?

– O tak.

– Nie próbowała pani z nim porozmawiać?

– Zanim przyszło mi do głowy, co mam robić, znikł. Pewnie mogłam poprosić taksówkarza, żeby zawrócił, ale na ulicy panował tłok... wie pan, jakie jest San Francisco. Nie miałam nadziei, że go dogonię. Poza tym siedziałam jak sparaliżowana.

– Z powodu szoku?

– Nie, raczej zdziwienia. Nico chyba niczym nie mógłby mnie zszokować.

– Nawet zmartwychwstaniem?

– Nawet zmartwychwstaniem.

Na łąkach w oddali pojawił się jeździec pędzący w galopie. Potem zwolnił i znikł wśród drzew.

– To był Dick na swoim ulubionym koniu Spitfire.

– Ile on ma koni?

– Nie mam pojęcia. Sporo. Dzięki nim ma co robić. – Zerknąłem na nią i ujrzałem, jak kącik jej ust tężeje. – Wie pan, Dick robi, co może – dodała znużonym tonem. – Nie jest łatwo wżenić się w majątek, choć oczywiście wszyscy uważają inaczej.

– Wiedział o pani i Petersonie? – spytałem.

– Już panu mówiłam, że nie potrafię powiedzieć. Dick jest skryty. Prawie nie wiem, co sobie myśli, czego jest świadom.

W końcu dotarliśmy do drzew. Ścieżka skręcała w lewo, ale zamiast tam podążać, Clare ujęła mnie pod rękę i poprowadziła do czegoś, co nosi chyba nazwę zagajnika. Trzeba było miejsca takiego jak Langrishe Lodge, bym odświeżył słownictwo i zaczął nazywać rzeczy właściwymi określeniami. Ziemia pod naszymi stopami wyschła na wiór. Drzewa w górze szeleściły sucho; może tęskniły za ojczyzną, gdzie powietrze jest podobno stale wilgotne, a deszcz pada z lekkością wspomnień.

– Proszę mi opowiedzieć o sobie i Petersonie – powiedziałem.

Clare obserwowała nierówny grunt, uważnie stawiając kroki.

– Właściwie nie ma o czym mówić. Tak naprawdę to niemal o nim zapomniałam. To znaczy przestałam go wspominać albo przestałam za nim tęsknić. Nie łączyło nas zbyt wiele, kiedy żył... kiedy byliśmy razem.

– Gdzie się poznaliście?

– Już mówiłam: w klubie Cahuilla. Kilka tygodni później spotkałam go znowu, w Acapulco. Wtedy... – Kolejny rumieniec. – No... wie pan.

Nie wiedziałem, ale mogłem się domyślić.

– Dlaczego Acapulco?

– Czemu nie? To jedno z miejsc, dokąd się jeździ. Miejsce Nico.

– Ale nie pani?

– Niewiele miejsc mogę uznać za swoje, panie Marlowe. – Wzruszyła ramionami. – Łatwo się nudzę.

– A jednak się tam jeździ. – Bezskutecznie starałem się, by nie zabrzmiało to cierpko.

– Nie powinien pan mną gardzić. – Ona z kolei starała się, by wypadło to żartobliwie.

Na chwilę zakręciło mi się w głowie, jak to bywa w młodości, kiedy ze słów dziewczyny wynika, że jest tobą zainteresowana. Wyobraziłem sobie Clare w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym w Meksyku, na plaży, wylegującą się z książką na leżaku pod parasolem; Peterson przechodzi, staje, udaje zdziwienie na jej widok, proponuje, że przyniesie jej zimnego drinka od gościa w sombrero sprzedającego napoje w chacie pod palmami przy plaży. Właśnie w tej chwili, gdy wyszliśmy z zagajnika, naszym oczom ukazał się, niczym wyczarowany moimi myślami, ocean z długimi leniwymi falami, żerującymi piaskowcami i kominem statku na horyzoncie, ciągnącym nieruchomą smugę białego dymu. Clare Cavendish westchnęła i niemal bezwiednie mocno splotła rękę z moją.

– Boże, jak uwielbiam to miejsce – powiedziała z nieoczekiwaną żarliwością.

Spomiędzy drzew wyszliśmy na plażę. Trudno się szło po zbitym piasku. Dobrze wiedziałem, jak nie na miejscu jest mój ciemny garnitur i kapelusz. Clare kazała mi stanąć, przytrzymała się mojej ręki i pochyliła, żeby zdjąć buty. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby straciła równowagę i osunęła się na mnie, aż musiałbym ją chwycić. Takie głupstwa przychodzą człowiekowi do głowy w podobnych sytuacjach. Clare znowu ujęła mnie pod ramię i ruszyliśmy dalej. Buty niosła w dłoni, zawieszona na dwóch palcach. Powinna rozbrzmiewać muzyka, rzewne skrzypce, i facet z nazwiskiem kończącym się na samogłoskę powinien zawodzić o morzu, piasku, lecie i o tobie...

– Kto pani o mnie powiedział? – spytałem. Średnio mnie to interesowało, ale przez chwilę chciałem pomówić o czymś innym niż Nico Peterson.

– Przyjaciółka.

– Tak, wspominała pani, ale jaka przyjaciółka?

Clare znów przygryzła wargę.

– Tak się składa, że to ktoś, kogo dobrze pan zna – odparła w końcu.

– Ach tak?

– Linda Loring.

Na dźwięk tego nazwiska poczułem, jakby ktoś mnie spoliczkował.

– Pani zna Lindę Loring? – Próbowałem ukryć zdziwienie i w ogóle wszelkie emocje. – Skąd?

– Och, spotykałyśmy się tu i tam. Żyjemy w małym świecie, panie Marlowe.

– „My” to znaczy bogaci?

Czyżby znowu się zarumieniła? Owszem.

– Tak, chyba to właśnie miałam na myśli – odparła i po chwili dodała:

– Wie pan, to nie moja wina, że mam pieniądze.

– Nie moją sprawą jest obwiniać kogokolwiek o cokolwiek – powiedziałem zbyt pośpiesznie.

Moje myśli wciąż krążyły wokół Lindy Loring. W okolicach przepony furkotał mi motyl wielkości kurczaka.

– Sądziłem, że Linda jest w Paryżu.

– Bo jest. Rozmawiałam z nią przez telefon. Dzwonimy czasem do siebie.

– Żeby wymienić plotki o międzynarodowej śmietance towarzyskiej.

Clare uśmiechnęła się i z sympatią ścisnęła moją dłoń.

– Coś w tym rodzaju.

Na skraju miękkiego piasku, gdzie plaża przylegała do niskich wydm, stała wiata podobna do przystanku autobusowego. W środku znajdowała się ława z kilku topornych desek, którym słony wiatr mocno dał się we znaki.

– Usiądźmy na chwilę – zaproponowała Clare.

W cieniu było przyjemnie; od wody wiała miła bryza.

– To musi być prywatna plaża – stwierdziłem.

– Owszem, jak pan zgadł?

Zgadłem, ponieważ gdyby była publiczna, wiata zostałaby tak zdewastowana i zanieczyszczona, że nie przyszłoby nam do głowy w niej siadać. Uznałem, że Clare Cavendish należy do ludzi, których świat chroni przed swoim okropieństwem.

– Czyli powiedziała pani Lindzie o zniknięciu i nagłym zmartwychwstaniu Nico?

– Nie zdradziłam jej tak dużo jak panu.

– Niezbyt dużo się od pani dowiedziałem.

– Przyznałam się jej, że Nico i ja mieliśmy romans.

– Sądzi pani, że taka dziewczyna jak ona nie domyśliłaby się tego?

Proszę nie żartować, pani Cavendish.

– Wolałabym, żeby mówił pan do mnie Clare.

– Przykro mi, ale chyba nie mogę.

– Dlaczego?

Uwolniwszy dłoń z jej uścisku, wstałem z ławy.

– Ponieważ jest pani moją klientką, pani Cavendish. To wszystko... – Zatokę ręką łuk, wskazując domek, plażę i ptaszki krzątające się na skraju wody, gdzie kamyki syczały jak w ukropie. – To wszystko jest bardzo miłe, ładne i przyjazne. Fakt pozostaje jednak faktem: przyszła pani do mnie z historyjką o swoim zaginionym chłopaku, o tym, jak bardzo zależy pani na jego odnalezieniu, choć jest biedniutki. Potem okazuje się, że pan Peterson wyciął numer ze zniknięciem, co, z sobie tylko znanych powodów, pani przede mną zataiła. Następnie przedstawia mnie pani mężowi i daje do zrozumienia, jak bardzo panią unieszczęśliwia...

– Ja...

– Proszę dać mi skończyć, pani Cavendish, potem oddam pani głos. Przychodzę do pani uroczego domu...

– Nie zapraszałam tu pana. Mógł pan zadzwonić i umówić się ze mną w biurze.

– To całkowita prawda. Oto jednak jestem, przynoszę złe nowiny, przekonany, że dozna pani szoku, tymczasem okazuje się, że już pani wiedziała, co zamierzam zakomunikować. Potem zabiera mnie pani na miły spacer po pani zachwycającym ogrodzie, ujmuję mnie pani pod rękę, prowadzi na swoją prywatną plażę, gdzie oznajmia pani, że zna moją przyjaciółkę Lindę Loring, która poleciła pani moje usługi po tym, jak nie wyjaśniła jej pani, po co są pani potrzebne.

– Ależ wyjaśniłam!

– Połowicznie.

Clare chciała znowu zabrać głos, ale powstrzymałam ją, unosząc dłoń na wysokość jej twarzy. Kurczowo ścisnęła oburącz ławę, patrzyła na mnie z desperacją, a ja nie wiedziałem, czy jej wierzyć.

– Tak czy inaczej, to wszystko jest bez znaczenia – powiedziałem, czując nagły przypływ znużenia. – Ważne jest to, czego naprawdę pani ode mnie chce? Co, pani zdaniem, mogę dla pani zrobić i dlaczego, chcąc mnie do tego skłonić, musi pani udawać, że się we mnie zakochuje?

Jestem człowiekiem do wynajęcia, pani Cavendish. Przychodzi pani do mojego biura, opowiada o swoich kłopotach, płaci mi pani. Wtedy ruszam i próbuję rozwiązać pani problem, tak to działa. Nie ma w tym nic skomplikowanego. To nie jest *Przeminęło z wiatrem*. Pani nie jest Scarlett O’Harą, a ja tym... jak mu było, Butlerem.

– Rhett – podsunęła.

– Co takiego?

Wyraz desperacji zniknął z jej twarzy; odwróciła ode mnie wzrok i spojrzała nad plażą na fale. Clare potrafiła zamiatać pod dywan sprawy, które jej się nie podobały albo z którymi nie chciała mieć do czynienia, a ja zostawałem w niepewności. Tej umiejętności uczy jedynie życie w bogactwie.

– Ma pan na myśli Rhetta Butlera – wyjaśniła. – Właśnie tak nazywamy mojego brata.

– Everetta Trzeciego?

– Tak. Mówimy na niego Rett, bez „h”. – Uśmiechnęła się do siebie. – Nie potrafię wyobrazić sobie kogoś, kto mniej przypomina Clarka Gable’a. – Zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie zdziwiona. – Skąd pan zna Everetta.

– Nie znam. Wałęsał się markotnie po trawniku, kiedy przyjechałem. Wymieniliśmy kilka przyjaznych wyzwisk i pokazał mi, jak panią znaleźć.

– Ach, rozumiem. – Nie przestając marszczyć brwi, pokiwała głową i znów popatrzyła na ocean. – Kiedy był mały, przyprowadzałam go tu, żeby się bawić. Całymi popołudniami brodziliśmy w wodzie, budowaliśmy zamki z pasku.

– Powiedział, że nazywa się Edwards, nie Langrishe.

– Tak, mamy innych ojców. Matka ponownie wyszła za mąż po przyjeździe do Stanów. – Uśmiechnęła się z goryczą, opuszczając kąciki ust. – To małżeństwo się nie udało. Okazało się, że pan Edwards jest, jak to nazywali powieściopisarze, łowcą posagów.

– Nie tylko powieściopisarze – zauważyłem.

Skinęła ironicznie głową.

– Tak czy owak, pan Edwards się wymeldował. Przypuszczam, że zmęczyło go udawanie człowieka, jakim nie był.

– To znaczy? Oprócz tego, że był łowcą posagów.

– Nie był szczery i uczciwy. A jaki był? Hm... chyba nikt tego nigdy nie wiedział, włącznie z nim.

– Więc odszedł.

– Odszedł. Wtedy matka włączyła mnie w życie firmy, chociaż byłam jeszcze bardzo młoda. Okazało się, że mam dryg do sprzedaży perfum, co zdziwiło wszystkich, a najbardziej mnie.

Z westchnieniem usiadłem obok niej na ławie.

– Mogę zapalić? – zapytałem.

– Proszę.

Wyjąłem srebrną papierośnicę z monogramem. Nigdy nie dowiedziałem się, czyj to monogram; kupiłem ją w lombardzie. Otworzywszy ją, poczęstowałem panią Cavendish, ale pokręciła głową. Zapaliłem. Przyjemnie się pali nad morzem, gdzie słone powietrze przesyca tytoń świeżą wonią. Tego dnia papieros przywołał myśli o młodości, o tyle dziwne, że nie wychowałem się nad oceanem.

– Skąd pan pochodzi, panie Marlowe? – zapytała, jakby w niesamowity sposób potrafiła czytać w moich myślach. – Gdzie pan się urodził?

– W Santa Rosa. To miasteczko na odludziu, na północ od San Francisco. Dlaczego pani pyta?

– Och, sama nie wiem. Zawsze wydaje mi się, że ważne jest wiedzieć, skąd ktoś pochodzi. Pan tak nie uważa?

Odchyliłem się na szorstką drewnianą ścianę wiaty, łokieć ręki z papierosem oparłem na lewej dłoni.

– Jest pani dla mnie zagadką, pani Cavendish – powiedziałem.

– Naprawdę? – spytała rozbawiona. – Czemuż to?

– Już mówiłem: jestem do wynajęcia, ale pani rozmawia ze mną jak z człowiekiem, którego znała pani całe życie, albo z kimś, kogo chciałaby pani znać przez resztę życia. Co jest grane?

Przymknęła oczy, zamyśliła się, w końcu zerknęła na mnie spod rzęs.

– Chodzi chyba o to, że nie jest pan taki, jak się spodziewałam.

– Czego się pani spodziewała?

– Kogoś twardego i wygadanego, jak Nico. Ale pan wcale taki nie jest.

– Skąd pani wie? Może gram potulnego misia, podczas gdy tak naprawdę jestem jadowitą żmiją.

Na moment zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Aż tak bardzo nie mylę się w ocenie ludzi, choć dowody świadczą przeciwko mnie.

Nie zauważyłem wprawdzie, by się poruszyła, ale jej twarz znalazła się bliżej mojej. W tej sytuacji mogłem tylko ją pocałować. Nie opierała się, ale i nie odpowiedziała. Po prostu siedziała, przyjęła pocałunek, a kiedy się cofnąłem, uśmiechnęła się w zamyśleniu. Nagle bardzo dojmująco uświadomiłem sobie szum fal, syk kamyków i krzyki mew.

– Przepraszam, nie powinienem był tego robić – powiedziałem.

– Dlaczego? – spytała cicho, prawie szeptem.

Wstałem z ławy, cisnąłem niedopałek na piasek i zdeptałem.

– Chyba powinniśmy wracać – rzuciłem.

W drodze powrotnej przez zagajnik znowu wzięła mnie pod rękę. Sprawiała wrażenie całkiem rozluźnionej, aż zacząłem wątpić, czy do tego pocałunku rzeczywiście doszło. Po chwili wyszliśmy na trawnik i naszym oczom ukazał się dom w całej upiornej okazałości.

– Ohydny, prawda? – Clare raz jeszcze odczytała moje myśli. – Wie pan, ten dom nie należy do mnie ani do Richarda, ale do mojej matki. To kolejny powód ponuractwa mojego męża.

– Ponieważ musi mieszkać z teściową?

– To nie może być przyjemne dla mężczyzny, w każdym razie takiego jak on.

Zatrzymałem się, więc musiała zrobić to samo. W butach miałem piasek, w oczach drobinki soli.

– Pani Cavendish, dlaczego pani mi to wszystko mówi? Cemu odnosi się pani do mnie tak, jakbyśmy byli sobie nie wiem jak bliscy?

– Chce pan wiedzieć, dlaczego pozwoliłam się pocałować? – W jej oczach migotały ogniki. Śmiała się ze mnie, ale z sympatią.

– Dobrze – zgodziłem się. – Cemu dała mi się pani pocałować?

– Chyba chciałam sprawdzić, jak będzie.

– No i?

– Było miło – odparła po namyśle. – Podobało mi się. Chciałabym, żeby kiedyś pan to powtórzył.

– Na pewno da się załatwić.

Ramię w ramię ruszyliśmy dalej. Pani Cavendish coś podśpiewywała, wyraźnie zadowolona. To nie jest kobieta, która wczoraj weszła do mojego biura i przyglądała mi się chłodno spod woalki, pomyślałem. Była kimś zupełnie innym.

– Zbudował go ktoś z branży filmowej. – Znów mówiła o domu. – Irving Thalberg, Louis B. Mayer, jeden z potentatów. Kamień przywozili statkami z Włoch, z Apeninów. Włosi na szczęście nie widzą, co z niego zrobiono.

– Dlaczego pani tu mieszka? – spytałem. – Wspominała pani, że jest bogata. Mogłaby się pani przeprowadzić.

Dostrzegłem, że na jej gładkim czole osiadł cień.

– Sama nie wiem. – Przez kilka kroków milczała, wreszcie powiedziała: – Może nie potrafiłabym mieszkać sam na sam z mężem. On nie jest najlepszym towarzyszem.

Nie do mnie należało komentowanie tych słów, więc zmilczałem.

Gdy zbliżaliśmy się do oranżerii, spytała, czy wejść.

– Może teraz pan się napije?

– Raczej nie. Jestem człowiekiem pracy, mam zadanie do wykonania. Chce mi pani coś jeszcze powiedzieć o Nico Petersonie, zanim zacznę

węszyc?

– Nic mi nie przychodzi do głowy. – Z Inianego żakietu zdjęła fragment liścia. – Chciałabym tylko, żeby pan go dla mnie znalazł. Nie chcę go odzyskać. Nie jestem pewna, czy w ogóle go chciałam.

– W takim razie do czego był pani potrzebny?

Skrzywiła się w komicznym smutku. Podobało mi się, że potrafi śmiać się sama z siebie.

– Nico wiązał się pewnie z niebezpieczeństwem. Jak już wspomniałam, szybko się nudzę. Przy nim przez chwilę znowu czułam, że żyję, choć w nieco brudny sposób. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Może pan to zrozumieć?

– Mogę to zrozumieć.

– Ale nie aprobeje pan. – Zaśmiała się.

– Aprobowanie lub nie to nie moja rola, pani Cavendish.

– Clare – rzuciła, znowu prawie szeptem.

Stałam jak matoł albo manekin Indianina w sklepie z cygarami. Clare smutno wzruszyła ramionami i wsunęła dłonie w kieszenie żakietu.

– Chcę, żeby dowiedział się pan, gdzie jest Nico, co robi, dlaczego udawał zmarłego. – Spojrzała nad gładkim trawnikiem w stronę drzew. Za jej plecami w szybach oranżerii odbijała się druga wersja nas. – Wie pan, dziwna jest świadomość, że on gdzieś teraz jest, coś robi. Przywykłam do myśli, że nie żyje, a teraz trudno mi się oswoić z tym, że jest inaczej.

– Zrobię, co w mojej w mocy – obiecałam. – Wytropienie go nie powinno nastęczać trudności. Sądząc z pani opisu, Peterson nie jest zawodowcem i wątpię, czy zacierał ślady, tym bardziej że nie spodziewa się, że ktoś go będzie szukał. Przecież jakoby nie żyje.

– Co pan zrobi? Jak pan się do tego zabierze?

– Zerknę na akt zgonu. Potem pogadam z różnymi ludźmi.

– Z jakimi? Z policją?

– Policjanci zazwyczaj nie są zbyt pomocni dla kogoś, kto nie jest jednym z nich. Ale znam paru facetów w komendzie głównej.

– Nie chciałabym, żeby powszechnie wiadomo, że to ja go szukam.

– Czyli pani matka ma się nie dowiedzieć.

Twarz jej stężała, co takiej twarzy nie przychodziło łatwo.

– Miałam raczej na myśli interesy. Skandal byłby bardzo niekorzystny dla nas, dla Langrishe Fragrances. Mam nadzieję, że pan rozumie.

– Och, doskonale rozumiem, pani Cavendish.

W pobliżu rozległ się świdrujący, wysoki wrzask. Spojrzałem pytająco na Clare.

– Paw – wyjaśniła. Naturalnie, nie mogło się obejść bez pawia. – Nazywamy go Liberace.

– Czy on często to robi? Tak krzyczy?

– Tylko kiedy się nudzi.

Odwróciłem się, żeby odejść, ale po chwili się zatrzymałem. Jak pięknie wyglądała w białym lnianym kostiumie, stojąc w słońcu na tle połyskujących szyb i różowego jak landrynki kamienia. Ciągle czułem na ustach jej miękkie wargi.

– Proszę mi powiedzieć, jak dowiedziała się pani o śmierci Petersona?

– Och – odparła niedbale. – Byłam z nim wtedy.

6

Przy bramie natknąłem się na Richarda Cavendisha prowadzącego podjazdem okazałego kasztanowego rumaka. Zatrzymawszy samochód, opuściłem szybę.

– Witaj, stary – rzucił Cavendish. – Już nas opuszczasz?

Nie wyglądał jak człowiek, który przez godzinę ostro galopował. Włosy koloru dębu leżały nienagannie, bryczesy miał w równie nieskazitelnym stanie jak w oranżerii. Nie zauważyłem nawet, żeby się spocił. Za to koń wyglądał na zmordowanego; przewracał oczami, rzucał łbem i szarpał wodze spoczywające w dłoni jeźdźca swobodnie jak dziecięca skakanka. Konie łatwo ulegają podnieceniu.

Cavendish nachylił się do otwartego okna, oparł przedramię na drzwiach samochodu i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwa rzędy drobnych białych zębów. Rzadko widywałem tak puste uśmiechy.

– Perły, co? – spytał.

– Tak powiedziała pańska żona.

– Tak powiedziała, doskonale słyszałem. – Koń trącał go chrapami w ramię, ale Cavendish nie zwracał uwagi. – Nie są aż tak cenne, jak ona sądzi, ale pewnie się do nich przywiązała. Wiesz, jakie są kobiety.

– Nie jestem pewien, czy wiem, jakie są w kwestii pereł.

Cavendish nie przestawał się uśmiechać. Ani na sekundę nie uwierzył w bajkę o naszyjniku, ale mało mnie to obchodziło. Znałem typ człowieka: przystojny gracz w polo, który żeni się z bogatą dziewczyną,

a potem robi jej piekło, utyskując, jak ciężko wydaje się jej pieniądze i jak bardzo rani to jego dumę.

– Ładny koń – rzuciłem, a zwierzę, zupełnie jakby usłyszało, łypnęło na mnie okiem.

– Spitfire. – Cavendish skinął głową. – Silny jak czołg.

Ściągnąłem wargi tak, jakbym chciał gwizdnąć, ale się powstrzymałem.

– Imponujące. Gra pan na nim w polo?

– W polo gra się na kucach. – Zaśmiał się. – Wyobrażasz sobie, że próbujesz dosięgnąć piłki z grzbietu tego bydlaka? – Potarłszy podbródek, dodał: – Rozumiem, że nie grasz?

– Ależ gram! W moich rodzinnych stronach nie wypuszczamy z dłoni kija do polo.

Cavendish przyglądał mi się, a uśmiech stopniowo zniknął z jego twarzy.

– Żartowniś z ciebie, co, Marlowe?

– Tak? A co takiego powiedziałem?

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się we mnie; gdy zmrużył oczy, w ich kącikach pojawiła się siateczka drobnych zmarszczek. W końcu się wyprostował, klepnął dłonią drzwi samochodu i cofnął się.

– Powodzenia z perłami. Mam nadzieję, że je znajdziesz.

Koń rzucił łbem i parsknął zabawnie, jak konie mają w zwyczaju. Zabrzmiało to jak wybitnie sarkastyczny śmiech. Wrzuciwszy bieg, puściłem sprzęgło.

– Wyczha – rzuciłem na pożegnanie i odjechałem.

Pół godziny później znalazłem się w Boyle Heights i zaparkowałem przed biurem koronera hrabstwa Los Angeles. Ileż to już razy gramoliłem się po tych schodach. Budynek, szalone dzieło sztuki architektonicznej w stylu art nouveau, przypominał raczej ekskluzywny

bar niż siedzibę państwowego urzędu. W środku panowały jednak miły chłód i kojąca cisza. Chyba jedynym odgłosem był stukot szpilek niewidocznej urzędniczki podążającej korytarzem na którymś z pięter nade mną.

W recepcji królowała korpulentna bruneteczka w tak obcisłym sweterku, że nie dało się go nie zauważyć. Prawo jazdy podsunąłem jej gestem magika pokazującego kartę, którą zamierza zgarnąć. Najczęściej nawet nie patrzą, zakładając, że jestem z policji, a ja nie mam nic przeciwko temu. Brunetka poinformowała mnie, że wydobyć akt Nico Petersona zajmie godzinę. Odparłem, że za godzinę zamierzam podlewać kaktusy. Na to posłała mi niepewny uśmiech i obiecała, że spróbuje przyspieszyć proces.

Przez pewien czas chodziłem po korytarzu, wypaliłem papierosa, potem, z rękoma w kieszeniach, stanąłem przy oknie i obserwowałem ruch na Mission Road. Życie prywatnego detektywa jest ekscytujące.

Dziewczyna w sweterku dotrzymała słowa i po niespełna kwadransie wróciła z aktami. Zabrałem je na ławkę pod oknem i przewertowałem. Nie obiecywałem sobie po nich wiele – jak się okazało, słusznie – ale od czegoś trzeba zacząć. Zmarły został potrącony przez pojazd prowadzony przez nieznaną osobę na Latimer Road w Pacific Palisades, hrabstwo Los Angeles, między dwudziestą trzecią a północą dziewiętnastego kwietnia. Biedak doznał licznych obrażeń o długich nazwach, w tym „ciężkiego złamania wieloodłamowego bocznej części czaszki”, a także wielu ran twarzy. Przyczyną zgonu był nasz stary znajomy tępy uraz; patolodzy wprost uwielbiają tępe urazy, na samą wzmiankę o nich zacierają ręce. Do akt dołączono zdjęcie z miejsca wypadku. Jak czarna i lśniąca wydaje się krew w świetle latarki. Nieznany sprawca wykonał niezłą robotę na Nico Petersonie, który wyglądał jak kotlet siekany w garniturze z wełny chesankowej. Nie pysznij się, śmierci, mówi poeta, ale nie widzę powodu, dlaczego kostucha nie miałaby odczuwać pewnej

satysfakcji z dobrze wykonanej pracy i listy niekwestionowanych sukcesów.

Zwróciwszy teczkę brunetce, podziękowałem jej uprzejmie, ale w zamian dostałem jedynie nieobecny uśmiech; sekretarka miała inne rzeczy na głowie. Przyszło mi na myśl, by spytać ją o plany na lunch, ale natychmiast porzuciłem ten pomysł. Tak łatwo nie poradzę sobie z myślami o Clare Cavendish.

Na ulicy wszedłem do budki telefonicznej i zadzwoniłem do Joego Greena z centralnego wydziału zabójstw. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Joe, czy oni nigdy nie dają ci wolnego?

Odpowiedział swoim suchym westchnieniem. Przypomina mi któregoś z większych ssaków morskich, morświna albo sporego słonia morskiego. Po dwudziestu latach służby i codziennym zmaganiu się z zabójcami, handlarzami narkotyków, pedofilami i kim tylko chcesz, stał się bezkształtną kupką znużenia i melancholii, niekiedy zapalającą się nagłym gniewem. Gdy spytałem, czy mogę mu postawić piwo, warknął podejrzliwie:

– Dlaczego?

– Nie wiem, Joe – odparłem. Przed budką stała gniewnie wyglądająca kobieta w spodniach o fasonie narciarskich i szkarłatnej bluzce bez pleców, z dzieckiem w wózku. Groźnym wzrokiem dawała mi do zrozumienia, że powinienem zakończyć rozmowę i udostępnić jej telefon. – Bo jest lato, pora lunchu, piekielnie gorąco, a poza tym chciałbym z tobą o czymś pomówić.

– Znowu o tym sztywniaku Petersonie?

– Tak.

– Dobra – odpowiedział Joe po namyśle. – Czemu nie. Spotkajmy się w Lanigan's.

Kiedy otworzyłem drzwi budki, powietrze z wnętrza zderzyło się z tym z dworu z bezgłośnym łoskotem. Młoda matka skłęła mnie,

wepchnęła się do budki i chwyciła słuchawkę.

– Drobiazg – powiedziałem, ale była zbyt zajęta wybieraniem numeru, żeby skłąć mnie jeszcze raz.

Lanigan's był jednym z tych pseudoirlandzkich lokali z liśćmi koniczyny namalowanymi na lustrze za barem i oprawionymi zdjęciami Johna Wayne'a oraz Maureen O'Hary w jaskrawym technicolorze na ścianach. Na półce z flaszkami dało się wypatrzeć Bushmillsa w szkockim berecie. Szkocja, Irlandia... co za różnica? Za to barman wyglądał na produkt oryginalny: niski, zgarbiony, z głową jak przerośnięty kartofel i włosami, które kiedyś były rude.

– Czego się napijeta, chłopcy? – spytał.

Joe Green miał na sobie znoszony garnitur z szarego lnu, który w odległej przeszłości przypuszczalnie był biały. Gdy zdjął słomkowy kapelusz, brzeg zostawił czerwony pasek na skórze. Z kieszeni na piersi wyciągnął dużą czerwoną chustkę i otarł czoło, które zapuściło się tak daleko, że wkrótce mogło zostać oficjalnie uznane za łysinę.

Z łokciami na barze zawiśliśmy nad piwami.

– Jezu, jak ja nie cierpię lata w tym mieście – poskarżył się Joe.

– Tak, nie jest lekko – przyznałem.

– Wiesz, co mnie dobija? – Ściszył głos. – Kiedy gorące, wilgotne bokserki ściskają cię w kroczu jak cholerny okład.

– Może nosisz niewłaściwy rodzaj – podsunąłem. – Skonsultuj się z żoną. One znają się na tych sprawach.

– Serio? – Joe łypnął na mnie z ukosa myląc go głupimi oczami psa gończego, z opadającymi powiekami.

– Tak mówią, Joe. Tak mówią.

Przez pewien czas sączyliśmy piwo w milczeniu, unikając naszych oczu w lustrze. Barman Pat gwizdał melodię *Mother Machree*, przysięgam, choć z trudem wierzyłem własnym uszom. Może płacili mu

za wnoszenie autentycznego brzmienia Szmaragdowej Wyspy do Miasta Aniołów.

– Co wywęszyłeś w sprawie tego ptaszka Petersona? – spytał Joe.

– Niewiele. Zerknąłem na raport koronera. Tamtej nocy pan P. zdrowo oberwał. Masz pojęcie, kto go stuknął?

Joe zaśmiał się, co zabrzmiało jak wyciąganie przepychacza z sedesu.

– A jak myślisz?

– O tej porze na Latimer Road nie mógł panować duży ruch.

– Była sobota – zauważył Joe. – Do tamtego klubu ludzie włączą i wyłączą jak szczury na zapleczu taniej knajpy.

– Cahuilla?

– Tak się chyba nazywa. Mógł go przejechać jeden z setek samochodów. Oczywiście nikt niczego nie widział. Byłeś tam kiedyś?

– Klub Cahuilla to nie moja bajka, Joe.

– Raczej nie. – Zachichotał. Tym razem mniejszy przepychacz wyciągnięto z mniejszego sedesu. – A ta tajemnicza lala, dla której pracujesz, bywa w tym klubie?

– Pewnie tak. – Mocno zacisnąłem zęby. To taki mój niedobry zwyczaj, któremu ulegam, gdy zbieram się na odwagę, żeby zrobić coś, czego nie powinienem. W rozmowie z gliniarzem, jeśli ma ci się on do czegoś przydać, przychodzi jednak chwila szczerości. Przynajmniej szczerości w pewnych granicach.

– Moja klientka uważa, że on wciąż żyje – powiedziałem.

– Kto, Peterson?

– Tak. Uważa, że nie zginął, że to nie jego przejechano tamtej nocy na Latimer Road.

Joe wyprostował się na stołku. Obrócił dużą różową głowę i wbił we mnie wzrok.

– Jezu, czemu ona tak myśli?

– Twierdzi, że niedawno go widziała.

– Widziała go? Gdzie?

– W San Francisco. Jechała taksówką Market Street i ukazał się jej jak żywy.

– Rozmawiała z nim?

– Zmierzali w przeciwnych kierunkach. Kiedy ochłonęła, znajdowała się już daleko od niego.

– Jezu – powtórzył Joe zdziwiony, ale wyraźnie rad. Gliniarze cieszą się, kiedy wszystko staje na głowie, bo dodaje to smaku codziennej monotonii.

– Wiesz, co to znaczy – powiedziałem.

– Co to znaczy?

– Że macie zabójstwo.

– Tak sądzisz?

„Syn pani Machree” stał przy kasie i z rozmarzeniem dłubał w uchu zapalką. Gestem dłoni poprosiłem go o następną kolejkę.

– Pomyśl tylko. Skoro Peterson nie zginął, to kto? I czy na pewno był to wypadek?

Przez minutę Joe przeżuwał moje słowa, węsząc w tym jakąś aferę.

– Myślisz, że Peterson to nagrał, żeby zniknąć? – spytał w końcu.

– Sam nie wiem, co myśleć – przyznałem.

Kiedy stanęły przed nami świeże piwa, Joe wciąż siedział pogrążony w rozmyślaniach.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Tego też nie wiem – powiedziałem.

– Chyba nie mogę siedzieć beczynn timer. Czy mogę?

– Mógłbyś nakazać ekshumację.

– Wykopać zwłoki? – Pokręcił głową. – Nieboszczyka poddano kremacji.

Nie przyszło mi to do głowy, choć, oczywiście, powinno.

– Kto zidentyfikował Petersona? – spytałem.

– Nie wiem. Mogę sprawdzić. – Podniósł szklankę, po czym odstawił na bar. – Chryste, Marlowe – rzucił, raczej smętnie niż gniewnie. –

Ilekcroć z tobą rozmawiam, są kłopoty.

– Kłopoty to moja specjalność.

– Ha, ha.

Przesunąłem szklanę parę centymetrów w bok, potem odstawiłem na pierwotne miejsce, na krążek piany. Pomyślałem, że kilka godzin wcześniej Clare Cavendish zrobiła to samo. Kiedy kobieta zawróci ci w głowie, każda rzecz ci o niej przypomina.

– Posłuchaj, Joe, przepraszam cię. Może to wszystko nieprawda. Może mojej klientce przywidziało się, że zobaczyła Petersona. Może uległa złudzeniu optycznemu albo wypła o jedno martini za dużo.

– Powiesz mi, kim ona jest?

– Wiesz, że nie.

– Jeśli się okaże, że ona ma rację i ten facet nie zginął, będziesz musiał mi powiedzieć.

– Niewykluczone. Ale na razie nie ma żadnej sprawy i nic nie muszę ci mówić.

Joe odchylił się na stołku i spojrzał na mnie uważnie.

– Posłuchaj, Marlowe, to ty do mnie zadzwoniłeś, pamiętasz? Miałem spokojne przedpołudnie i wolne ręce, jeśli nie liczyć uczennicy zaginionej od trzech dni, napadu z bronią na stacji benzynowej i paru zabójstw w Bay City. Zapowiadał się uroczy dzionek. Teraz muszę sobie łamać głowę, czy ten Peterson zorganizował przejechanie jakiegoś biedaka, żeby móc wyparować.

– Mógłbyś zapomnieć, że cokolwiek ci powiedziałem. Jak już mówiłem, może nic w tym nie ma.

– Jasne, podobnie jak ta mała może pojechała do babci do Poughkeepsie, a dwaj makaroniarze w Bay City przypadkiem nafaszerowali się ołowiem. Pewnie. Świat jest pełen rzeczy, które tylko z pozoru wyglądają poważnie.

Joe zlął ze stołka i wziął z baru kapelusz. Kiedy jest rozdrażniony, jego twarz przybiera kolor wątroby.

– Sprawdzę śmierć Petersona czy faceta, którego przejechano, i dam ci znać. Tymczasem weź swoją przyjaciółkę za rękę, powiedz, żeby nie martwiła się o swojego chłopaka Łazarza, bo jeśli tylko żyje, wytropisz go, albo nie nazywasz się Doghouse Reilly.

To rzekłszy, Joe odwrócił się na pięcie i odszedł, uderzając się kapeluszem po udzie. Cóż, poszło nieźle, Marlowe, powiedziałem do siebie. Dobra robota. Barman podszedł i spytał łagodnie, czy wszystko w porządku. Jasne, zapewniłem go, gra muzyka.

W drodze powrotnej kupiłem hot doga na rogu Vine i zjadłem go przy biurku, popijając wodą mineralną. Potem długo siedziałem z nogami na biurku i kapeluszem zsuniętym na tył głowy, paląc papierosa. Każdy, kto by na mnie popatrzył, uznałby, że pogrążyłem się w rozmyślaniach, ale to nie była prawda. W istocie usilnie starałem się nie myśleć. Nie potrafiłem stwierdzić, jak bardzo pogmatwałem sprawy, rozmawiając z Joem Greenem, a to dlatego, że nie chciałem się do tego przyznać. Czy zdradziłem Clare Cavendish, mówiąc Greenowi, że widziała Petersona, chociaż jakoby nie żył? Czasem jednak, gdy utknąłeś w martwym punkcie, musisz potrząsnąć gniazdem os. Może jednak należało poczekać, pójść tropem Petersona, zanim włączyłem Greena do sprawy?

Z cichym westchnieniem przytknąłem dłoń do czoła. Potem wysunąłem szufladę biurka, gdzie powinny leżeć dokumenty, wydobyłem służbową butelkę i nalałem solidną lufę do papierowego kubka. Kiedy wiesz, że spieprzyłeś sprawę, nie ma jak atak błyskawiczny na kilka milionów szarych komórek.

Właśnie rozważałem kolejną lufę, kiedy zadzwonił telefon. Jakim cudem, po tylu latach, to cholerne urządzenie wciąż potrafi sprawić, że podskakuję? Podejrzewałem, że dzwoni Joe, i nie myliłem się.

– Ten sztywniak miał w kieszeni portfel Petersona – oznajmił. – Poza tym na miejscu zdarzenia rozpoznał go menadżer... jak się nazywa ten klub?

– Cahuilla.

– Nie wiem, dlaczego stale wypada mi to z głowy. Menadżer nazywa się Floyd Hanson.

– Co o nim wiesz?

– Jeśli pytasz, czy coś na niego mamy, odpowiedź brzmi: nie. Cahuilla to luksusowy klub, który nie zatrudniłby nikogo, kto jest notowany. Jak wiesz, do klubu należy szeryf, kilku sędziów i połowa grubych ryb z miasta. Zaczynaj tam wtykać palec, a masz dużą szansę, że ci go odgryzą.

– Masz coś w aktach na temat zamieszania w klubie tamtej nocy, kiedy Peterson, czy ktokolwiek to był, wpadł pod samochód?

– Nie. Dlaczego pytasz? – W głosie Greena znów wyczułem podejrzliwość.

– Słyszałem, że tamtej nocy Peterson się upił i wszczął awanturę w barze – wyjaśniłem. – Doszło do tego, że go wyrzucili. Potem ktoś znalazł go na poboczu, martwego jak kotlet barani.

– Ten ktoś to jedna z szatniarek wracająca do domu z chłopakiem. Chłopak przyjechał po nią na koniec pracy.

– Masz coś na nich?

– Nie. To tylko para dzieciaków. Wrócili do klubu po menadżera, Hansona, a on zadzwonił do nas.

Zastanawiałem się nad tymi nowinami.

– Jesteś tam? – spytał Joe.

– Jestem. Myślę.

– Myślisz, że marnujesz czas na tę sprawę, tak?

– Zadzwońię do klientki.

– Zrób to. – Chichocząc, Joe odłożył słuchawkę.

Wychyliłem małego drinka z wiernej flaszki, ale mi nie smakował. Za gorąco na burbona. Wziąłem kapelusz, wyszedłem z biura i zjechałem

windą. Liczyłem na to, że spacer przejaśni mi w głowie, ale jak to osiągnąć, gdy powietrze jest rozgrzane jak w piecu i smakuje jak opilki żelaza? Przez pewien czas szedłem chodnikiem, trzymając się w cieniu, potem zawróciłem. Po wypitej whisky czułem, jakbym miał w głowie kit. Wróciłem do biura, zapaliłem papierosa i utkwilem wzrok w telefonie. W końcu zadzwoniłem do Joego Greena i oznajmiłem, że przekonałem klientkę: Peterson jej się przywidział.

– Takie już są kobitki. – Joe się zaśmiał. – Wbiją sobie coś do ślicznych główek i jakiś czas latasz jak kot z pęcherzem. Potem mówią: „Baldzio psieplasiem, panie Marlowe, musiałam się pomylić”.

– Tak, pewnie tak właśnie jest – przyznałem.

Czułem, że nie wierzy w ani jedno moje słowo, ale o to nie dbałem. Chciał tylko zamknąć sprawę Nico Petersona i odłożyć na zakurzoną półkę, skąd ją wziął.

– Nawiasem mówiąc, ona ci zapłaciła? – zainteresował się Joe.

– Jasne – skłamałem.

– Czyli wszyscy są szczęśliwi.

– Nie jestem pewien, czy tak należy to określić, Joe.

– Bądź grzeczny, Marlowe. – Znowu się zaśmiał i odłożył słuchawkę.

Mimo wybuchowego charakteru Joe to równy gość.

7

Na tym etapie mogłem zostawić całą sprawę. Mogłem zrobić to, o czym powiedziałem Joemu: zadzwonić do Clare Cavendish i przekonać ją, że musiała jej się wydawać, nie mogła widzieć Nico Petersona w San Francisco. Ale dlaczego niby miałyby mi się to udać? Nie mogłem jej dostarczyć żadnych nowych informacji. Już wiedziała, że martwy facet na Latimer Road miał na sobie ubranie Petersona i jego portfel w kieszeni na piersi. Ponadto wiedziała, że Floyd Hanson zidentyfikował ciało, o czym powiadomiła mnie, kiedy żegnaliśmy się w cieniu listowia w Langrishe Lodge. Tamtej nocy Clare była w Cahuilla, widziała, jak pijanego i awanturującego się Petersona wyprowadza z klubu dwóch ochroniarzy Hansona; godzinę później nadal była w klubie, kiedy szatniarka z chłopakiem wrócili i roztrąbili o nieżywym Petersonie na poboczu. Clare poszła tam nawet i widziała, jak zabierają ciało. Jednocześnie była przekonana, że widziała Petersona na Market Street w San Francisco parę tygodni po jego domniemanej śmierci. Jak niby miałbym ją skłonić do zmiany zdania?

Nie opuszczało mnie poczucie, że w całej sprawie coś nie pasuje, że czegoś mi nie mówią. Podejrzliwość, jak wszystko inne, wchodzi w krew.

Resztę dnia spędziłem dość leniwie, ale nie mogłem przestać myśleć o sprawie Petersona. Nazajutrz po przyjściu do biura podzwoniłem

w kilka miejsc, rozpytując o Cavendishów i Langrishe'ów. Najciekawsze było chyba to, że mimo wielkiej fortuny nie mieli trupów w szafie, przynajmniej nie takich, które głośno grzechotały. Ale przecież to nie mogło być aż tak proste, prawda?

Windą zjechałem na dół i przeszedłem przez ulicę do oldsmobila. Zostawiłem go w cieniu, ale słońce wystrychnęło mnie na dudka, wyrzało zza winkla Permanent Insurance Company, ostro oświetlając przednią szybę oraz – a jakże – kierownicę. Otworzywszy wszystkie cztery okna, ruszyłem szybko, żeby zrobić przewiew, nic to jednak nie dało. Co by się stało, gdyby do tych brzegów jako pierwsi dotarli nie Hiszpanie, ale angielscy pielgrzymi? Pewnie modliliby się o deszcz i chłód, a dobry Pan spełniłby ich prośby.

W Palisades, bliżej oceanu, panował chłód. Zanim odszukałem klub Cahuilla, musiałem zapytać kilka osób o drogę. Wejście znajdowało się na kipiącej zieleni ulicy, na końcu długiego, wysokiego muru obrośniętego bugenwillą. Wbrew moim oczekiwaniom brama nie była pod napięciem. Zastałem ją otwartą, ale drogę zagradzał drewniany szlaban w paski. Ze stróżówki wyłonił się młody dozorca i obrzucił mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Miał na sobie sznytowy beżowy uniform i czapkę z szamerowanym daszkiem. Maleńka główka na długiej szyi i grdyka wędrująca w górę i w dół jak piłeczka pingpongowa, kiedy przełykał ślinę.

Wyjaśniłem, że chcę się zobaczyć z menadżerem.

– Jest pan umówiony?

Gdy zaprzeczyłem, wykrzywił zabawnie usta i spytał, jak się nazywam. Podałem mu wizytówkę. Marszcząc brwi, długo się w nią wpatrywał, jakby widniały na niej hieroglify. Znów zrobił coś dziwnego z ustami – jakby bezgłośnie się dusił – wszedł do stróżówki, chwilę rozmawiał przez telefon, czytając moją wizytówkę, wreszcie wrócił, wcisnął guzik i szlaban powędrował w górę.

– Niech pan się trzyma lewej i wypatruje napisu „Recepcja” – powiedział. – Pan Hanson czeka na pana.

Podjazd prowadził wzdłuż długiego, wysokiego muru obwieszonego bugenwillą z różowymi, karmazynowymi i liliowymi kwiatami. Ktoś niewątpliwie lubił tę roślinę. Poza tym rosły tu gardenie, wiciokrzew, jakaranda; w powietrzu unosił się ostry, słodkawy zapach kwiatów pomarańczowych.

Recepcja okazała się dużym domem z drewnianych bali, z mnóstwem okienek i czerwonym dywanem przed drzwiami. Wszedłem. Pachniało sosną; z ukrytych w suficie głośników sączyła się muzyka fletowa. Nikogo nie zastałem za biurkiem z zieloną skórą na blacie, dużym i szacownym, pełnym szuflad z mosiężnymi rączkami, w sam raz dla indiańskiego wodza podpisującego zrzeczenie się plemiennej ziemi. Wystrój nawiązywał do folkloru indiańskiego: pełnej długości pióropusz na stojaku, staroświecka srebrna spluwaczka, ozdobne siodło na innym stojaku. Na ścianach zawieszono łuki i strzały rozmaitych rozmiarów i odmian, dwa pistolety z rękojeściami wyłożonymi kością słoniową oraz oprawione zdjęcia Edwarda Curtisa przedstawiające szlachetnych wojowników oraz ich rozmarzone squaw. Właśnie przyglądałem się jednej z takich fotografii – tipi, ognisko, krąg kobiet z nosidłami dla dzieci – gdy za moimi plecami rozległ się głos:

– Pan Marlowe?

Floyd Hanson był wysoki i szczupły, miał pociągłą twarz, wąską głowę, a czarne włosy nasmarowane brylantyną i gładko zaczesane do tyłu nosiły atrakcyjne ślady siwizny na skroniach. Strój menadżera klubu składał się z białych spodni o tak ostrych kantach, że można się było skaleczyć, mokasynów z frędzelkami, białej koszuli z wykładanym kołnierzykiem i puloweru bez rękawów w duże szare romby. Z lewą dłonią w kieszeni spodni, przyglądał mi się badawczo, jakby dostrzegał we mnie coś lekko komicznego, ale dobre maniere nie pozwalały mu o tym wspominać. Podejrzewałem, że nie ma w tym nic osobistego.

Hanson po prostu tak właśnie patrzył na większość rzeczy, jakie pojawiały się w jego polu widzenia.

– To ja – potwierdziłem. – Philip Marlowe.

– Czym mogę służyć, panie Marlowe? Marvin, nasz dozorca, wspomniał, że jest pan prywatnym detektywem. To prawda?

– Owszem. Dawno temu pracowałem dla prokuratora okręgowego, ale teraz jestem wolnym strzelcem.

– Ach tak? Rozumiem.

Jeszcze chwilę przyglądał mi się spokojnie, po czym podał mi prawą dłoń. Poczułem, jakby dano mi do potrzymania stworzenie o śliskiej, chłodnej skórze. Najbardziej uderzającą cechą menadżera klubu Cahuilla był bezruch. Kiedy nie mówił albo nie chodził, przełączał się jakby na tryb oszczędzania energii. Chyba nic na tym świecie nie mogło mu zaimponować albo zadziwić. Pod jego bacznym wzrokiem z trudem powstrzymywałem potrzebę nerwowego wiercenia się.

– Chodzi o wypadek, do którego doszło niedaleko stąd parę tygodni temu – wyjaśniłem. – Śmiertelny wypadek.

– Tak? – Hanson czekał.

– Niejaki Peterson został potrącony przez samochód. Kierowca zbiegł.

– Zgadza się – przytaknął. – Nico Peterson.

– Należał do klubu?

– Nie – odparł z zimnym uśmiechem. – Pan Peterson nie był członkiem klubu.

– Ale znał go pan, przynajmniej na tyle, by go rozpoznać.

– Często przychodził tu z przyjaciółmi. Pan Peterson był bardzo towarzyski.

– Widok jego zmasakrowanego ciała na szosie musiał pana zszokować.

– Owszem. – Spojrzenie Hansona wędrowało po mojej twarzy; niemal je czułem, jak dotyk palców ślepcy próbującego utrwalić w umyśle swój

obraz. – Przejdźmy się, panie Marlowe. Jest przyjemny dzień.

Menadżer podszedł do drzwi, usunął się na bok i ponaglił mnie gestem dłoni zwróconej ku górze. Gdy go mijalem, dostrzegłem chyba kolejny nieznaczny uśmiech, rozbawiony i szyderczy.

Hanson miał rację co do pogody. Sklepienie niebieskie przechodziło w zenicie w purpurę. Powietrze było gęste od woni drzew i krzewów. Drozd ćwiczył gdzieś swój repertuar, z zarośli dobiegał cichy syk zraszaczy. Los Angeles ma swoje zalety, jeśli jesteś dość zamożny i uprzywilejowany, by w odpowiednim czasie znaleźć się w odpowiednim miejscu, żeby je docenić.

Z recepcji ruszyliśmy gładką, krętą ścieżką wśród kiści bugenwilli. Obfitość kolorów dosłownie oślepiła, a choć kwiaty słabo pachniały, powietrze zdawało się ugiąć pod ich wilgotną obecnością.

– Te kwiaty są jak znak rozpoznawczy klubu – zauważyłem.

Hanson z namysłem rozważył moje słowa.

– Tak, chyba można tak powiedzieć. To bardzo popularna roślina, o czym pan z pewnością wie. To oficjalny kwiat San Clemente, a także Laguna Niguel.

– Coś podobnego.

Widziałem, że postanowił puścić mój sarkazm mimo uszu.

– Bugenwilla ma interesującą historię – ciągnął. – Ciekaw jestem, czy pan ją zna.

– Jeśli znałem, to wyleciała mi z głowy.

– Pochodzi z Ameryki Południowej. Po raz pierwszy opisał ją Philibert Commerçon, botanik towarzyszący francuskiemu admirałowi Louisowi-Antoine’owi de Bougainville w podróży dookoła świata. Uważa się jednak, że pierwszą Europejką, która ją ujrzała, była kochanka Commerçona, Jeanne Baret. Botanik przemycił ją na pokład w przebraniu mężczyzny.

– Sądziłem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach płaszcza i szpady.

– Nie, zdarzało się całkiem często w czasach, kiedy marynarze i pasażerowie opuszczali dom na wiele lat.

– Więc ta Jeanne... Jak pan mówił, że się nazywała?

– Baret. Przez „t”.

– Tak. – Nie dorównałbym jego francuskiej wymowie, więc dałem sobie spokój. – Dziewczyna odkrywa roślinę, jej chłopak ją opisuje, ale nazwę dostaje na cześć admirała. Niezbyt uczciwe.

– Chyba ma pan rację. Nie uważa pan, że świat w ogóle bywa na bakier z uczciwością?

Nie skomentowałem. Afektowany, sztuczny brytyjski akcent Hansona zaczynał mi grać na nerwach.

Wyszliśmy na polanę ocienioną eukaliptusami. Tak się złożyło, że wiedziałem co nieco o eukaliptusie – pochodzącym z Australii okrytonasiennym gatunku mirtu – ale uznałem, że nie warto się popisywać przed tą zimną rybą. Hanson prawdopodobnie skwitowałby moje popisy swoim pogardliwym uśmiechem.

– Tam są tereny do gry w polo. Stąd ich nie widać. – Pokazał ręką za drzewa, a ja udałem, że jestem pod wrażeniem.

– Wracając do Petersona. Może mi pan powiedzieć coś o zdarzeniach tamtej nocy?

Hanson szedł obok mnie bez słowa, nie dając nawet poznać, czy usłyszał pytanie; wpatrywał się w ziemię jak Clare Cavendish, gdy spacerowaliśmy po trawnikach Langrishe Lodge. Milczenie menadżera postawiło mnie przed dylematem: czy mam ponownie zadać pytanie i wyjść na durnia, czy też dać sobie spokój. Niektórzy ludzie mają dar doprowadzania cię do skrajności samym milczeniem.

– Nie jestem pewien, co pan chce usłyszeć, panie Marlowe – odezwał się w końcu, przystanął i odwrócił się do mnie. – Szczerze mówiąc, nie wiem, co dokładnie pana interesuje w tej niefortunnej sprawie.

Również się zatrzymałem i czubkiem buta odgarnąłem piach ze ścieżki. Hanson i ja staliśmy twarzą w twarz, ale nie konfrontacyjnie.

Ogólnie rzecz biorąc, nie wyglądał na człowieka dążącego do konfrontacji; ja zresztą też nim nie jestem, chyba że zostaję do tego zmuszony.

– Powiedzmy, że pewne zainteresowane osoby poprosiły mnie, żebym zbadał tę sprawę – powiedziałem.

– Policja zrobiła to już całkiem dokładnie.

– Wiem. Problem w tym, panie Hanson, że ludzie mają zazwyczaj mylne wyobrażenie na temat policji. Chodzą do kina, widzą gliniarzy w wymiętych kapeluszach, którzy ze spluwą w rękę z poświęceniem ścigają bandytów. W rzeczywistości jednak policjanci pragną spokojnego życia, jak my wszyscy. Najczęściej chcą wyczyścić sprawę, napisać zgrabny raport, odłożyć do innych zgrabnych raportów i o wszystkim zapomnieć. Złe typy o tym wiedzą i stosownie do tego załatwiają swoje sprawy.

Hanson patrzył na mnie, kiwając głową jakby w rytm własnych myśli.

– A kim miałyby być złe typy w tym przypadku?

– Cóż, na początek kierowca.

– Tylko na początek?

– Nie wiem. Nasuwają się pytania co do pewnych aspektów śmierci Nico Petersona.

– Jakie pytania?

Odwróciłem się i ruszyłem przed siebie. Po kilku krokach zdałem sobie sprawę, że ze mną nie idzie, stanąłem więc i obejrzałem się. Hanson stał na ścieżce z rękami w kieszeniach i zmrużonymi oczami patrzył na eukaliptusy. Zaczynałem pojmować, że mam do czynienia z człowiekiem, który sporo myśli. Wróciłem do niego.

– Zidentyfikował pan ciało.

– Właściwie nie. W każdym razie nie oficjalnie. Następnego dnia w kostnicy zrobiła to chyba jego siostra.

– Ale był pan na miejscu wypadku. Wezwał pan policję.

– To prawda. Widziałem ciało. Nie był to miły widok.

Znowu szliśmy ramię w ramię. Poranna mgła zdążyła wyparować w słońcu, światło było ostre, a powietrze tak klarowne, że odległe dźwięki mknęły w nim gładko jak oszczepy. W pobliżu usłyszałem chrzęst łopaty ogrodnika, kopiącego chyba suchą glinę. Pomyślałem, że Hanson jest szczęściarzem, mając pracę, która pozwala mu spędzać dni wśród drzew, zwisających roślin, zroszonej trawy, pod niebem błękitnym i jasnym jak oczy niemowlęcia. Tak, na świecie żyją szczęściarze oraz cała reszta nas. Co nie znaczy, że mógłbym tutaj pracować: za dużo dzikiej przyrody.

– Wcześniej ktoś inny znalazł ciało, prawda? – spytałem.

– Tak, młoda kobieta, Mary Stover. Pracowała jako szatniarka w naszym klubie. Jej chłopak przyjechał po nią po pracy, żeby odwieźć ją do domu. Ledwo skręcili w Latimer Road, ujrzeli ciało pana Petersona. Zawrócili i powiadomili mnie o nieszczęsnym odkryciu.

Zabawne, że ludzie tak wyrafinowani jak on posługują się żargonem tanich powieści. Nieszczęsne odkrycie, akurat!

– Czy mogę porozmawiać z panną Stover? – zapytałem.

– Nie jestem pewien. – Hanson zmarszczył brwi. – Wkrótce potem wyszła za mąż za tego młodzieńca i przenieśli się na Wschodnie Wybrzeże. Nie do Nowego Jorku. Może do Bostonu? Niestety, nie pamiętam.

– Jakie nazwisko przyjęła po mężu?

– Tu mnie pan zastrzelił. Tego młodzieńca widziałem wtedy jedyny raz. Ze względu na okoliczności przedstawiliśmy się sobie dość pośpiesznie.

Teraz przyszła moja kolej, żeby pomyśleć. Hanson przyglądał mi się z rozbawieniem. W ogóle nieźle się chyba bawił naszym spotkaniem.

– Cóż, raczej nietrudno będzie ją odnaleźć – stwierdziłem. Widziałem, że Hanson wie, że to zwykłe gadanie, i wie też, że ja to wiem.

Znów ruszyliśmy ścieżką. Za zakrętem natknęliśmy się na starego Murzyna kopiącego glinę na klombie różanym; to jego łopatę słyszałem chwilę wcześniej. Ogrodnik miał na sobie wyblakłe drelichy; siwe kręcone włosy ciasno przylegały mu do głowy. Rzucił nam szybkie, ukradkowe spojrzenie, błyskając białkami oczu, a mnie przyszedł nagle do głowy nerwowy koń Richarda Cavendisha patrzący na mnie przez okno samochodu.

– Dzień dobry, Jacob! – zawołał Hanson. Stary nie odpowiedział; jeszcze raz zerknął na nas nerwowo i kontynuował pracę. Kiedy się oddaliliśmy, Hanson wyjaśnił cicho: – Jacob nie jest zbyt rozmowny. Pewnego dnia po prostu pojawił się przy bramie, przestraszony i głodny. Nigdy nie udało nam się wyciągnąć z niego, skąd pochodzi i co mu się przydarzyło. Pan Canning oczywiście kazał go przyjąć, dać miejsce do mieszkania i coś do roboty.

– Pan Canning? – spytałem. – Kto to taki?

– Ach, nie wie pan? Sądziłem, że dokopie pan się do takich rzeczy jako detektyw. Wilber Canning jest założycielem tutejszego klubu. Wilber przez „e”. Naprawdę nazywa się Wilberforce, rodzice nazwali go na cześć Williama Wilberforce’a, wielkiego angielskiego parlamentarzysty i przywódcy abolicjonistów.

– Tak – odparłem tak suchym tonem, na jaki tylko mogłem się zdobyć. – Chyba o nim słyszałem.

– Jestem pewien.

– Mam na myśli Williama Wilberforce’a.

– Pan Canning poświęca się działalności charytatywnej, jak dawniej jego rodzice. Jego ojciec założył ten klub. Naszym celem jest, w miarę możliwości, pomaganie tym przedstawicielom społeczeństwa, do których los się nie uśmiechnął. Wprowadzona przez starego pana Canninga polityka zatrudnienia, do dziś obowiązująca, polegała na rezerwowaniu posad dla... cóż, dla ludzi potrzebujących pomocy i ochrony. Poznał pan już Jacoba i Marvina, naszego dozorcę. Jeśli

pobędzie pan tu dłużej, znajdzie pan inne osoby, które znalazły u nas azyl. Klub Cahuilla cieszy się znakomitą reputacją w środowisku włóczęgów.

– To imponujące, panie Hanson – powiedziałem. – Z pańskiego opisu wynika, że to połączenie domu opieki i centrum rehabilitacji. Ja odniosłem inne wrażenie. Choć niewątpliwie ludzie pokroju Nico Petersona doceniają filantropijnego ducha klubu.

– Oczywiście nie wszyscy podzielają altruistyczne zasady pana Canninga – rzekł Hanson z pobłażliwym uśmiechem. – Poza tym, jak już wspomniałem, pan Peterson nie był członkiem.

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że zatoczyliśmy pełne koło, i znowu stanęliśmy przed klubem. Jednak nie przed frontowymi drzwiami, którymi wszedłem, ale gdzieś z boku. Hanson pchnął przeszkłone drzwi i weszliśmy do przestronnego, niskiego pomieszczenia z fotelami obitymi perkalem, stolikami, na których czasopisma ułożono schludnie jak dachówki, oraz kamiennym kominkiem o rozmiarach salonu w moim domu przy Yucca Avenue. Taki kominek na pewno niezwykle się przydawał w Pacific Palisades. W powietrzu unosiła się słaba woń cygar i dobrej starej brandy. Oczami wyobraźni ujrzałem Wilberforce'a Canninga i innych patrycjuszy zebranych tu wieczorem po kolacji, utyskujących na upadek moralności i planujących dobre uczynki. Panowie mieli na sobie surduty, bryczesy i pudrowane peruki. Nic nie poradzę, że czasem puszczam wodze fantazji.

– Proszę usiąść, panie Marlowe – powiedział Hanson. – Ma pan ochotę na herbatę? Zazwyczaj o tej porze wypijam filiżankę.

– Jasne, herbata może być.

– Indyjska czy chińska?

– Chyba indyjska.

– Może być darjeeling?

Nie zdziwiłbym się, gdyby w tym momencie wpadł tam jakiś typ w białych szortach i blezerze i spytał, sepleniąc, czy ktoś ma ochotę na tenisa.

– Darjeeling jest boski – zapewniłem.

Hanson nacisnął guzik dzwonka przy kominku – mówię serio, zupełnie jak w teatrze – podczas gdy ja zagłębiłem się w jednym z foteli, tak głębokim, że kolana miałem prawie pod brodą. Zapaliwszy papierosa srebrną zapalniczką, Hanson zajął pozycję przy kominku, z łokciem na obmurowaniu; nogi skrzyżował w kostkach i patrzył na mnie z wysoka. Twarz menadżera wyrażała lekką udrękę, ale i cierpliwość – mina sumiennego ojca, który musi porozmawiać z niesfornym synem.

– Panie Marlowe, czy ktoś pana wynajął, żeby pan tu przyszedł?

– Na ten przykład kto?

Hanson jakby się skrzywił; pewnie z powodu mojej gramatyki. Nim zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i do pokoju wparował sędziwy jegomość w prążkowanej kamizelce. Tak bezkrwisty, że trudno było uwierzyć, że żyje. Niski, krępy, miał szare policzki, szare wargi i szarą łysinę, do której starannie przykleił kilka kosmyków siwych włosów.

– Pan dzwonił? – zapytał drżącym głosem, z autentycznym brytyjskim akcentem. Klub Cahuilla okazał się nie lada miejscem: indiańskim skansenem z domieszką wesołej starej Anglii.

– Imbryk herbaty, Bartlett – powiedział Hanson donośnie, jako że stary był najwyraźniej głuchy. – Jak zwykle. – Potem zwrócił się do mnie: – Śmietanka? Cukier? Czy może woli pan cytrynę?

– Sama herbata wystarczy – zapewniłem.

Bartlett skinął głową, przełknął ślinę, obrzucił mnie wodnistym spojrzeniem i oddalił się, powłócząc nogami.

– O czym to rozmawialiśmy? – podjął Hanson.

– Chciał pan wiedzieć, czy ktoś wynajął mnie, żebym tu przyszedł z panem pomówić. Na co spytałem, kogo ma pan na myśli.

– Zgadza się. – Końcem papierosa postukał o krawędź szklanej popielniczki, stojącej obok jego łokcia na kominku. – Chodzi mi o to, że nie przychodzi mi do głowy, by ktoś na tyle interesował się sprawą pana Petersona i jego smutnego końca, żeby wynajmować prywatnego detektywa. Tym bardziej że, jak już wspomniałem, policja przeczesła wszystko gęstym grzebieniem.

Zachichotałem. Kiedy się przyłożę, umiem nieźle chichotać.

– Grzebienie używane przez policję bywają wyszczerbione i pełne świństw, którym ludzie nie chcą się zbyt dokładnie przyglądać.

– Tak czy owak, nie mam pojęcia, dlaczego pan tu jest.

– Widzi pan, Hanson – starałem się przyjąć możliwie najgodniejszą pozycję w przepastnym fotelu – gwałtowna śmierć zawsze pozostawia niewyjaśnione kwestie. Doświadczenie mnie tego nauczyło.

Znów mnie obserwował, nieruchomy jak jaszczurka.

– Jakiego rodzaju niewyjaśnione kwestie?

– Pyta pan o sprawę Petersona. Jak już mówiłem, nasuwają się pytania co do pewnych aspektów jego śmierci.

– A ja spytałem jakie.

Nic nie może się równać z cichą nieustępliwością. Głośna nigdy nie przynosi równie dobrych rezultatów.

– Na przykład kwestia tożsamości pana Petersona.

– Jego tożsamości. – To nie było pytanie. Głos Hansona stał się łagodny jak wietrzyk nad polem bitwy po wyjątkowo krwawym starciu.

– A jakież tu mogą być pytania? Widziałem Petersona tamtej nocy. Nie ulegało wątpliwości, że to on. Poza tym nazajutrz widziała go siostra i niczego nie kwestionowała.

– Wiem, ale tu dochodzimy do sedna; niedawno ktoś zobaczył Petersona na ulicy i bynajmniej nie wyglądał on na zmarłego.

Są różne rodzaje milczenia. Takie, które można odczytać, oraz takie, którego się nie da odczytać. Nie miałem pojęcia, czy moja słowa zdziwiły Hansona, czy go zdumiały, czy też milczał po prostu po to, by pomyśleć. Wpatrywałem się w niego – jastrząb nie uczyniłby tego uważniej – ale nie potrafiłem odpowiedzieć na swoje wątpliwości.

– Chciałbym dobrze zrozumieć – zaczął, ale właśnie wtedy drzwi znów się otworzyły i kamerdyner Bartlett wkroczył tyłem, przygarbiony jak małpa, z szeroką tacą z filiżankami, spodeczkami, srebrnym imbrykiem, srebrnymi dzbanuszkami, białymi lnianymi serweteczkami i sam nie wiem czym jeszcze. Podszedł, postawił tacę na jednym ze stolików, pociągnął nosem i wyszedł. Hanson pochylił się, nalał herbatę do dwóch filiżanek – ni mniej, ni więcej tylko przez srebrne sitko – i wręczył mi jedną. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak trącam ją łokciem i wylewam sobie ukrop na kolana. W dzieciństwie powinienem był mieć ciotkę – surową matronę z lorgnon i wąsikiem – w sukni z gorsetem, która nauczyłaby mnie odpowiedniego zachowania w takich sytuacjach towarzyskich.

Dobrze wiedziałem, że Hanson zamierza oświadczyć, tym swoim pedantycznym tonem, iż zapomniał, o czym to rozmawialiśmy.

– Chciał pan coś dobrze zrozumieć – podpowiedziałem.

Mój rozmówca ponownie zajął miejsce przy kominku i długo mieszał herbatę srebrną łyżeczką.

– Tak – przyznał, po czym znów się zamyślił. – Twierdzi pan, że niedawno ktoś widział Petersona na ulicy.

– Owszem.

– To znaczy, ów ktoś twierdzi, że go widział.

– Ta osoba jest raczej o tym przekonana.

– I osobą tą jest...?

– Ktoś, kto dobrze znał pana Petersona.

Hanson łypnął na mnie jak łasica, aż zacząłem się zastanawiać, czy nie powiedziałem za dużo.

– Ktoś, kto dobrze go znał – powtórzył. – Czy mowa o kobiecie?

– Dlaczego pan pyta?

– Kobiety są bardziej skłonne do tego rodzaju rzeczy niż mężczyźni.

– Jakich rzeczy?

– Widywania zmarłych na ulicy. Wyobrażania sobie, że ich widziały.

– Powiedzmy, że ta osoba współpracowała z panem Petersonem, i na tym poprzestańmy.

– I ta osoba zatrudniła pana, by przyszedł pan tutaj i wypytał mnie?

– Tego nie powiedziałem.

– Czy to znaczy, że działa pan, kierując się relacją z drugiej ręki?

Pogłoskami?

– Relacja została przedstawiona, a ja ją usłyszałem.

– Uwierzył pan w nią?

– Nie opieram się na wierze. Nie zajmuję stanowiska. Po prostu pytam.

– Tak. – Hanson przeciągnął to słowo, wzbogacając je o westchnienie. Potem zauważył z uśmiechem: – Nie tknął pan herbaty, panie Marlowe.

Z grzeczności wziąłem łyk. Zdążyła ostygnąć. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio piłem herbatę.

W przeszklonych drzwiach, którymi weszliśmy, mignął cień, a gdy tam spojrzałem, zobaczyłem spoglądającego na nas chudego chłopca o ostrych rysach twarzy. Gdy spostrzegł, że go widzę, szybko się oddalił. Popatrzyłem na Hansona, ale on chyba nie zauważył postaci za drzwiami.

– Do kogo pan zadzwonił tamtej nocy, kiedy zobaczył pan ciało? – zapytałem.

– Na policję.

– Tak, ale gdzie? Na komendę czy do biura szeryfa?

– Nie pamiętam – odparł, drapiąc się w ucho. – Po prostu zadzwoniłem i poprosiłem telefonistkę o połączenie z policją. Przyjechał wóz patrolowy i policjant na motorze. Wydaje mi się, że byli z Bay City.

– Pamięta pan, jak się nazywali?

– Niestety nie. Dwaj funkcjonariusze w cywilu i mundurowy motocyklista. Pewnie się przedstawili, ale musiałem zapomnieć. Mój stan umysłu nie sprzyjał rejestrowaniu takich rzeczy. Nie widziałem martwego człowieka od czasów służby we Francji.

– Walczył pan na wojnie?

– W Ardenach.

Zapadło milczenie. Można było niemal odnieść wrażenie, że w pokoju powiało mroźnym górskim powietrzem. Wychyliłem się do przodu w fotelu i odchrząknąłem.

– Nie chcę zabierać panu więcej czasu, panie Hanson. Czy mogę jednak spytać jeszcze raz: jest pan absolutnie pewien, że nieżywy człowiek, którego tamtej nocy widział pan na szosie, był Nico Petersonem?

– A kim innym miałby być?

– Nie mam pojęcia. Czy może mnie pan zapewnić, że to był on?

Menadżer klubu utkwiał we mnie zimne oczy.

– Tak, panie Marlowe, jestem pewien. Nie wiem, kogo później widział na ulicy pański zleceniodawca, ale nie był to Nico Peterson.

Ostrożnie podniosłem z podłokietnika filiżankę i spodek, odstawiłem na tacę i wstałem, słysząc chrzęst własnych stawów kolanowych. Siedzenie w tym fotelu przypominało kucanie w bardzo małej i bardzo głębokiej wannie.

– Dziękuję za poświęcony mi czas – powiedziałem.

– Co pan teraz zrobi? – zapytał, chyba autentycznie zaintrygowany.

– Nie wiem. Mógłbym spróbować odszukać tę szatniarkę, Stover, tak?

– Zgadza się, Mary Stover. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że zmarnuje pan czas.

– Pewnie ma pan rację.

Hanson również odstawił filiżankę na tacę i obaj wyszliśmy tymi samymi drzwiami, co wcześniej kamerdyner. Hanson usunął się na bok,

by mnie przepuścić. Ruszyliśmy korytarzem oświetlonym żelaznymi kinkietami, po tak grubym jasnoszarym dywanie, że łaskotał mnie w kostki. Minęliśmy drugi salon, także ozdobiony indiańskimi artefaktami i fotografiami Curtisa. Po chwili znaleźliśmy się w innym korytarzu, gdzie w ciepłym powietrzu unosił się zapach balsamów do ciała.

– Tam jest basen. – Hanson wskazał białe drzwi. – A tam siłownia.

Kiedy mijaliśmy drzwi, wyszła z nich kobieta w białym szlafroku frotté. Na nogach miała gumowe klapki plażowe, głowę owinęła turbanem z dużego białego ręcznika. Dostrzegłem szeroką twarz i zielone oczy. Hanson jakby się zawahał, potem jednak przyspieszył kroku i ponaglił mnie, dotykając mojego łokcia.

Tym razem w recepcji siedziała młoda kobieta w okularach w niebieskich oprawkach. Szefa pozdrowiła nieśmiałym uśmiechem, mnie zignorowała.

– Dzwoniło do pana kilka osób, panie Hanson – oznajmiła. – W tej chwili jest na linii pan Henry Jeffries.

– Powiedz mu, że oddzwonię, Phyllis. – Hanson obdarzył sekretarkę powściągliwym uśmiechem. Potem zwrócił się do mnie i podał mi rękę. – Do widzenia, panie Marlowe. Ciekawie się z panem rozmawiało.

– Dziękuję za poświęcony mi czas.

Frontowymi drzwiami wyszliśmy na czerwony dywan przed klubem.

– Życzę szczęścia w dochodzeniu, chociaż wątpię, by dokądkolwiek pana zaprowadziło – powiedział.

– Z pewnością na to wygląda. – Powiodłem wzrokiem po drzewach, połyskującym trawniku, barwnych kwiatach. – Ładne miejsce do pracy.

– Owszem.

– Może kiedyś wpadnę wieczorem, zagram w bilard, spróbuję lokalnej brandy.

Hanson nie mógł się powstrzymać przed uśmiechem.

– Czy zna pan jakichś członków?

– Tak się składa, że znam.

– Proszę im powiedzieć, żeby pana przyprowadzili. Będzie pan mile widziany.

Akurat, pomyślałem, ale ładnie się uśmiechnąłem, dotknąłem palcem runda kapelusza i odszedłem.

Nie opuszczało mnie zdumienie. Co właściwie działo się przez ostatnią godzinę? Zwiedzanie terenu z przewodnikiem, historia bugenwilli, wykład o filantropii, ceremonia spożywania herbaty... Co właściwie było grane? Dlaczego Hanson poświęcił tyle czasu prywatnemu detektywowi zadającemu wścibskie pytania o mało istotną śmierć na pobliskiej szosie? Czyżby po prostu się nudził i umilił sobie przedpołudnie pogawędką z przedstawicielem brudnego świata, rozciągającego się za złoconymi bramami klubu Cahuilla? Nie bardzo w to wierzyłem. Jeśli było inaczej, co takiego wiedział i postanowił przede mną zataić?

Oldsmobila zostawiłem pod drzewem, ale oczywiście słońce znowu się przemieściło, jak to ma w zwyczaju, i przód samochodu cicho się przypiekał. Otworzywszy wszystkie drzwi, stanąłem w cieniu i wypaliłem papierosa, czekając, aż wewnątrz nieco się ochłodzi.

Kiedy tak stałem, w pewnym momencie odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Podobnie czujesz się, leżąc na ciepłej plaży, gdy odsłonięte łopatkami owiewa ci chłodny wietrzyk. Rozejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem. Nagle, za plecami, usłyszałem szybkie kroki – właśnie ich szybkość sprawiła, że podskoczyłem. Odwróciwszy się, ujrzałem drobnego gościa, który wcześniej podglądał Hansona i mnie przez przeszkłone drzwi. Teraz jednak zobaczyłem, że nie był to chłopiec; musiał mieć około pięćdziesiątki. Jego uniform składał się ze spodni khaki i koszuli z krótkimi rękawami w takim samym kolorze. Drobną pomarszczoną twarzyczką, dłonie jak szpony i jasne, właściwie

bezbarwne oczy. Z twarzą zwróconą w bok, zerkał na mnie z ukosa. Maksymalnie spięty, przypominał dzikie stworzenie – lisa albo zając – które podeszło zaciekawione, gotowe czmychnąć przy moim najdrobniejszym ruchu.

– Dzień dobry, pielgrzymie – powiedziałem przyjaznym tonem.

Człowieczek skinął głową, jakby spodziewał się po mnie dokładnie takich słów, mających go omamić i wzbudzić złudne poczucie bezpieczeństwa.

– Ja ciebie znam – odezwał się ochryple, niemal szeptem.

– Naprawdę?

– Pewnie, że tak. Widziałem cię z Hakiem.

– Mylisz się. Nie znam żadnego Haka.

Mały zacisnął usta i znów się uśmiechnął.

– Oczywiście, że go znasz.

Pokręciłem głową, domyślając się, że mam przed sobą jednego z biedaków przygarnianych przez pana Canninga. Cisnąłem niedopałek na suche liście, zdeptałem go, zatrzasnąłem troje drzwi samochodu, wsiadłem przez czwarte, zająłem miejsce za rozgrzaną kierownicą i opuściłem okno.

– Na mnie już czas – powiedziałem. – Miło się rozmawiało.

Wciąż zwrócony bokiem do mnie, zbliżył się do samochodu.

– Musisz uważać z tym Hakiem – powiedział. – Uważaj, żeby nie zaciągnął cię na służbę.

Wsunąwszy kluczyk do stacyjki, przywołałem samochód do życia. Jest coś wzniosłego i ekscytującego w warkocie dużego silnika V-8 pracującego na jałowym biegu; przywodzi na myśl nowojorskie damy z przełomu wieku, posągowe matrony o bladych szyjach, w kapeluszach i turniurach. Kiedy nacisnąłem pedał gazu, pojazd zamienił się w hałaśliwego, grzmiącego Teddy’ego Roosevelta.

– *Hasta la vista, muchacho!* – zawołałem i pomachałem do człowieczka. On jednak oparł dłoń na framudze okna, nie chcąc mnie

puścić.

– On jest Kapitanem Hakiem, a my Zagubionymi Chłopcami – powiedział.

Spojrzałem na jego twarz, oddaloną od mojej najwyżej o kilkanaście centymetrów, i mały nagle się roześmiał. W życiu nie słyszałem równie osobliwego śmiechu, brzmiącego jak wysokie, rozpaczliwe, szalone rżenie.

– Zgadza się, co? On: Hak, my: chłopcy. Hi, hi, hi.

Idąc bokiem, oddalił się od samochodu, zaśmiewając się i kręcąc głową. Chwilę odprowadzałem go wzrokiem, w końcu ruszyłem do bramy. Marvin zasalutował mi i podniósł szlaban, robiąc ten swój grymas, jakby się dusił. Minąłem bramę, skręciłem w prawo i pomknąłem z uczuciem wyzwolenia, jak zdrowy człowiek uciekający z zakładu dla psychicznie chorych.

8

Kiedy wróciłem do biura w Cahuenga Building, czekała na mnie wiadomość. Przekazała mi ją telefonistka o nosowym głosie, który zawsze wywoływał we mnie wrażenie, że do ucha wpadła mi osa.

– Dzwoniła pani Anguish.

– Kto? Anguish?

– Tak powiedziała. Zapisałam to. Pytała, czy spotka się pan z nią w południe w Ritz-Beverly.

– Nie znam żadnej Anguish. Co to niby za nazwisko?

– Zapisałam. Mam to przed sobą w notesie. Pani Dorothea Anguish, hotel Ritz-Beverly, południe.

Dopiero wtedy, z opóźnieniem, w głowie zapaliła się lampka; myślami wciąż byłem w klubie Cahuilla.

– Langrishe – poprawiłem telefonistkę. – Dorothea Langrishe.

– Tak powiedziałam.

– Jasne. – Westchnąłem i odłożyłem słuchawkę. – Dzięki, Hildo – warknąłem. Telefonistka nie ma tak na imię, ale kiedy mnie nie słyszy, właśnie tak ją nazywam. Brzmi jak Hilda, nie pytajcie dlaczego.

Ekskluzywny hotel Ritz-Beverly traktował siebie bardzo, ale to bardzo poważnie. Odźwierny we fraku i angielskim meloniku wyglądał tak, jakby kręcił nosem na każdy napiwek poniżej dziesięciu dolarów. Centralną pozycję lobby z czarnego marmuru, o rozmiarach połowy

boiska do piłki nożnej, zajmował duży okrągły stół z wazonem z rżniętego kryształu, w którym królowały wielkie kalie. Intensywny zapach kwiatów łaskotał mnie w nos i chciało mi się kichać.

Pani Langrishe poprosiła o spotkanie w Sali Egipskiej. Jak się okazało, był to bar z bambusowymi meblami i posągami kobiet podobnych do Nefretete, trzymających w górze pochodnie. Klosze lampek na stolikach wykonano z materiału mogącego uchodzić za papirus, ale z pewnością był to papier. Całą ścianę zajmowało malowidło przedstawiające Nil. Po rzece pełnej krokodyli pływały egipskie żaglowce, w górze latały ptaki – przypuszczam, że nazywają się ibisy – na brzegach, a jakże, wznosiły się piramidy i senny Sfinks. Wszystko to, nieco przedobrzone, robiło wrażenie, ale i tak był to tylko bar.

Mając w umyśle obraz Clare Cavendish, spodziewałem się, że matka okaże się oryginałem córki. Jakże się myliłem. Zanim ją zobaczyłem, usłyszałem ją. Pani Cavendish miała głos irlandzkiego dokera, donośny, kłótniwy i ochrypliwy. Siedząc przy pozłaczanym stoliku pod wielką palmą w donicy, pouczała kelnera w białej marynarce, jak się parzy herbatę.

– Na początek musisz zagotować wodę. Potrafisz to zrobić? Potem wyparzasz czajniczek; pamiętaj, żeby dobrze opłukać go wrzątkiem, następnie wsypujesz po łyżeczce na filiżankę plus jedną dla czajniczka. Zostawiasz na trzy minuty, żeby naciągnęła. Miej w pamięci jajko na miękko: trzy minuty, ani krócej, ani dłużej. Wtedy możesz nalewać. Zapamiętałeś? Bo ta lura... – Wskazała czajniczek. – Jest słaba jak siki panienki i smakuje podobnie.

Kelner, latynoski przystojniak, zbladł pod opalenizną.

– Tak jest, proszę pani – wykrztusił uniżenie i szybko się oddalił, trzymając wszystkiemu winien czajniczek w wyprostowanej ręce; gdyby był mniej profesjonalny, otarłby czoło.

– Pani Langrishe? – odezwałem się.

Matka Clare była bardzo niska i bardzo gruba. Odnosiło się wrażenie, że siedzi w beczce z wyciętymi otworami na ręce i nogi. Twarz miała okrągłą i rumianą, na głowie barwioną henną perukę z krótkimi włosami układającymi się w fale. Dostrzegłem tylko jedno podobieństwo do Clare: oczy o błyszczących czarnych tęczówkach, najwyraźniej stanowiących cechę rodzinną. Otyłe ciało wcisnęła w różowy kostium, białe buty przypominały chodaki, kapelusz zaś musiała zrobić w dzień wolny od pracy ta sama modystka, spod której rąk wyszedł czarny kapelusik zdobiący głowę Clare, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Pani Langrishe spojrzała na mnie i uniosła namalowaną brew.

– Pan jest Marlowe?

– Owszem.

Dłonią wskazała krzesło obok siebie.

– Niech pan tu siada. Chcę się panu dobrze przyjrzeć.

Usiadłem. Dokładnie zlustrowała wzrokiem moją twarz. Jedno mogę jej przyznać: jak należało się spodziewać, ładnie pachniała. Przy każdym ruchu kostium uszyty z czegoś, co chyba nosi nazwę tafty, wydawał szelest i z fałdów dobywała się woń perfum.

– Pracuje pan dla mojej córki, tak?

Wyjąłem papierośnicę oraz zapalki i zapaliłem papierosa. Nie, nie zapomniałem o poczęstowaniu jej, ale machnęła ręką na znak, że nie chce.

– W jaki sposób pani się o mnie dowiedziała, pani Langrishe?

– Pyta pan, jak pana wytropiłam? – Zachichotała. – To by wiele panu powiedziało, co? – Kelner wrócił z imbrykiem i nerwowo nalał jej herbaty. – Spójrz na nią teraz – zwróciła się do kelnera pani Langrishe. – Jest tak mocna, że mysz by po niej przeszła.

– Dziękuję pani. – Kelner uśmiechnął się z ulgą, zerknął na mnie i odszedł.

Pani Langrishe dołała mleka do herbaty i wrzuciła cztery kostki cukru.

– W domu mi na to nie pozwalają – rzuciła ponuro, odkładając szcypce. – Lekarze, też mi coś! – Zmarszczyła czoło.

Milczałem. Wydawało mi się mało prawdopodobne, by ktokolwiek mógł czegokolwiek zabronić tej kobiecie.

– Napije się pan? – spytała, ale grzecznie odmówiłem. Nie zniósłbym dwóch filiżanek herbaty w ciągu dnia. Pani Langrishe napiła się, trzymając spodek tuż pod brodą. Chyba siorbnęła. – Słyszałam coś o zaginionym naszyjniku. Czy to prawda? – spytała.

– Czy Clare... Czy to pani Cavendish poinformowała panią o tym?

– Nie.

Czyli musiał jej powtórzyć mąż Clare. Rozparty na krześle, zapaliłem papierosa i starałem się wyglądać na rozluźnionego. Ludzie zwykle uważają prywatnych detektywów za głupków. Sądzą chyba, że byliśmy zbyt tępi, by dostać się do policji i zostać prawdziwymi detektywami. Niekiedy mają rację. Zresztą granie matola przynosi korzyści. Ludzie się rozluźniają, co pociąga za sobą nieuwagę. Wyraźnie widziałem jednak, że nie dotyczy to pani Dorothei Langrishe. Nawet jeśli wyglądała jak irlandzka praczka i wyrażała się jak robotnik portowy, to umysł miała ostry jak szpilka od jej kapelusza.

Odstawiwszy filiżankę i spodek, surowo rozejrzała się po barze.

– Niech pan tylko popatrzy na to miejsce. Tak mógłby wyglądać burdel w Kairze. Co nie znaczy, że kiedykolwiek byłam w tym mieście – dorzuciła wesoło. Sięgnęła po menu w kształcie starożytnego zwoju z imitacją hieroglifów na marginesach, zbliżyła do twarzy i przyjrzała się mu, mrużąc oczy. – Och, nie dam rady tego przeczytać. Zapomniałam okularów. – Podała mi kartę. – Proszę sprawdzić, czy mają tu jakieś ciasta.

– Mają wiele rodzajów – odparłem. – Na jakie ma pani ochotę?

– Mają czekoladowe? Lubię czekoladę. – Pomachała tłustą małą dłonią i podszedł kelner. – Niech pan mu powie – zwróciła się do mnie.

– Pani chciałaby spróbować Triple-Cocoa Fondant Delight.

– Już się robi – odparł kelner i zniknął. Nawet nie spytał, czy ja czegoś sobie życzę. Musiał się domyślić, że, podobnie jak on, tylko służę.

– Clare nie zatrudniła pana z powodu pereł – oświadczyła pani Langrishe. Poszperawszy w torebce, wyjęła niewielkie szkło powiększające z kościaną rączką. – Moja córka nie jest kobietą, która gubi rzeczy, zwłaszcza takie jak perłowe naszyjniki.

Spojrzałem na jeden z posągów przedstawiający niewolnicę. Owalne, zaznaczone grubą czarną kreską oczy były nienaturalnie wydłużone; sięgały do połowy skroni zwieńczonych hełmem jasnych włosów. Rzeźbiarz obdarzył niewolnicę ładnym biustem i jeszcze ładniejszymi pośladkami. Tacy już są rzeźbiarze – ich celem jest sprawianie przyjemności, w tym wypadku mężczyznom w barze.

– Chciałbym znowu panią zapytać, pani Langrishe, w jaki sposób pani się o mnie dowiedziała?

– Proszę sobie nie zaprzętać tym głowy. Nietrudno było pana znaleźć.
– Posłała mi filuterne spojrzenie. – Nie pan jeden potrafi prowadzić dochodzenie.

Nie zamierzałem dać się zbić z tropu.

– Czy to pan Cavendish powiedział pani o mojej wizycie?

Wtedy przyjechał deser Triple-Cocoa Fondant Delight i oczy pani Langrishe zmrużyły się w wąskie chciwe szparki. Niczym Sherlock Holmes uważnie obejrzała go przez szkło powiększające.

– Richard nie jest złym człowiekiem – powiedziała, jak gdybym krytykował jej zięcia. – Choć oczywiście leń patentowany. – Nabrała widelczykiem ciasta do ust. – Och, pychota. Mmm.

Zastanawiałem się, co powiedzieliby lekarze, widząc, jak pochłania ten niezdrowy przysmak.

– Tak czy inaczej, wyjaśni mi pani, dlaczego mnie pani tu zaprosiła?

– Już mówiłam: chciałam się panu przyjrzeć.

– Proszę mi wybaczyć, pani Langrishe, ale skoro już mi się pani przyjrzała...

– Och, niechże pan da spokój – przerwała mi spokojnie. – Niech pan nie wali z takiej grubej rury. Jestem pewna, że moja córka sowicie pana opłaca... – Mogłem jej powiedzieć, że na razie nie dostałem od jej córki ani centa. – Może pan więc poświęcić kilka minut jej biednej starej matce.

Cierpliwości, Marlowe, cierpliwości, nakazałem sobie.

– Nie mogę z panią rozmawiać o zleceniu. To sprawy między pani córką i mną.

– Pewnie, że tak. Czy twierdziłam inaczej? – Na brodzie miała krem. – Ale to moja córka i zastanawiam się, czemu musiała zatrudniać prywatnego detektywa.

– Wyjaśniła pani...

– Wiem, wiem. Zgubiła cenny naszyjnik z pereł. – Zwróciła się ku mnie, a ja starałem się nie patrzeć na biały krem na jej podbródku. – Bierze mnie pan za idiotkę, Marlowe? – spytała niemal słodko, z uśmiechem. – To nie ma nic wspólnego z perłami. Clare ma kłopoty, prawda? Jest szantażowana?

– Mogę jedynie powtórzyć, panie Langrishe: Nie mogę z panią rozmawiać o sprawach pani córki.

Nie spuszczając ze mnie wzroku, skinęła głową.

– Wiem. Usłyszałam za pierwszym razem.

Odłożyła widelczyk, westchnęła z zadowoleniem i otarła usta serwetką. Rozważałem zamówienie drinka, czegoś z gorzkimi dodatkami i zielonym listkiem, ale zrezygnowałem. Wyobraziłem sobie, jak pani Langrishe sardonicznie przygląda się szklance.

– Wie pan coś o perfumach, panie Marlowe? – zapytała.

– Wiem, kiedy je czuję.

– Tak, tak. Ale czy wie pan cokolwiek o ich wytwarzaniu? Nie? Tak przypuszczałam. – Odchyliła się na oparcie krzesła i jakby zatańczyła małe shimmy w swoim różowym kostiumie.

Poczułem, że zaczyna się wykład, przybrałem więc jak najbardziej skupiony wyraz twarzy. Co tu właściwie robiłem? Może jestem zbyt dobrze wychowany, by wychodziło mi to na dobre.

– Większość ludzi z branży perfumeryjnej opiera swoje produkty na olejku różanym – zaczęła pani Langrishe. – Mój sekret polega na używaniu wyłącznie tak zwanego ekstraktu różanego, otrzymywanego nie przez destylację, ale metodą rozpuszczania. To produkt znacznie wyższej jakości. Wie pan, skąd pochodzi?

Pokręciłem głową, ponieważ tylko tego po mnie oczekiwano: słuchać, potrząsać głową, uważać.

– Z Bułgarii! – zaskrzeczała tonem gracza wykładającego pokera. – Tak jest, z Bułgarii. Róże zbierają rano, przed wschodem słońca, kiedy kwiaty pachną najmocniej. Na wytworzenie uncji ekstraktu potrzeba co najmniej stu kilogramów płatków różanych, więc może pan sobie wyobrazić koszty. Proszę tylko pomyśleć: sto kilo na uncję! – W oczach pani Langrishe zagościł wyraz rozmarzenia. – Zbiłam majątek na kwiatku. Da pan wiarę? Róża damasceńska, *Rosa damascena*. To piękna rzecz, panie Marlowe, jeden z darów, jaki Bóg dał nam za darmo ze swych wielkich i wspaniałych zasobów.

Znów westchnęła z zadowoleniem. Była bogata, szczęśliwa, z brzuchem pełnym Triple-Cocoa Fondant Delight. Odrobinę jej zazdrościłem. Potem jej spojrzenie pociemniało.

– Niechże pan mi powie, Marlowe, po co moja córka pana zatrudniła, dobrze? Zrobi pan to?

– Nie, pani Langrishe. Nie zrobię. Nie mogę.

– Pewnie nie przyjmie też pan pieniędzy. Wie pan, że jestem bardzo bogata.

– Owszem, pani córka mi mówiła.

– Mógłby pan wymienić swoją cenę. – Tylko na nią spojrzałem. – Boże, panie Marlowe, ależ z pana uparciuch.

– Nic podobnego – zaprzeczyłem. – Jestem zwykłym facetem, który próbuje zarobić i zachować uczciwość. Są tysiące takich ludzi, pani Langrishe, miliony. Wykonujemy nasze nudne prace, wracamy zmęczeni do domu i nie pachniemy różami.

Przez pewien czas milczała, przyglądając mi się z lekkim uśmiechem. Z radością spostrzegłem, że otarła krem z podbródka. Ta drobina śmietany na nic nie mogła się jej przydać.

– Słyszał pan o irlandzkiej wojnie domowej? – spytała.

– Znałem kiedyś faceta, który walczył w jednej z irlandzkich wojen – odparłem, nieco zbity z tropu. – Chyba w wojnie niepodległościowej.

– To było wcześniej. Wojny o niepodległość wybuchają zazwyczaj przed wojną domową. Tak to już jest. Jak się nazywał pański przyjaciel?

– Rusty Reagan. Nie był moim przyjacielem. Właściwie nigdy go nie spotkałem. Zginął z rąk dziewczyny. To długa i niezbyt budująca historia.

Pani Langrishe nie słuchała. Po wyrazie jej twarzy poznałem, że wspomina dawne czasy.

– Mój mąż poległ na tej wojnie – powiedziała. – Był z ludźmi Michaela Collinsa. Wie pan, kim był Michael Collins?

– Partyzantem? Irlandzka Armia Republikańska?

– Właśnie. Jego też zamordowali. – Sięgnęła po pustą filiżankę, zajrzała do niej, odstawiła.

– Co się stało z pani mężem? – spytałem.

– Przyszli po niego w nocy. Nie wiedziałam, dokąd go zabierają. Znalezione go dopiero następnego dnia. Zabrali go na brzeg w Fanore... wtedy nic tam jeszcze nie było... zakopali po szyję w piasku. Tak go zostawili, żeby patrzył na przypyływ morza. W Fanore woda podnosi się długo. Znaleźli go dopiero przy odpływie. Nie chcieli pokazać mi ciała. Pewnie ryby zdążyły się do niego dobrać. Miał na imię Aubrey. Aubrey Langrishe. Co za dziwaczne imię dla Irlandczyka! Wie pan, w wojnie domowej nie walczyło wielu protestantów. Naprawdę było ich niewielu.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Przykro mi, pani Langrishe – odezwałem się w końcu.

– Co takiego? – Spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem. Chyba o mnie zapomniała.

– Świat jest okrutnym miejscem – stwierdziłem.

Ludzie stale opowiadają mi o strasznych rzeczach, jakie spotkały ich oraz ich bliskich. Żal mi było tej smutnej starszej pani, ale nieustanne okazywanie współczucia wywołuje znużenie.

– Kiedy umarł, byłem w siódmym miesiącu – powiedziała smutno. – Clare nie poznała ojca. To chyba wywarło na nią wpływ. Ona udaje, że nie, ale ja wiem.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na mojej. Ten dotyk mocno mnie zaskoczył, ale starałem się nie dać tego po sobie poznać. Skóra jej dłoni była ciepła i szorstka jak... hm... jak papirus, przynajmniej tak to sobie wyobrażałem.

– Proszę zachować ostrożność, panie Marlowe. Chyba nie zdaje pan sobie sprawy z tego, z kim pan ma do czynienia.

Nie byłem pewien, kogo miała na myśli: siebie, córkę czy kogoś innego.

– Będę uważał – obiecałem, ale puściła to mimo uszu.

– Niektórych można zranić, mocno zranić – powiedziała żarliwie i puściła moją dłoń. – Rozumie pan?

– Nie zamierzam ranić pani córki, panie Langrishe.

Patrzyła mi w oczy wzrokiem, którego nie potrafiłem rozgryźć. Jak gdyby trochę się ze mnie nabijała, a zarazem dawała do zrozumienia, żebym trzymał się z daleka. To była twarda sztuka, prawdopodobnie bezlitosna; prawdopodobnie marnie płaciła pracownikom, a gdyby zechciała, pewnie mogłaby kazać mnie zabić. Jednocześnie było w niej coś nieodparcie ujmującego. Wytrwałość. Nieczęsto sięgam po to słowo, ale w tym przypadku pasowało doskonale.

9

Pojechałem do Bull and Bear, żeby coś przekąsić; od patrzenia na matkę Langrishe opychającą się deserem czekoladowym zgłodniałem, zresztą była pora lunchu. Sunąc po Strip, z jednym palcem na kierownicy, znowu rozważałem powiadomienie Clare Cavendish, że się wypisuję. Nie odesłała podpisanej umowy, żadna brudna mamona nie przeszła jeszcze z rąk do rąk, mogłem więc swobodnie pomachać jej na pożegnanie. Niełatwo jednak odejść od takiej kobiety, chyba że człowiek jest zmuszony, a nawet wtedy nie jest to proste. Przypomniałem sobie, jak siedziała w moim biurze, paląc black russian w hebanowej fifce, i wiedziałem, że jeszcze nie potrafię tego zrobić.

Sam nie wiem, co jest gorsze: bary udające irlandzkie, z plastikowymi listkami koniczyny i laskami z tarniny, czy typowe angielskie knajpy jak Bull. Mógłbym opisać ten pub, ale brak mi odwagi. Wyobraźcie sobie tarcze do rzutków, drewniane krany do piwa oraz oprawione, barwione na różowo zdjęcie młodej królowej Elżbiety – tej obecnej – na koniu. Usiadłem przy stoliku w kącie, zamówiłem kanapkę z rostbefem i kufel piwa. Piwo podano ciepłe, jak w londyńskiej dzielnicy Lambeth; co do kanapki, to człowiek z pewnością przytomnieje, kiedy zbyt długo żuje pieczoną wołowinę, twardą jak język Anglika. Jak miałem dalej prowadzić poszukiwania Nico Petersona? Jeśli naprawdę żył, ktoś musiał wiedzieć, gdzie się znajduje

i co zamierza. Ale kto? Nagle przypomniałem sobie o wspomnianej przez Clare Cavendish aktorce, z którą – lub dla której – pracował Peterson. Jak ona się nazywała? Jakaś Mandy... tak, Mandy Rogers – Jean Harlow dla ubogich. Łyknąłem piwa w kolorze pasty do butów i o smaku mydlin. Jakim cudem Brytania władała morzami, skoro poła swoich marynarzy czymś takim?

Wstałem od stolika, udałem się do automatu telefonicznego i zadzwoniłem do starego znajomka, Hala Wisemana. Hal robił w tej samej branży co ja, tyle że brał pensję od wytwórni Excelsior Studios. Miał wyszukany tytuł – szef ochrony czy coś w tym guście – i zazwyczaj się nie przemęczał, bo niby czym? Pełnił funkcję opiekuna gwiazdek i pilnował, żeby młodsi aktorzy trzymali się prostej, wąskiej ścieżki, a przynajmniej nie łazili drogą zbyt krętą i szeroką. Czasami wykorzystywał kontakty w biurze szeryfa, by oczyścić którąś z gwiazd Excelsioru z zarzutów związanych z narkotykami, prowadzeniem pod wpływem lub biciem żony. To nie było złe życie, tak twierdził Hal. Czekaając, aż odbierze, próbowałem wydłubać językiem chrząstkę spomiędzy górnych zębów trzonowych. Rostbef ze starej dobrej Anglii nie odpuszczał łatwo.

W końcu mój dawny znajomy podniósł słuchawkę.

– Cześć, Hal.

– Siemano, Phil, jak leci? – odpowiedział, momentalnie rozpoznając mój głos.

– Wszystko w porządku.

– Jesteś na przyjęciu? Słyszę w tle odgłosy zabawy.

– Jem lunch w Bull and Bear. Nie ma tu żadnej zabawy, zwykła klientela. Posłuchaj, Hal, znasz może Mandy Rogers?

– Mandy? Owszem, znam Mandy. – Nagle zrobił się ostrożny. Hal nie wygląda jak model z okładki. Stanowi połączenie Wallace’a Beery’ego z Edwardem G. Robinsonem, więc tym trudniej wyjaśnić jego

powodzenie u kobiet, jeśli nie jesteś kobietą. Może doskonale opanował sztukę konwersacji. – Czemu pytasz?

– Pewien facet pracował dla niej jako agent. Niejaki Nico Peterson.

– Nie słyszałem o nim.

– Jesteś pewien?

– Na pewno jestem. O co chodzi, Phil?

– Myślisz, że mógłbyś mi załatwić spotkanie z panną Rogers?

– Po co?

– Chciałbym porozmawiać o Petersonie. Parę miesięcy temu zabito go w Pacific Palisades.

– Serio? – Słyszałem, jak Hal nadal się zamyka, powoli, niczym wielki małż. – Jak zginął?

– Wpadł pod samochód, kierowca zbiegł.

– No więc?

– Moja klientka płaci mi za to, żebym zajął się śmiercią Petersona.

– Coś w tej sprawie się nie zgadza?

– Możliwe.

W słuchawce zapadło milczenie. Słyszałem, jak Hal oddycha, choć może były to długie, wolne uderzenia jego pracującego umysłu.

– Co ma z tym wspólnego Mandy Rogers?

– Zupełnie nic. Chciałbym tylko wzbogacić swoją wiedzę na temat Petersona. Ten człowiek jest swego rodzaju enigmą.

– Czym?

– Powiedzmy, że pewne rzeczy się nie zgadzają.

Kolejne oddechy i głęboki namysł.

– Mandy chyba będzie mogła z tobą porozmawiać – odezwał się w końcu i wydał z siebie stłumiony śmiech. – Ostatnio nie jest zbyt zajęta. Zostaw to mnie. Nadal siedzisz w tej norze na Cahuenga? Zadzwoń.

Wróciłem do stolika, ale na widok połówki kanapki i połowy kufła piwa straciłem odwagę, rzuciłem banknot na stół i wyszedłem. Skądś

napłynęła wielka purpurowa chmura, przesłoniła słońce, przez co światło na ulicy stało się krwiste i posępne. Może zbierało się na deszcz. W lecie w Los Angeles byłoby to miłą odmianą.

Hal, człowiek słowny, zadzwonił po południu. Mandy Rogers spotka się ze mną w studio; powinienem natychmiast przyjechać. Chwyciłem kapelusz, zamknąłem biuro na klucz i wyszedłem na ulicę. Chmura wciąż wisiała nad miastem, a może była to inna, podobna; na chodniku rozpryskiwały się krople deszczu wielkości srebrnych dolarówek. Biegłem do samochodu akurat w chwili, gdy ulewa się wzmagala. Rzadko tu pada, ale kiedy już, to na fest. Wycieraczki oldsmobila nadawały się do wymiany, więc chcąc widzieć szosę, musiałem zgarbić się nad kierownicą i prawie dotknąć nosem przedniej szyby.

Hal czekał na mnie przy bramie wytwórni filmowej, chroniąc się w budce dozorca. Wyłonił się z niej z marynarką na głowie i wskoczył do mojego samochodu.

– Szlag by to trafił – rzucił. – Po trzech krokach jestem przemoczony, spójrz tylko.

Czy wspomniałem, że Hal jest elegantem? Dziś miał na sobie jasny lniany dwurzędowy garnitur, zielony jedwabny krawat oraz białobłękitne brogdy. Do tego złoty łańcuszek na nadgarstku, dwa lub trzy pierścienie i rolex. Nieźle mu się wiodło; może powinienem zrobić rekonesans w branży filmowej.

– Dzięki za pomoc, Hal. Doceniam to – zapewniłem.

– No, tak. – Marszcząc brwi, strzepnął deszczówkę z watowanych ramion marynarki.

Studia filmowe to osobliwe miejsca. Człowiek ma wrażenie, że śni na jawie, gdy spotyka kowbojów i tancerki kabaretowe, małpoludy i rzymskich centurionów, najzwyczajniej w świecie zmierzających do pracy jak ludzie idący do biur czy fabryk. Tego dnia prezentowali się

jeszcze dziwniej niż zwykle, ponieważ większość dzierżyła parasole. Na każdym widniało logo wytwórni: żółte słońce wschodzące z karmazynowego jeziora i wykaligrafowany złoty napis „Excelsior Pictures”.

– Czy przed chwilą minęliśmy Jamesa Cagneya? – spytałem.

– Tak. Wypożyczono go od Warner Brothers, żeby zagrał dla nas w filmie o boksie. Film jest główniany, ale Cagney go pociągnie. Od tego właśnie są gwiazdy. Skręć w lewo.

– Znasz francuskie słowo *blasé*, Hal?

– Nie. Co ono znaczy?

– Znaczy, że wszystko już widziałeś i całą resztę masz gdzieś.

– Rozumiem – odparł kwaśno. Nadal strzepywał krople wody z kłapy garnituru. – Sam zobaczysz, jak będziesz się czuł, wycierając rzygowiny z tylnego siedzenia swojego samochodu o czwartej nad ranem, po wyciągnięciu kolejnego gwiazdora z izby wytrzeźwień i odwiezieniu go do willei w Bel-Air. No i są panie, a te są najgorsze. Spotkałeś kiedyś Tallulę Bankhead?

– Raczej nie.

– Możesz się uważać za szczęściarza.

Po chwili znaleźliśmy się przy stołówce. Z drzwi wyskoczył jasnowłosy chłopak w wiatrówce, z firmowym parasolem wytwórni Excelsior, i zaprowadził Hala do środka. Ja musiałem radzić sobie z deszczem na własną rękę.

– Daj Joeyowi kluczyki. Zajmie się twoim wozem – polecił Hal.

Joey błysnął zębami w uśmiechu. Jego stara matka w Peorii czy gdzieś tam musiała wydać oszczędności całego życia na jego dentystę. Każdy człowiek w Hollywood jest potencjalną nadzieją.

Z powodu popołudniowej pory studio świeciło pustkami. Obok długiej lady do wydawania jedzenia znajdowało się duże okno wychodzące na trawiaste zbocze z palmami i ozdobnym jeziorkiem. Przy deszczu woda w jeziorku wyglądała jak łożo najeżone gwoździami.

Mandy Rogers siedziała przy oknie, z podbródkiem podpartym dłonią; patrzyła na smutny szary dzień i oddawała się wzniosłym rozmyślaniom.

– Hej, Mandy – pozdrowił ją Hal, kładąc rękę na ramieniu aktorki. – To jest facet, o którym ci wspominałem, Philip Marlowe.

Niespiesznie ocknęła się z zamyślenia i skierowała na mnie oczy wielkie jak spodki. Jedno muszę przyznać: ludzie filmu, choćby najpośledniejszego sortu, mają to coś. Tak wiele czasu spędzają na patrzeniu w rozmaite rzeczy – kamery, lustra, oczy wielbicieli – że ich spojrzenie nabiera swoistego połysku, jakby oczy powleczono im specjalnym gatunkiem miodu. W przypadku kobiet, jeśli poczęstują cię takim spojrzeniem z bliska, efekt zapiera dech w piersiach.

– Pan Marlowe – powiedziała Mandy Rogers i podała mi drobną dłoń. – Jestem zachwycona. – Jej głos rozproszył nieco czar, był bowiem tak wysoki i świdrujący, że mogłaby nim się podpisywać na szkle.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać, panno Rogers.

– Och, proszę mi mówić Mandy.

Nadal trzymałem jej dłoń, której nie próbowała cofnąć.

– Usiądź, Phil – rzucił sucho Hal. – Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć.

Czyżby wywarła na mnie tak silne wrażenie? Mandy Rogers nie była Ritą Hayworth. Drobna, choć nie szczupła, blondynka o idealnej figurze, ustach w kształcie motyla i pulchnym podbródkiem. Miała za to ładne oczy, duże, okrągłe i jasnobłękitne. Obcisła ciemnoczerwona sukienka z głębokim dekoltem i szerokim dołem. Tylko w studio filmowym dziewczyna mogła paradować w takim stroju po południu.

W końcu cofnęła rękę i usiadłem na metalowym krześle. Kątem oka dostrzegłem za oknem błękitnika, który sfrunął z palmy i wylądował w mokrej trawie.

– Dobra, zostawię was samych – powiedział Hal. – Mandy, uważaj na tego gościa. Nie jest tak niegroźny, na jakiego wygląda. – Na pożegnanie trącił mnie lekko w ramię.

– On jest taki miły. – Mandy westchnęła. – Czego nie da się powiedzieć o wszystkich w branży.

– Jestem pewien, że to prawda, panno Rogers.

– Mandy – poprawiła mnie i pokręciła głową z uśmiechem.

– Zgoda, Mandy.

Na stole przed nią stała butelka coli ze słomką.

– Czy Hal mówi prawdę? – spytała. – Jesteś taki niebezpieczny?

– Nie. Zobaczysz, jakie ze mnie popychadło.

– Mówił, że jesteś prywatnym detektywem. To musi być ekscytujące.

– Prawie nie do zniesienia.

Posłała mi rozmarzony uśmiech, sięgnęła po butelkę i zaczęła saczyć coca-colę. Ktoś mógłby uznać, że jest tylko dzieciakiem, który pije napój gazowany w kawiarni, marząc o zostaniu gwiazdą filmową. Gdy pochyliła się nad słomką i spuściła wzrok, górne rzęsy prawie dotknęły policzka. Zastanawiałem się, jak dużo już zawdzięcza mężczyznom w mieście i ilu ich było.

– Nico Peterson był twoim agentem, tak? – spytałem.

– Hm... chciał nim zostać – odparła, odstawiając butelkę. – No, załatwił mi pracę. Grałam w *Riders of the Red Dawn*. Widziałeś ten film?

– Jeszcze nie – odparłem.

– Och, już zszedł z ekranu. Miał w nim wystąpić Joel McCrea, ale coś mu wypadło i nie dał rady. Grałam córkę ranczera.

– Jak gdzieś będą go grali, pójdę obejrzeć.

– Miły jesteś. – Przechyliła głowę na bok. – Wszyscy prywatni detektywi są tacy jak ty?

– Nie wszyscy. – Poczęstowałem ją papierosem ze srebrnej papierośnicy, ale skromnie zacisnęła usta i pokręciła głową. Bez trudu wyobraziłem ją sobie jako córkę ranczera, delikatną w jednej chwili, a zaraz potem pełną ikry, w barwnej bawełnianej sukience, wysokich butach, z wielką kokardą we włosach. – Co możesz mi powiedzieć o Nico Petersonie? – spytałem.

– A co chciałbyś wiedzieć? – Mandy przygryzła wargę i odgarnęła kokieteryjnie jasne włosy. W ciągu pięciu minut, odkąd ją ujrzałem, wypróbowała ze sześć ról, od nastolatki w podkolanówkach po wielkooką syrenę. Mimo to była jedynie dzieciakiem.

– Kiedy go ostatnio widziałaś?

Mandy przytknęła palec wskazujący do twarzy, blisko kącika ust, i utkwiała wzrok w suficie. Oczami wyobraźni zobaczyłem didaskalia: *Milknie i zamyśla się.*

– Chyba na tydzień przed jego śmiercią – powiedziała. – Nico starał się załatwić mi rolę w nowym filmie z Doris Day. Wiesz, że panna Day naprawdę nazywa się Kappelhoff? Podobno ma tam też zagrać Rock Hudson. – Świeża buzia Mandy spochmurniała na moment. – Teraz pewnie nie dostanę tej roli. No, cóż.

Obok stolika przeszedł młodzieniec z tacą, odziany w kusy biały fartuch. Wyglądał jak młodszy brat tamtego, który trzymał nad Halem parasol, kiedy wysiedliśmy z samochodu na deszcz. Mogłem oddać się rozmyślaniom o tym, że przemysł filmowy pożera młodych i pełnych życia, ale zamiast tego zamówiłem kawę.

– Już się robi, proszę pana! – rzucił, posłał Mandy szeroki uśmiech i odszedł.

– Czy Nico był dobrym agentem? – spytałem. – Odnosił sukcesy?

Znowu po pewnym namyśle Mandy odparła:

– Nie należał do pierwszej ligi. Dopiero zaczynał, jak ja, chociaż oczywiście był starszy. Nie jestem pewna, co robił, zanim został agentem.

– Spotykałaś się z nim na gruncie towarzyskim?

Zmarszczyła nos, ale ta słodka, jasna twarzyczka nie mogła wyglądać na poważnie zasępioną.

– Pytasz, czy próbował... Och, nie. To nie była taka znajomość.

– Pytałem, czy zabierał cię w różne miejsca, gdzie poznawałaś ludzi.

– Jakich ludzi?

– Producentów, reżyserów, szefów wytwórni.

– Nie, na to był zbyt zajęty. Stale musiał się z kim zobaczyć.

– Tak, słyszałem.

– Naprawdę? – Nagle stała się czujna. – Od kogo?

– Od nikogo konkretnego – odparłem. – W tym mieście wszyscy plotkują.

– Co prawda, to prawda.

Wyglądała przez okno, mrużąc oczy. Nie chciałem wiedzieć więcej o Mandy Rogers, o wzlotach, a pewnie głównie upadkach jej dotychczasowej kariery. Mimo to usłyszałem, jak pytam:

– Skąd pochodzisz, Mandy?

– Ja? – Pytanie chyba autentycznie ją zdziwiło. Chwilowa dezorientacja sprawiła, że przestała grać. Nagle ujrzałem przed sobą czujną, niepewną, może nawet odrobinę zaniepokojoną dziewczynę. – Urodziłam się w Hope Springs w stanie Iowa. Pewnie nigdy tam nie byłeś. Nikt tam nie bywa. Hope Springs to miejscina, z której ludzie wyjeżdżają.

Młody pikolak wrócił z kawą. Znów pożerał Mandy wzrokiem, ona zaś odwzajemniła się nieobecny uśmiechem. Nadal myślała o Hope Springs i wszystkich rzeczach, albo całej pustce, jaką zostawiła.

– Jak dowiedziałas się o śmierci Nico? – spytałem.

Po namyśle pokręciła głową.

– Wiesz, nie potrafię sobie przypomnieć. Czy to nie dziwne? Musieli o tym mówić tu, w studio. Ktoś musiał mi powiedzieć.

Zerknąłem za okno. Błękitnik znów podfrunął na palmę i zniknął w cieniu liści. Oto prawdziwe szczęście: w jednej chwili tu siedzi, zaraz potem go nie ma. Przynajmniej deszcz przestawał padać.

Mandy napiła się coli. Z prawie pustej butelki dobyło się głośnie bulgotanie, a dziewczyna spojrzała na mnie pospiesznie, jakby w obawie, że się roześmieję.

– Czy kiedykolwiek spotkałaś przyjaciół Nico? – zapytałem. – Może jego dziewczynę?

– Och, miał ich na pęczki. – Zaśmiała się perliście.

– Nie poznałaś żadnej z nich?

– Parę razy widywałam go z kobietą, ale to chyba nie była jego dziewczyna.

– Jak wyglądała?

– Nie przyjrzałam się jej dokładnie. Raz byliśmy na przyjęciu i Nico z nią wychodził. Innym razem widziałam ich w barze, ale wtedy to ja wychodziłam. Wysoka. Ciemne włosy. Ładna twarz, wiesz, kanciasta, ale ładna.

– Dlaczego uważasz, że nie była jego dziewczyną?

– Nie zachowywali się w ten sposób. Nie była tak naprawdę z nim, rozumiesz? Nieco przypominała Nico, może byli spokrewnieni. Nie wiem. – Mandy pogrzebała słomką w pustej butelce po coli. – Pracujesz dla jednej z jego dziewczyn?

Zastanawiałem się, co Hal powiedział jej o mnie i moich poszukiwaniach Nico, żywego lub martwego. Sam nie powiedziałem mu dużo – bo też wiele tego nie było – więc pewnie musiał coś zmyślić. To do niego podobne. Mimo szorstkiego sposobu bycia ma bujną wyobraźnię i lubi koloryzować nudną prawdę. Mandy Rogers myślała pewnie, że pracuję dla kobiety, którą Nico rzucił przed śmiercią. Właściwie chyba tak było.

– Jaki on był? – spytałem.

– Jaki był? – Mandy zmarszczyła czoło. Najwyraźniej aż do dziś Peterson nie zaprzętał specjalnie jej myśli, nawet jeśli załatwił jej rolę w *Riders of the Red Dawn*. – Kurczę, chyba nie znałam go zbyt dobrze. Był tylko facetem robiącym karierę. Raczej go lubiłam, oczywiście nie w tym sensie. Nie był nawet moim przyjacielem, po prostu pracowaliśmy razem. – Po chwili przerwy dodała: – Raz poprosił, żebym

pojechała z nim do Meksyku. – Odwróciła wzrok i nawet się zarumieniła.

– Serio? – spytałem, kryjąc zainteresowanie. – Konkretnie dokąd w Meksyku?

Mandy znowu przygryzła wargę. Kogo grała teraz? Może Doris Kappelhoff w jednym z kowbojskich filmów.

– Do Acapulco. Nico często tam jeździł, przynajmniej tak mówił. Znał ludzi, rozumiałam, że ma na myśli bogaczy.

– Ale nie pojechałaś.

Otworzyła szeroko oczy i usta.

– Oczywiście, że nie. Chyba nie bierzesz mnie za typową hollywoodzką wywłokę, gotową pójść wszędzie i z każdym.

– Nie, nie – uspokoilem ją. – Nic podobnego nie przyszło mi do głowy. Ale był od ciebie starszy, więc mógł przecież zaproponować ci miłą wspólną podróż.

Mandy uśmiechnęła się posepnie.

– Nico miał dziewczyny, ale one nie były jego przyjaciółkami. Wiesz, co mam na myśli?

Do stołówki wszedł człowiek tak podobny do Gary’ego Coopera, że nie mógł to być on. W bryczesach do konnej jazdy, skórzanych wysokich butach, z czerwoną chustą na opalonej szyi; na biodrze miał kaburę z sześciostrzałowym rewolwerem. Zaopatrzywszy się w tacę, ruszył wzdłuż lady, przyglądając się potrawom.

– Bardzo mi pani pomogła, panno Rogers – powiedziałem i posłałem jej swój uśmiech kłamcy.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Niby jak?

– W mojej branży – ściszyłem głos, jakbym zdradzał tajemnicę zawodową – nie ma rzeczy nieistotnych, wszystko pomaga zbudować obraz.

Mandy wpatrywała się we mnie z rozchylonymi ustami; między jej brwiami wykwitła zmarszczka zdumienia.

– Obraz czego? – spytała, podobnie jak ja, szeptem.

Odepchnąwszy filiżankę po kawie, sięgnąłem po kapelusz. Deszcz przestał padać, a słońce igrało chyba z myślą ponownego wyłonienia się zza chmur.

– Powiedzmy, Mandy, że wiem teraz więcej, niż kiedy tu przyszedłem – odparłem i powoli mrugnąłem.

Dziewczyna przytaknęła, wciąż wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. Na swój sposób była słodka; mimowolnie z niepokojem pomyślałem, co zgotuje jej przyszłość w branży, jaką wybrała.

– Czy mogę znowu do ciebie przyjść, gdyby przyszły mi do głowy pytania, na które mogłabyś znać odpowiedź?

– Pewnie – rzuciła. Potem przypomniała sobie, kim ma być, więc zwilżyła wargi językiem i leniwie oparła się na krześle, odsłaniając śnieżnobiałą szyję. Domyśliłem się, że ma to być Barbara Stanwyck w *Podwójnym ubezpieczeniu*, filmie, który akurat widziałem. – Niech pan przychodzi, kiedy pan chce. Hal wskaże panu do mnie drogę.

Wychodząc, minąłem stolik, przy którym kowboj w czerwonej chuście pochylał się nad chili con carne i wpychał w siebie jedzenie, jakby lada chwila ktoś mógł się podkraść i mu je zabrać. Naprawdę był podobny do Coopa jak dwie krople wody.

10

Nie wiedziałem, dokąd jadę, dopóki nie dotarłem na miejsce. Świeże po deszczu powietrze pachniało melancholią. Z opuszczonym oknem napawałem się chłodną bryzą pieszczącą mi twarz. Myślałem o Mandy Rogers i wszystkich podobnych dzieciakach, które przyciągnęło na Zachodnie Wybrzeże marzenie, że pewnego dnia wystąpią u boku Doris i Rocka w durnym melanzu kiczowatych piosenek, futer z norek i białych telefonów. Jakiś chłopak w Hope Springs na pewno wciąż usychał z tęsknoty za Mandy. Widziałem go z jasnością światła nad wzgórzami Hollywood: dryblas z łapami jak bochny i odstającymi uszami. Czy kiedykolwiek myślała o tym chłopcu wypłakującym za nią łązy na polu kukurydzy? Było mi go żal, nawet jeśli Mandy tego nie czuła. Taki właśnie nastrój mnie ogarnął, taka to była pora, tuż po deszczu.

Zaparkowałem na początku Napier Street i ruszyłem pieszo do domu Petersona. Nie chciałem kolejnego spotkania ze starym z naprzeciwka, a uznałem, że jeśli podjadę, rozpozna oldsmobila; takie typy lepiej poznają samochody niż ludzi. Chałupa starego była zamknięta; nigdzie go nie widziałem. Tym razem nie podszedłem do frontowych drzwi Petersona, ale zaszedłem od tyłu. Wilgotna trawa skrzypiała pod butami.

Podwórze zarosło. Oprócz zapuszczonych akacji ujrzałem pnącza oraz bladożółte kwiaty duszące wszystko, co napotkały. Tutaj, jak od frontu, na werandę prowadziło kilka drewnianych stopni. Okna pokrywała warstwa kurzu. Śpiący pod drzwiami kocur otworzył oko,

spojrzał na mnie, wstał powoli i odszedł, podrygując ogonem. Co dostrzegają w nas koty, że darzą nas taką pogardą?

Spróbowałem drzwi, ale były zamknięte, co mnie nie zdziwiło. Na szczęście na kółku z kluczami miałem poręczny przyrząd, który dostałem w czasach pracy dla prokuratora okręgowego i zdołałem zatrzymać po odejściu z posady. Od tamtej pory pomagał mi w nieoceniony sposób. Wytrych, wykonany z czarnego metalu o granatowym połysku używanego do produkcji kamertonów, otwierał wszystkie zamki, może z wyjątkiem tego wielkiego w Fort Knox. Zerknąwszy pospiesznie najpierw przez lewe, potem przez prawe ramię, wsunąłem go w dziurkę pod klamką, trochę pomajstrowałem – z zaciśniętymi zębami i z przymkniętym okiem – wreszcie usłyszałem kliknięcie zapadek i klamka się obróciła. Prokuratorem okręgowym był aktualnie niejaki Springer, gość o wielkich ambicjach politycznych. Chciałbym mu przekazać, jak bardzo czas spędzony w jego biurze przydawał się samotnemu pogromcy przestępców.

Zamknąwszy za sobą drzwi, oparłem się o nie plecami i przez chwilę stałem, nasłuchując. Nic nie może dorównać ciszy opuszczonego domu. W nieruchomym powietrzu unosiła się woń suchej zgnilizny. Czuję, jakby meble obserwowały mnie niczym psy stróżujące, zbyt zgnębione, żeby się podnieść czy choćby zaszczekać. Nie miałem pojęcia, czego szukam. Woń rozkładu, wszechobecny kurz, poszarzałe koronkowe firanki wiszące pośpiesznie w oknach – wszystko to sugerowało, że gdzieś, w zamkniętym pokoju, na łóżku, w zagłębieniu w kształcie ciała, mogą leżeć zwłoki, ze śladem zdziwienia w oczach utkwionych w sufit.

Mimo to doskonale wiedziałem, że żadnego ciała w domu nie znajdę. Zmasakrowane, krótko leżało na poboczu w Pacific Palisades, skąd pospiesznie zabrano je do kostnicy i spalono; zamieniło się więc w garść atomów rozrzuconych w powietrzu. W ostatnich dniach, odkąd Clare Cavendish weszła do mojego biura, Peterson stał się dla mnie widmową postacią, połyskliwą i zwodniczą, jak drgające plamki w oku, które

umykają, ilekroć próbujesz im się przyjrzeć. Ale co tak naprawdę obchodził mnie Peterson? Nic. Obchodził mnie ktoś inny.

To był nieduży dom i muszę przyznać, że lokator utrzymywał w nim porządek. Panował tu taki ład, że dom wyglądał na niezamieszkały. Rozejrzałem się po salonie, wsunąłem głowę do sypialni. Łóżko wyglądało tak, jakby pościeliła je szpitalna pielęgniarka: pościel wyrównano w rogach, poduszki były gładkie jak marmur.

Pomyszkowałem w szufladach, otworzyłem i zamknąłem kilka szaf, gdy usłyszałem, jak ktoś wsuwa klucz w zamek drzwi wejściowych. Moje reakcje należy uznać za typowe: włosy zjeżone na karku, łomot serca, pocenie się dłoni. W takich chwilach rozumiesz, jak czuje się zwierzę słyszące trzask gałązki pod butem, gdy unosi wzrok i widzi myśliwego na tle lasu. Akurat pochylałem się nad biurkiem, trzymając w dłoni oprawioną fotografię starszej pani – pewnie matki Petersona – w okularach w stalowych oprawkach, z dezaprobatą patrzącej w obiektyw. Przez zakurzoną szybę w drzwiach ujrzałem zarys kobiecej głowy. Drzwi się otworzyły. Powoli, uważnie, odstawiłem zdjęcie na biurko.

– Jezu! – wykrztusiła kobieta, cofnęła się i w przestraszu mocno nadepnęła na drewniany próg. – Kim jesteś?

W jednej chwili zrozumiałem dwie rzeczy z nią związane. Po pierwsze, że była kobietą, którą Mandy Rogers widziała z Petersonem, choć nie wiem, skąd się wzięła ta pewność; czasem człowiek po prostu coś wie i musi to przyjąć. Po drugie, pojąłem, że gdzieś już ją widziałem. Rozłożysta brunetka o dużej szczęce, szerokich biodrach i obfitym biuście. Była w obcisłej białej bluzce, jeszcze bardziej obcisłej czerwonej spódnicy i białych kłapkach na wysokich obcasach. Taka dziewczyna mogła mieć w torebce mały pistolecik.

– W porządku – zapewniłem, unosząc dłoń uspokajającym gestem. – Jestem znajomym Nico.

– Jak tu wszedłeś?

– Drzwi od tyłu nie były zamknięte na klucz.

Widziałem, że kobieta zastanawia się, czy zostać, czy jak najszybciej się wynieść.

– Jak się nazywasz? – spytała głosem twardzielki. – Kim jesteś?

– Philip Marlowe. Pracuję w ochronie.

– Jakiej ochronie?

Uraczyłem ją jednym ze swoich krzywych uśmiechów z serii „Och, to tylko ja”.

– Posłuchaj, może wejdiesz i zamkniesz drzwi. Nie zrobię ci krzywdy.

Uśmiech chyba podziałał. Kobieta weszła, zamknęła drzwi, choć ani na chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Jesteś siostrą Nico, prawda?

Strzelałem po omacku. Przypomniałem sobie, jak Floyd Hanson wspomniał, że siostra Petersona dokonała identyfikacji ciała w kostnicy. To musiała być ona. Oczywiście mogłem mieć do czynienia z jedną z jego licznych sympatii, ale wydało mi się to mało prawdopodobne. W tej samej chwili przypomniałem też sobie, gdzie ją widziałem: w szlafroku frotté i turbanie z ręcznika na głowie wychodziła przez drzwi basenowe w klubie Cahuilla. Ta sama szeroka twarz, te same zielone oczy. To dlatego Hanson na chwilę zamarł na jej widok. Była siostrą Petersona, a on nie chciał, żebym się z nią spotkał.

Przeszła kilka kroków w bok, wciąż bacznie mnie obserwując, stanęła przy fotelu i położyła dłoń na oparciu. Ponieważ stała blisko okna, mogłem dobrze jej się przyjrzeć. Włosy miała niemal czarne, z brązowym odcieniem. W jej wyglądzie coś nie grało, jak gdyby twórcy przerwano, zanim zdążył ukończyć dzieło, i potem już nigdy do niego nie wrócił. Kobieta, której siostra byłaby piękna, ale ją to ominęło.

– Marlowe – powiedziała. – Takie nazwisko podałeś?

– Zgadza się.

– I co tu robisz?

– Przeglądałem rzeczy Nico – odparłem po namyśle.

– Poważnie? Dlaczego? Jest ci winien pieniądze?

– Nie. Miał coś mojego.

– Niby co? – Wydęła wargę. – Kolekcję znaczków?

– Nie. Po prostu coś, co muszę odzyskać. – Zdawałem sobie sprawę, jak marnie łązę, ale improwizowałem coraz lepiej, co nie było proste. Odsunąłem się od biurka. – Mogę zapalić? Denerwuję się przy tobie.

– Proszę bardzo. Nie zamierzam cię powstrzymywać.

Żałowałem, że nie wziąłem fajki, bo nabijanie jej dałoby mi czas do namysłu. Pogmerałem przy papierośnicy i pudełku zapalek, po czym jak najwolniej zapaliłem papierosa. Brunetka nadal stała przy fotelu, wciąż z dłonią na oparciu i wzrokiem skierowanym na mnie.

– Jesteś siostrą Nico, tak? – powtórzyłem.

– Jestem Lynn Peterson. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mi mówisz. Może wyłożysz kawę na ławę i powiesz, kim naprawdę jesteś?

Musiałem jej przyznać: miała jaja. W końcu wtargnąłem do obcego domu, a ona przyłapała mnie na przetrzepywaniu rzeczy brata. Mogłem być złodziejem albo psychopatą zbiegłym z wariatkowa. Mogłem być kimkolwiek. Mogłem też mieć broń. Ona jednak trwała przy swoim i nie dała sobie wciskać kitu. W innych okolicznościach zaprosiłbym ją pewnie do chłodnego baru i zobaczył, jak sprawy się rozwiną.

– Dobra – rzuciłem. – Naprawdę nazywam się Marlowe. Jestem prywatnym detektywem.

– Jasne. A ja jestem Czerwonym Kapturkiem.

– Trzymaj – powiedziałem, wyjąłem z portfela wizytówkę i podałem ją Lynn. Przeczytała, marszcząc brwi. – Zatrudniono mnie, żebym zbadał śmierć twojego brata.

Nie słuchała. Zaczęła kiwać głową.

– Widziałam cię z Floydem w klubie.

– Owszem, byłem tam.

– On też ma coś twojego, co musisz odzyskać?

– Rozmawiałem z nim o Nico.

– A konkretnie?

– O nocy, kiedy zginął twój brat. Byłaś z nim wtedy w klubie, tak? –
Milczała. – Widziałaś ciało brata?

– Floyd mi nie pozwolił.

– Ale nazajutrz zidentyfikowałaś je w kostnicy, tak? Ciało brata. To musiało być ciężkie przeżycie.

– Zabawnie nie było.

Po tych słowach zapadło milczenie. Niczym dwaj tenisiści odpoczywaliśmy w przerwie między setami. Lynn podeszła do biurka i wzięła oprawione zdjęcie skwaszonej starszej pani w okularach w stalowych oprawkach.

– Z pewnością nie tego szukałeś – stwierdziła i odwróciła się do mnie z zimnym uśmiechem. – To ciotka Margie. Wychowała nas. Nico jej nienawidził. Nie wiem, dlaczego trzyma jej zdjęcie na biurku. – Odstawiła fotografię. – Muszę się napić. – Minęła mnie i poszła do kuchni.

Ruszyłem za nią. Z wiszącej szafki wyjęła butelkę whisky Dewar's i zaczęła szukać kostek lodu w lodówce.

– A ty? – rzuciła przez ramię. – Chcesz lufę?

Z półki zdjąłem dwie wysokie szklanki i postawiłem na blacie obok kuchenki. Lynn zaniósła tackę z lodem do zlewu, odkręciła wodę, a kiedy kilka kostek się poluzowało, wrzuciła je do szklanek.

– Sprawdź, czy jest tam coś do drinków – poleciła.

Otworzyłem wskazany kredens i znalazłem parę miniaturowych buteleczek canada dry. Lubię bulgot napoju gazowanego wlewane na kostki lodu; zawsze mnie rozwesela. Perfumy Lynn Peterson miały

ostry, koci zapach. To również rozweselało. Przypadkowe spotkanie zaczynało nabierać rumieńców.

– Na pohybel – wzniosła toast i brzęknęła swoją szklanką o moją. Następnie oparła się o zlew i uważnie mi się przyjrzała. – Nie przypominasz detektywa, prywatnego ani innego.

– A kogo przypominam?

– Trudno powiedzieć. Może szulera.

– Zdarzało mi się grać.

– Wygrywałeś?

– Zbyt rzadko.

Gorzała powoli rozlewała we mnie ciepło, jak światło słoneczne ogarniające wzgórze w lecie.

– Znasz Clare Cavendish? – spytałem, chociaż może nie należało. – Dziewczynę Nico.

Lynn wybuchła tak nagłym śmiechem, że o mały włos nie zakrztusiła się drinkiem.

– Lodową panienkę? – zapytała ochryple, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem. – Jego dziewczynę?

– Tak słyszałem.

– Cóż, wobec tego to musi być prawda. – Znów się roześmiała, kręcąc głową.

– Ona również była w klubie tamtej nocy, kiedy Nico zginął.

– Tak? Nie przypominam sobie. – Uniosła brwi. – Wynajęła cię, żebyś wtykał nos w to, co wydarzyło się tamtej nocy.

Uraczyłem się kolejnym łykiem wyborowego produktu pana Dewara. Wewnętrzne słońce stawało się z każdą minutą jaśniejsze.

– Opowiedz, co się wydarzyło w kostnicy – poprosiłem.

Lynn patrzyła na mnie tym samym wzrokiem co wtedy, gdy ujrzała mnie po raz pierwszy.

– Jak to, co się wydarzyło? Wprowadzili mnie do białej sali, unieśli prześcieradło i zobaczyłam Nico, martwego jak indyk na Święto

Dziękczynienia. Uroniłam łzę, gliniarz poklepał mnie w ramię, wyprowadzono mnie i było po wszystkim.

– Jaki gliniarz? – spytałem.

Uniosła i opuściła ramiona.

– Nie wiem, jaki gliniarz. Stał tam, spytał, czy to mój brat, potwierdziłam, on przytaknął, a ja wyszłam. Gliniarze to gliniarze. Wszyscy wyglądają podobnie.

Z dworu dobiegł cichy odgłos samochodu parkującego przed domem. Nie zwróciłem na to uwagi, choć należało.

– Przedstawił się?

– Jeśli tak, to nazwisko wypadło mi z głowy. Słuchaj, Marlowe, co tu jest grane?

Odwróciłem wzrok. Zastanawiałem się, czy powinienem powtórzyć jej słowa Clare Cavendish twierdzącej, że widziała Nico w tłumie na Market Street w San Francisco. Czy mogłem podjąć takie ryzyko? Właśnie otwierałem usta, choć dalibóg nie wiedziałem, co powiem, gdy spostrzegłem, że Lynn patrzy mi przez ramię z osobliwą miną. Odwróciłem się w chwili, gdy tylne drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł uzbrojony mężczyzna. Meksykanin. Tuż za nim stał drugi, jego ziomek, ale bez broni. Wyglądał tak, że chyba jej nie potrzebował.

11

Nigdy nie poznałem ich nazwisk. Dla wygody nazwałem ich w myślach Gómez i López. Co nie znaczyło, że moja wygoda miała zajmować wysoką pozycję na liście ich priorytetów; to zrozumiałem od razu. Gómez był mózgiem – jeśli tak to można określić – López zaś mięśniakiem. Gómez był niski, kanciasty i, jak na Meksykanina, ciężkawy; Gómez za to chudy jak grzechotnik. Stary z naprzeciwka twierdził, że elegancko się ubierali, ale przed oczami miałem dowód, że nie należało polegać na jego opiniach w kwestiach stroju. Gómez miał pastelowy niebieski dwurzędowy garnitur z wypchanymi ramionami i krawatem, na którym, niezbyt wprawnie, namalowano na wpół nagą kąpiącą się piękność. Chyba w życiu nie widziałem bardziej krzykliwej hawajskiej koszuli niż ta, w którą wystroił się López. Białe płócienne spodnie mogły być czyste, kiedy je kupiono, czyli bardzo dawno temu. Ponieważ nosił sandały, zobaczyłem, że ma brudne palce stóp.

Nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic przeciwko Meksykanom. Większość z nich to łagodni ludzie o dobrych sercach. Lubię ich jedzenie, piwo i architekturę. Kiedyś spędziłem bardzo przyjemny weekend w dobrym hotelu w Oaxaca w towarzystwie znajomej damy. Dni były ciepłe, noce chłodne; o zmierzchu siadywaliśmy na Zócalo, pijąc margarity z solą na brzegach kieliszków i słuchając zespołów mariachi. To jest mój Meksyk. Gómez i López pochodzili z innych stron. Celowałbym w dzielnicę jednego z bardziej hałaśliwych miast na

południe od granicy. Usłyszałem, jak Lynn Peterson wstrzymuje oddech. Pewnie ja zrobiłem to samo. W końcu ci dwaj stanowili nie lada widok.

Meksykańscy goście przeszli przez próg w wielkim pośpiechu. Jak się miałem przekonać, nie grzeszyli cierpliwością. Pistolet automatyczny Gómeza z rękojeścią wykładaną srebrem wyglądał tak, jakby miał siłę rażenia małego mózdzierza. Z człowiekiem uzbrojonym w takiego gnata nie wdajesz się w przekomarzanki. Trzymał spluwę niedbale, po czym poznałem, że przyjaźni się z nią od dawna. Z kolei nerwowy López o szalonym spojrzeniu miał typowy wygląd nożownika. Przypomniało mi się, jak Travis, barman z Beanery żartował, że ci dwaj – bo nie mogło chodzić o nikogo innego – bawili się rewolwerem i nożem. Nawet nie wiedział, jak bardzo trafił.

Początkowo Gómez nawet nie spojrzał na mnie ani na Lynn Peterson. Przez kuchnię przeszedł do salonu, w milczeniu sprawdził pewnie pomieszczenie, po czym wrócił. Podobnie jak jego wspólnik, podrygiwał i wiercił się w obszernym garniturze. López stał tymczasem w otwartych drzwiach i przyglądał się Lynn Peterson. Gómez również na nią spojrzał, ale odezwał się do mnie:

– Kim jesteś?

To pytanie zaczynało mnie nużyć.

– Nazywam się Marlowe – odparłem i dodałem: – Musiało zajść nieporozumienie.

– Jakie nieporozumienie?

– Panna Cavendish i ja z pewnością nie jesteśmy ludźmi, za których nas bierzecie. – Wyczułem zdziwione spojrzenie Lynn Peterson. Tylko to nazwisko przyszło mi do głowy na oczekaniu. – Panna Cavendish jest agentką nieruchomości. Pokazuje mi dom.

– Dlaczego? – zaciekawiał się Gómez. Odniosłem wrażenie, że pyta tylko pro forma, jednocześnie obmyślając inne, dociekliwsze pytania.

– Cóż, myślę o tym, żeby wynająć ten dom – powiedziałem, co wywołało śmiech Lópeza. Zauważyłem, że ma niedokładnie zszytą

zajęczą wargę. – Jesteście detektywami? – spytałem, co znów go rozbawiło. W szparze w wardze błysnął żółtawy ząb.

– Jasne, jesteśmy gliniarzami – odparł Gómez, nawet się nie uśmiechając, po czym zwrócił się do stojącej obok mnie kobiety: – Cavendish. To nie jest twoje nazwisko, prawda? – Lynn zaczęła zaprzeczać, ale on pokiwał jej przed twarzą lufą pistoletu jak wielkim dezaprobującym palcem. – Nie, nie, nie, *señorito*, mnie się nie okłamuje. Ludzie, którzy to robią, płacą. Jak naprawdę się nazywasz? – Lynn milczała. Meksykanin wzruszył ramionami; watowane ramiona marynarki przekrzywiły się w lewo. – To bez znaczenia. Wiem, kim jesteś.

Odsunął się i jego miejsce zajął López. Uśmiechając się, stanął przed Lynn, a ona się cofnęła. Jego oddech pewnie nie pachniał kwiatami. Gómez rzucił coś po hiszpańsku, czego nie zrozumiałem, a López zmarszczył groźnie brwi.

– Jak się nazywasz, maleńka? – zaszczębiotał słodko. – Założę się, że masz prawdziwe ładne imię.

Wsunąwszy dłoń pod prawą pierś Lynn, uniósł ją, jakby szacował ciężar. Kobieta cofnęła się gwałtownie, ale on ruszył za nią z wyciągniętą ręką. Nie dał mi wyboru. Jedną dłonią chwyciłem go za nadgarstek, drugą za łokieć i szarpnąłem oba stawy w przeciwnych kierunkach. Zabolało, więc wrzasnął i uwolnił rękę z mego uchwytu. W dłoni drugiej ręki, a jakże, pojawił się nóż. Nieduży, z krótkim ostrzem, ale domyślałem się, co potrafi nim zdziałać.

– Posłuchajcie, wrzucie na luz – odezwałam się wysokim głosem, jak facet, któremu zależy jedynie na korzystnym wynajęciu domu i unikaniu kłopotów. – Ale nie dotykajcie damy.

Strach Lynn Peterson dawał się wyczuć w powietrzu jak woń lisa. W kaburze przy pasku miałem trzydziestkęósemkę special. Miałem nadzieję, że Meksykanie nie zauważą jej, dopóki nie wpadnę na sposób sięgnięcia po broń, zanim mnie zastrzelą lub pokroją. Na filmach można

zobaczyć artystów błyskawicznie sięgających po broń, która wyskakuje jak naoliwiona błyskawica i wiruje na ich palcach wskazujących. Niestety, w życiu wygląda to inaczej.

López zbliżał się – tym razem nie do Lynn, ale do mnie – z nożem gotowym do użycia. Jego kompan rzucił coś po hiszpańsku i pomachał pistoletem, na co López się zatrzymał.

– Daj mi swój portfel – zażądał Gómez. Po angielsku mówił dobrze, choć seplenił z hiszpańska.

Uniosłem rękę.

– Posłuchajcie, mówiłem już, że popełniacie...

Tyle zdołałem powiedzieć. Pistolet ujrzałem dopiero wtedy, gdy poczułem, jak lufa uderza w mój prawy policzek z taką siłą, że zęby po tej stronie zadrżały u samych korzeni. Stojąca obok Lynn Peterson wydała cichy okrzyk i zasłoniła usta dłonią. O mały włos nie upadłem, ale w porę złapałem równowagę. Z rozciętej skóry na policzku spływała wzdłuż szczęki ciepła strużka. Otarłem ją dłonią i zobaczyłem ciemnoczerwoną krew.

Zacząłem mówić, ale Gómez znów mi przerwał.

– Zamknij się, *hijo de la chingada!* – warknął, szczerząc zaciśnięte zęby, bardzo białe na tle ciemnej cery.

W jego żyłach musiała płynąć indiańska krew. Takie rzeczy przychodzą do głowy człowiekowi, którego właśnie zdzielono pistoletem. Udając, że sięgam do kieszeni po chustkę, odpiąłem kaburę przy pasku i oparłem palce na bezpieczniku. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem na długi czas.

12

Uderzenie, po którym straciłem przytomność, musiał zadać López. Nie wiem, czym mnie zdzielił – pewnie pałką – ale trafił mnie w czaszkę po prawej stronie. Musiałem runąć jak młody wół w rzeźni. Utrata przytomności, która mną zawładnęła, nie przypominała stanu ogarniającego człowieka podczas zasypiania. Nie towarzyszyły jej żadne sny, zniknęło też poczucie czasu; stan pustki zaczął się i skończył mniej więcej w tej samej chwili. To było jak próba generalna śmierci, a jeśli tak właśnie czuje się człowiek po śmierci, perspektywa nie jest najgorsza. Ból pojawił się dopiero, gdy odzyskałem przytomność. Leżałem twarzą na podłodze, z kącikiem ust przyklejonym krwią i śliną do linoleum. Nie ma sensu opisywać, co czułem w kości policzkowej. Ból to ból, chociaż ten akurat miał kolosalne rozmiary.

Chwilę leżałem z otwartymi oczami, w nadziei że pokój przestanie wirować jak karuzela. Wokół panował półmrok, więc pomyślałem, że może zapada zmierzch, potem jednak usłyszałem deszcz. Zegarek stanął; musiałem nim o coś uderzyć, padając. Zastanawiałem się, jak długo leżałem nieprzytomny. Pewnie około pół godziny. Oparłem dłonie na podłodze i dźwignąłem się. Dzięki energicznie, choć w zwolnionym tempie, obrabiał moją podstawę czaszki. Guz był twardy, rozgrzany i duży jak jajko. Czekala mnie seria okładów i aspiryna; okazało się, że można jednocześnie czuć ból i znudzenie.

Portfel wciąż miałem przy sobie, ale kabura świeciła pustkami.

Wtedy przypomniałem sobie o Lynn Peterson. Sprawdziłem kuchnię i salon. Znikła. Pamiętając wzrok, jakim patrzył na nią López, nie spodziewałem się jej ujrzeć. Przed wejściem do sypialni wziąłem głęboki wdech, ale i tam jej nie zastałem. Meksykanie przewrócili dom do góry nogami; wyglądał jak po przejściu tornada. Opróżnili wszystkie szuflady, przetrząsnęli szafy. Z rozciętej kanapy wywleczono wnętrze; podobnie postąpiono z materacami w sypialni. Z całą pewnością usilnie próbowali coś znaleźć, ale podejrzewałem, że ponieśli klęskę.

Kim był ten Peterson? I gdzie, do diabła, się podziewał, jeśli gdziekolwiek się podziewał?

Zastanawianie się nad Petersonem i jego losem było sposobem odepchnięcia od siebie myśli o jego siostrze. Nie miałem wątpliwości, że Meksykanie ją zabrali. Dobrze wiedzieli, kim jest; nie dali się nabrać na moje kulawe próby zatajenia jej tożsamości. Ale dokąd ją zabrali? Nie miałem pojęcia. W tej chwili mogli zmierzać w stronę granicy.

W nagłym przypływie osłabienia usiadłem na wypatroszonej kanapie, gładząc opuchnięty i zakrwawiony policzek. Co dalej? Nie miałem żadnych tropów w kwestii Meksykanów. Nie widziałem nawet ich samochodu, tego z podziurawionym płóciennym dachem, według opisu pana Wścibskiego z naprzeciwka. Nie pozostawało nic innego, jak powiadomić gliny. Sięgnąłem po telefon na niskim stoliku przy kanapie, ale w słuchawce powitała mnie głucha cisza; numer musieli wyłączyć wiele tygodni wcześniej. Zacząłem wycierać chustką słuchawkę, ale po chwili dałem spokój. Jaki w tym sens? Odciski palców musiałem zostawić w całym domu, na klamce tylnych drzwi, w kuchni, tu, w salonie, w sypialni – wszędzie z wyjątkiem strychu, zakładając, że był tu strych. Ale po co miałbym się ukrywać? Już rozmawiałem z Joem Greenem o Petersonie. Zamierzałem pomówić z nim o siostrze Petersona, gdy tylko zbiorę siły, żeby zwlec się z kanapy i wrócić do biura.

Wyszedłem i okrążyłem dom. Jakim cudem znowu padało? W czerwcu nie powinno padać. Nie widząc samochodu przed domem, pomyślałem, że zabrali go Meksykanie; dopiero po chwili przypomniałem sobie, że zostawiłem wóz na początku ulicy. Dotarłem do niego przemoczony i cuchnący jak owca, co nie znaczy, że kiedykolwiek znalazłem się na tyle blisko owcy, by stwierdzić, jak pachnie. Zawróciłem i wyjechałem na bulwar. Ulewny deszcz przypominał polerowane stalowe pręty, choć niebo na zachodzie wyglądało jak tygiel roztopionego złota. Według zegara na tablicy rozdzielczej było kwadrans po szóstej, ale ten zegar nigdy nie działał należycie. Bez względu na godzinę, dzień miał się ku końcowi albo zaczynałem ślepnąć.

Zamiast do biura postanowiłem pojechać do Laurel Canyon. Kiedy dotarłem na miejsce, zapadał już zmrok. Stopnie z drewna sekwojowego prowadzące do drzwi frontowych mojego domu jeszcze nigdy nie wydały mi się tak liczne i tak strome. Po zmianie koszuli i marynarki poszedłem do łazienki, aby obejrzeć twarz. Na policzku ziało ciemnoczerwone rozcięcie, skóra wokół niego przybrała wszystkie kolory tęczy plus kilka innych. Wilgotnym ręcznikiem otarłem ranę. Chłodna woda koła, ale opuchlizna zostanie na długo. Na szczęście rozcięcie nie było na tyle głębokie, by wymagało szycia.

Po przejściu do kuchni zrobiłem sobie drinka z brandy, cukru, limonki i angostury. Ruchy wymagały wysiłku, ale wysiłek mi sprzyjał – pomagał się skoncentrować. Usiadłem w niszy śniadaniowej na krześle z prostym oparciem – tak, ten cholerny dom miał nawet niszę śniadaniową – sączyłem drinka i wypaliłem parę papierosów. Ból policzka rywalizował z bólem z tyłu głowy. Nie czułem się na siłach, by osądzać, ale wyglądało to na idealny remis.

Wreszcie sięgnąłem po słuchawkę ściennego telefonu i zadzwoniłem do wydziału zabójstw. Nieugięty Joe pełnił wachtę przy biurkiem.

Zrelacjonowałem mu wydarzenia w domu przy Napier Street, przynajmniej we fragmentach.

Joe okazał sceptycyzm.

– Twierdzisz, że dwaj Meksykańcy zjawili się nie wiadomo skąd i porwali tę lalę? To właśnie mi mówisz?

– Tak, Joe, to właśnie mówię.

– Dlaczego ją zabrali?

– Nie wiem.

Joe milczał. Usłyszałem, jak zapala papierosa i wydmuchuje dym.

– Znowu ten Peterson – rzucił z niesmakiem. – Jezu, Phil, myślałem, że zamknęliśmy tę sprawę.

– Ja też, Joe, ja też.

– To co robiłeś w jego domu?

Znalezienie pierwszej lepszej odpowiedzi zajęło mi sekundę.

– Moja klientka chciała, żebym przyniósł jej pewne listy. – Urwałem. Tego rodzaju kłamstwo mogło mnie jeszcze bardziej pogрузić.

– Znalazłeś je?

– Nie.

Solidnie łyknąłem ze szklanki. Cukier w drinku da mi energię, a brandy powstrzyma przed spożytkowaniem jej na wyczerpujące czynności.

– Dlaczego siostra Petersona jest teraz zamieszana w tę sprawę? – spytał Joe.

– Nie wiem. Przyszła do domu niedługo po mnie.

– Znałeś ją wcześniej?

– Nie.

Przez chwilę przeżuwał moje słowa.

– Cholernie wielu rzeczy mi nie mówisz, prawda, Phil?

– Powiedziałem ci wszystko, co wiem – zapewniłem, chociaż obaj wiedzieliśmy, że to kolejne kłamstwo. – Chodzi o to, Joe, że ta historia

z siostrą Petersona nie ma nic wspólnego z moją sprawą. Jestem pewien, że to zupełnie inna para kaloszy.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu wiem. Meksykanie już wcześniej byli w domu Petersona. Widziano, jak myszkowali przed domem, zaglądali przez okna. Według mnie Peterson jest im winien forszę. Wyglądali na gości, którym ktoś jest winien, i to sporo.

– Czy ta Peterson podsunęła ci pomysł, dlaczego Meksykańcy szukają jej brata? – spytał Joe po kolejnej chwili milczenia.

– Nie było na to czasu. Właśnie przyrządzała nam drinki, kiedy tamci wleźli od tyłu, wymachując bronią. Wyglądali naprawdę wrednie.

– Ho, ho – zaszczębiotał Joe. – Czyli zaczynaliście się bliżej poznawać, choć widziałeś ją po raz pierwszy? Brzmi bardzo przyjemnie.

– Joe, dostałem w łeb, najpierw lufą pistoletu w twarz, potem pałką albo czymś takim w tył głowy. Ciągłe widzę gwiazdy. Ci faceci nie żartują.

– Dobra, dobra, zrozumiałem. Ale słuchaj, Phil, to nie moja działka. Będę musiał zadzwonić do biura szeryfa. Kapujesz? Może powinieneś zamienić słówko ze swoim kumplem Berniem Ohlsem.

– On nie całkiem jest moim kumplem, Joe.

– Coś mi mówi, że będziesz potrzebował każdego kumpla, jakiego zdołasz wytrzasnąć, nawet takiego nie całkiem.

– Wolałbym, żebyś sam do niego zadzwonił – powiedziałem. – Doceniłbym to. Nie jestem w najlepszej formie, a nawet wtedy, kiedy jestem, Bernie mnie irytuje albo ja irytuję jego, w zależności od pogody i pory dnia.

Joe westchnął prosto w słuchawkę, co zabrzmiało jak pociąg towarowy przejeżdżający tuż obok mojego ucha.

– Dobrze, Phil, zadzwonię do niego. Radzę ci jednak, żebyś miał gotową bajkę, na wypadek gdyby miał cię odwiedzić. Bernie Ohls to nie jest Joe Green.

Masz rację, Joe, chciałem powiedzieć, masz stuprocentową rację, ale rzuciłem tylko:

– Dzięki, jestem twoim dłużnikiem.

– Nie tylko za to, sukinsynu – odparł Joe, śmiejąc się i kaszląc jednocześnie. Potem się rozłączył.

Zapaliłem kolejnego papierosa. Po raz drugi tego dnia nazwano mnie sukinsynem. Po hiszpańsku brzmiało to nie mniej obraźliwie.

13

Leżąc na pościeli, to traciłem, to odzyskiwałem przytomność, kiedy Bernie znalazł się pod drzwiami. Utrzymywanie się na jawie sprawiało mi nie mniejsze trudności niż kilka godzin wcześniej w kuchni Nico Petersona, chociaż dzwonki w głowie nie hałasowały już tak bardzo. Dzwonek do drzwi mylnie wziąłem właśnie za nie, gdy Bernie zadzwonił po raz pierwszy. Niemal natychmiast powtórzył to i nie cofnął palca od przycisku, dopóki nie zobaczył, jak w salonie zapala się światło.

– Co jest grane, do cholery, Marlowe? – rzucił, przeciskając się obok mnie w progu.

– Tak, dobry wieczór, Bernie.

Zwrócił ku mnie wściekłą, czerwoną jak burak twarz.

– Wciąż jesteś wyszczekany, co, Marlowe?

– Próbuję zakładać sobie kaganiec, ale wiesz, jak jest.

Bernie jeszcze bardziej poczerwieniał, aż zacząłem się obawiać, że eksploduje.

– Wydaje ci się, że to żart? – zapytał złowrogo cichym głosem.

– Wyluzuj, Bernie – poprosiłem, kładąc dłoń na tyle głowy. Opuchlizna nie zmaląła, ale gotowane jajko nieco ostygło. – Usiądź, napij się.

– Co ci się stało w twarz?

– Wszedłem w kontakt z lufą pistoletu. Na szczęście w tym momencie wtedy z niego nie strzelano.

– Będziesz miał sporego siniaka.

Rozmiar głowy Berniego zawsze mnie fascynował. Joe Green może miał sporą dyńkę, ale nie mogła się równać z tym, co nosił na szyi ten gość. Od oczu w górę było tej głowy naprawdę dużo. Wyobraźcie sobie dwa złączone wielkie bochny wiejskiego chleba, a będziecie mieli pojęcie o kształcie łepetyny Berniego. Ponadto, wyglądała tak, jakby ulepiono ją nie z ciasta, ale z lekko przypieczonej wołowiny, której następnie nadano jako taki kształt pałką.

Miał na sobie służbowy garnitur z granatowej flaneli, czarne buciory, które robią chyba specjalnie dla policjantów, szerokie jak łódki, z centymetrową obwódka wokół podeszwy, i był bez kapelusza. Bernie robi dużo hałasu i nie darzy mnie szczególną miłością, jest jednak przyzwoitym gościem i dobrze jest mieć go po swojej stronie w trudnych chwilach. Poza tym to naprawdę dobry gliniarz. Już dawno zostałby kapitanem, gdyby szeryf nie nadepnął mu na kark i nie blokował awansu. Lubię Berniego, choć nigdy nie zaryzykowałbym, żeby mu to wyznać.

– Piłem drinka z cukrem i angosturą – powiedziałem. – Chcesz?

– Nie. Daj mi wodę mineralną.

Podczas gdy nalewałem mu wodę, Bernie łąził po pokoju, ugniatając prawą pięścią lewą dłoń jak aptekarz ubijający coś tłuczkiem w moździerz.

– Powiedz, co się stało – zażądał.

Sprzedalem mu tę samą wersję, którą przedstawiłem Joemu Greenowi. Na zakończenie dodałem:

– Może usiądziesz, Bernie. Kiedy tak łązisz tam i z powrotem, jeszcze bardziej łupie mnie głowa.

Wziął szklanekę z wodą i lodem, po czym usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole w niszy śniadaniowej. Dla siebie przyrządziłem kolejną miksturę brandy z cukrem. Nie mogła mi zaszkodzić.

– Rozesłałem alarm w sprawie Lynn Peterson do wszystkich radiowozów – powiedział Bernie. – Joe twierdzi, że mówiłeś, jakoby Meksykanie jeździli autem tamtejszej produkcji, dużą kanciastą bryką z płóciennym dachem.

– Tak słyszałem. Nie widziałem tego wozu na własne oczy.

Patrzył na mnie, przymykając jedno oko.

– Od kogo to słyszałeś?

– Od starego z naprzeciwka. To oczy i uszy całej dzielnicy. Nic nie umyka jego uwadze.

– Dziś z nim rozmawiałeś?

– Nie, kilka dni temu. Za pierwszym razem, jak tam pojechałem.

– Żeby węszyć w imieniu bezimiennego gościa, który ci płaci, tak?

– Skoro tak chcesz to ująć.

Ucieszyłem się, słysząc, że według Berniego pracuję dla mężczyzny. Joe Green pewnie nie zawracał sobie głowy przekazywaniem mi szczegółów. Świetnie. Im mniej Bernie wiedział, tym lepiej.

– Powiesz mi, dla kogo pracujesz i czemu ścigasz tego Petersona?

Powoli pokręciłem głową; energiczne ruchy nie wchodziły w grę z powodu pulsującego bólu z tyłu czaszki.

– Wiesz, że wcześniej czy później będziesz musiał mi powiedzieć – warknął.

– Skoro tak, wydarzy się to raczej później, pewnie wtedy, gdy sam na to wpadniesz. Nie jestem kapusiem, Bernie. To sprzeczne z moim kodeksem etycznym.

– Tylko posłuchajcie! – Zaśmiał się szyderczo. – Jego kodeks etyczny! Za kogo ty się masz? Za księdza strzegącego tajemnicy spowiedzi?

– Wiesz, jak to działa... Podobnie jak ty, jestem zawodowcem. – Policzek zdążył mi tak opuchnąć, że patrząc w dół, widziałem posiniaczoną skórę. Bernie miał rację: na pewien czas stracę urodę. – Tak czy inaczej, Lynn Peterson i Meksykanie nie mają związku z moją sprawą.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem – odparłem ze znużeniem. – Po prostu wiem.

To znowu go rozzłościło. Bernie jest nieprzewidywalny; nigdy nie wiadomo, co go wkurzy. Twarz mu spurpurowiała.

– Szlag by cię trafił, Marlowe. Powinienem od razu cię zamknąć.

Na tym polegała jego wypróbowana metoda: w razie wątpliwości – zamknąć.

– Dajże spokój, Bernie – powiedziałem lekko. – Nic na mnie nie masz, o czym doskonale wiesz.

– A jeśli nie uwierzę w tych meksykańskich bandziorów i całą resztę kitu, który wciskasz mi i Greenowi?

– Czemu miałbym zmyślać? Po co miałbym zgłaszać zaginięcie kobiety, która tak naprawdę nie zaginęła?

Bernie tak mocno walnął szklanką o stół, że kostka lodu wypadła i ślizgiem przemierzyła podłogę.

– A czemu niby robisz cokolwiek? Jesteś najbardziej przebiegłym sukinsynem, jakiego znam, a to o czymś świadczy.

Westchnąłem. Znowu nazywano mnie potomkiem psa płci żeńskiej. Może oni wszyscy wiedzieli coś, czego ja nie wiedziałem. Kość policzkowa i tył czaszki pulsowały teraz unisono, jakby dwaj bębniarze ćwiczyli w mojej głowie trudną sekwencję. Uznałem, że nadszedł czas, by uwolnić dom od obecności Berniego.

– Zadzwonisz, jeśli czegoś się dowiesz, prawda? – spytałem, wstając.

Siedział nadal, przyglądając mi się z namysłem.

– Ty i ta lala Peterson. Na pewno spotkaliście się dzisiaj po raz pierwszy?

– Owszem. – Była to prawie prawda. W klubie Cahuilla widziałem Lynn tylko przelotnie, czego nie można było nazwać spotkaniem, a zresztą nic mu do tego.

– Marnowanie takiej okazji: to do ciebie niepodobne, Marlowe. Atrakcyjna kobieta, pusty dom z sypialnią. – Lubieżny uśmiech Berniego

wygląda gorzej niż jego groźna mina. – Chcesz powiedzieć, że nie poczęstowałeś się tym, co ci proponowano?

– Niczym mnie nie częstowano. – Poza tym, co miał na myśli, mówiąc, że to do mnie niepodobne? Co o mnie wiedział w tej materii? Nic. Zacisnąłem dłoń w pięść przy ciele, gdzie jej nie widział. Nie tylko on potrafił się wkurzać. – Jestem zmęczony, Bernie – poskarżyłem się. – Miałem ciężki dzień. Muszę się przespać.

Wstał i dopiero teraz zauważyłem, że przytył i dorobił się brzucha. Cóż, sam też nie młodniałem.

– Zadzwonisz, jeśli dowiesz się czego od wozów patrolowych, prawda? – powtórzyłem.

– Czemu miałbym to robić? Twierdzisz, że twoje sprawy nie mają nic wspólnego z Meksykanami i zaginioną kobietą.

– Mimo to chciałbym wiedzieć.

Bernie przekrzywił głowę i wzruszył ramionami.

– Może zadzwonię, może nie.

– Od czego to będzie zależało?

– Od mojego nastroju. – Dźgnął mnie palcem w pierś. – Z tobą są same kłopoty, Marlowe, wiesz? Powinienem był cię zamknąć podczas tej sprawy Terry’ego Lennox, kiedy miałem okazję.

Terry Lennox był moim przyjacielem, który uciekł, kiedy oskarżono go o zabójstwo – ofiarą była jego żona – następnie zastrzelił się w hotelu w Meksyku, a przynajmniej taką wersję sprzedałem ludziom w rodzaju Berniego Ohlsa. Wtedy też nic na mnie nie mieli, o czym Bernie świetnie wiedział. Teraz tylko chciał mnie rozdrażnić, ale nie zamierzałem mu na to pozwolić.

– Dobranoc, Bernie – powiedziałem.

Wyciągnąłem rękę. Spojrzał na nią, na mnie, wreszcie uścisnął mi dłoń.

– Masz szczęście, że jestem tolerancyjny – rzucił.

– Wiem, Bernie – zapewniłem potulnie. Ponowne wkurzanie go nie miało sensu.

Bernie wsiadł do samochodu i pojechał na rondo, gdzie z naprzeciwka zbliżały się przednie światła. Mijając samochód, zwolnił, próbując dostrzec kierowcę, po czym pojechał dalej. Właśnie zamykałem drzwi, gdy samochód zatrzymał się pod moimi schodami. Sięgnąłem do kabury, ale przypomniałem sobie, że nie mam broni. Zresztą, to nie Meksykanie składali mi wizytę. Pod moim domem stał czerwony sportowy wóz, tak się składa, że alfa romeo, z jedną pasażerką. Zanim jeszcze otworzyła drzwi i wysiadła, wiedziałem, kim jest.

Czy kiedykolwiek zwróciliście uwagę, jak kobieta wchodzi po schodach? Clare Cavendish robiła to tak jak wszystkie: pochylała głowę, wpatrywała się we własne stopy stawiane zgrabnie jedna przed drugą. Zupełnie jak łyżwiarka kreśląca drobne ósemki.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Clare znajdowała się teraz na mojej wysokości. Uniosła głowę z uśmiechem. Miała na sobie lekki płaszcz, chustkę na głowie i ciemne okulary, choć już zapadł zmrok. – Widzę, że przyszedłeś w przebraniu.

– Nie byłem pewna. – Uśmiech zadrżał na jej ustach. – To znaczy, nie wiedziałam, czy będziesz... w domu.

– Cóż, jak widzisz, jestem.

Zdjęła okulary i uważnie przyjrzała się mojej twarzy.

– Co ci się stało? – wyszeptała pospiesznie.

– Ach, to? – Dotknąłem palcem policzka. – Zderzyłem się z drzwiami szafy. Wejdz.

Cofnąłem się, a Clare weszła, wciąż patrząc z troską na sino-żółtą plamę pod moim okiem. Zamknąłem za nami drzwi. Zdjęła chustkę, a ja pomogłem jej zdjąć płaszcz. Czując zapach perfum, spytałem, jaki to

rodzaj. Langrishe Lace, wyjaśniła, a ja byłem przekonany, że rozpoznam go wszędzie.

– Napijesz się? – spytałem.

Odwróciła się do mnie zarumieniona.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że przyjechałam. Spodziewałam się, że się odezwiesz, ale milczałeś, więc...

Więc postanowiłaś wsiąść do czerwonego samochodziku i sprawdzić, jak Marlowe zapracowuje na pieniądze, które mu płacisz, czy raczej nie płacisz, dokończyłem w myślach.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie miałem żadnych nowin. Zamierzałem zadzwonić rano.

– Chcesz, żebym sobie poszła? – spytała głosem, z którego ulotniła się nadzieja.

– Nie. Co ci przyszło do głowy?

Clare odrobinę się rozluźniła, uśmiechnęła się, przygryzła wargę.

– Nieczęsto ogarnia mnie dezorientacja. Chyba tak na mnie działasz.

– To dobrze czy źle?

– Sama nie wiem. Próbuję się do tego przyzwyczaić, żebym mogła osądzić.

Wtedy ją pocałowałem albo ona pocałowała mnie, a może oboje jednocześnie wpadliśmy na ten sam pomysł. Przycisnęła dłonie do mojej piersi, ale nie po to, żeby mnie odepchnąć, ja położyłem dłonie na jej plecach, wyczułem łopatki jak parę zgrabnie złożonych ciepłych skrzydeł.

– Napij się – powiedziałem i słyszałem, że głos mi drży.

– Może odrobinę whisky, z wodą, bez lodu.

– Po angielsku – zauważyłem.

– Chciałeś powiedzieć: po irlandzku – poprawiła mnie z uśmiechem.

– Ale naprawdę tylko kropelkę.

Przytuliła policzek do mojego ramienia. Zastanawiałem się, czy wie o tym, że rozmawiałem z jej matką. Może przyjechała, żeby się

dowiedzieć, co mówiła staruszka.

Poszedłem zrobić jej drinka. Sobie też nalałem dużą whisky. Potrzebowałem tego, choć nie wiedziałem, jak zmiesza się z wcześniej wypitą brandy. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że Clare lustruje wzrokiem pokój: wytarty dywan, liche meble, anonimowe obrazy w tanich ramach, szachy ustawione do gry z samym sobą. Dopiero kiedy ktoś przyjdzie, zdajesz sobie sprawę, w jakiej ciasnocie mieszkasz.

– A więc to jest twój dom...

– Wynajmuję go – odparłem, co zabrzmiało, jakbym się bronił. – Od niejakiej pani Paloosy. Przeprowadziła się do Idaho. Większość rzeczy należy do niej czy może do jej zmarłego męża. – Zamknij dziób, Marlowe, bredzisz bez sensu.

– Masz nawet fortepian – zauważyła.

Stary steinway stał w kącie. Tak bardzo przywykłem do jego widoku, że przestałem go dostrzegać. Clare podeszła do instrumentu i uniosła klapę.

– Grasz? – zapytałem.

– Odrobinę. – Oblała się lekkim rumieńcem.

– Zagraj mi coś.

– Och, nie mogłabym. – Odwróciła się i spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– Czemu nie?

– Cóż, to byłoby... w złym guście. Poza tym nie jestem dość dobra, by grać dla kogokolwiek poza sobą. – Opuściła klapę fortepianu. – Na pewno nie jest nastrojony.

Napiłem się whisky.

– Może usiądziemy – zaproponowałem. – Kanapa nie jest tak nieprzyjazna, na jaką wygląda.

Usiedliśmy. Clare założyła nogę na nogę, szklankę oparła na kolanie. Prawie nie tknęła whisky. W oddali zawyła syrena policyjna. Zapaliłem papierosa. Czasami człowiek czuje, jakby zaprowadzono go na skraj

przepaści i tam porzucono. Odchrząknąłem, potem jeszcze raz, bo naprawdę zaistniała taka potrzeba. Zastanawiałem się, skąd miała mój adres. Nie przypominałem sobie, że bym jej podawał, bo i po co? Czułem się lekko nieswojo. Może z powodu otchłani ziejącej pod nogami, tuż za skrajem przepaści.

– Wiem, że moja matka z tobą rozmawiała – odezwała się Clare, znowu się rumieniąc. – Mam nadzieję, że poszło dobrze. Czasami bywa przytłaczająca.

– Polubiłem ją – zapewniłem. – Nie miałem pewności, skąd się o mnie dowiedziała.

– Och, oczywiście od Richarda. On wszystko jej mówi. Czasem odnoszę wrażenie, jakby nie ożenił się ze mną, ale z nią. Co mówiła matka? Masz coś przeciwko temu, że pytam?

– Bynajmniej. Chciała wiedzieć, dlaczego mnie wynajęłaś.

– Chyba jej nie powiedziałaś? – Wyglądała na zaniepokojoną. Milcząc, spojrzałem na nią z kamienną twarzą. – Przepraszam, to było głupie z mojej strony.

Wstałem, podszedłem do barku i nalałem sobie kolejną sporą whisky. Nie usiadłem.

– Pani Cavendish, trochę się w tym gubię – powiedziałem. – Może nie powinienem się do tego przyznawać, ale tak jest.

– Nie zamierzasz mówić do mnie Clare? – Spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi oczami i rozchyliła usta, tak świetnie nadające się do całowania.

– Pracuję nad tym. – Odwróciłem się i zacząłem łązić po pokoju, tak jak niedawno Bernie. Clare przyglądała mi się bacznie.

– Czemu się w tym gubisz? – spytała w końcu.

– Nie mogę tego rozgryźć. Nie wiem, co myśleć. Dlaczego chcesz wytropić Nico Petersona? Aż tak ci na nim zależy? Niewiele się o nim dowiedziałem, ale z całą pewnością nie jest w twoim typie. Nawet jeśli szalałaś na jego punkcie, to czy nie powinnaś czuć się odrobinę

rozczarowana faktem, że sfingował własną śmierć? I dlaczego miałby to robić? Czemu musiał zniknąć?

Znowu stałem przed nią ze spuszczonego wzrokiem. Spostrzegłem, że kostki dłoni, w której trzymała szklanę, zbieleły.

– Musi mi pani trochę pomóc, pani Cavendish, jeśli mam nadal go szukać i jeśli mam nazywać panią Clare.

– Jaką pomoc masz na myśli?

– Każdą, na jaką panią stać.

Pokiwała głową z roztargnieniem i ponownie rozejrzała się po pokoju.

– Masz rodzinę? – spytała.

– Nie.

– Rodziców?

– Powiedziałem, że nie. Straciłem ich w młodym wieku.

– Żadnego brata, sióstr? Nawet kuzynów?

– Może kuzynów. Ale nie utrzymuję z nimi kontaktów.

– To smutne. – Pokręciła głową.

– Co w tym smutnego? – spytałem ochryple z powodu nagłego przypływu gniewu. – Samotne życie nie mieści ci się w głowie. Jesteś jak jeden z tych ekskluzywnych statków pasażerskich, pełen marynarzy, stewardów, mechaników, gości w wyprasowanych uniformach i szamerowanych czapkach. Potrzebujesz licznej załogi, nie mówiąc o pięknych ludziach ubranych na biało uprawiających gry na pokładzie. Ale popatrz, mały skiff płynie sobie w kierunku horyzontu, widzisz, ten z czarnym żaglem. To ja. Całkiem mi tam dobrze.

Clare starannie odstawiła szklanę na oparcie kanapy i wstała. Dzieliło nas najwyżej kilka centymetrów. Palcami dotknęła sińca na moim policzku.

– Taka rozpalona – stwierdziła. – Twoja biedna skóra jest taka rozpalona. – Głęboko w czarnych tęczęwkach jej oczu dostrzegłem srebrzyste płatki. – Czy w tym domu jest gdzieś łóżko? – spytała cicho. –

Myślisz, że pani Paloosa miałaby coś przeciwko temu, żebyśmy położyli się na trochę, ty i ja?

Tego wieczoru musiałem sporo odchrząkiwać.

– Na pewno nie – odparłem zduszonym głosem. – Zresztą, kto jej powie?

14

W sypialni, na stoliku nocnym stała lampka z abażurem w róże. Kwiaty musiał namalować amator. Chciałem pozbyć się tej lampki, ale jakoś nigdy tego nie zrobiłem. Nie chodzi o to, że czułem się do niej przywiązany. Podobnie jak wiele przedmiotów poupychanych w domu przez właścicielkę, lampka była kiczowata. Pani Paloosa zbierała drobiazgi, czy raczej je gromadziła. Nagromadziła cały ten szajs, z którym teraz musiałem się bujać. Nie znaczy to, że zwracałem na niego szczególną uwagę. Większość przedmiotów rozplynęła się w tle. Lampka jednak była ostatnią rzeczą, jaką widziałem każdej nocy, gdy ją gasiłem, a w ciemności jej obraz jeszcze całkiem długo utrzymywał się pod powiekami. Co powiedział Oscar Wilde o tapecie w pokoju, w którym umierał? Jedno z nas będzie musiało stąd odejść.

Leżałem na plecach, z twarzą na poduszce zwróconą w bok, i patrzyłem na te róże. Wyglądały jak namalowane sowitymi maźnięciami dzemu truskawkowego, który wysechł i utracił połysk. Właśnie kochałem się z jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie dane mi było tulić w ramionach, a mimo to nie czułem się swobodnie. Clare Cavendish należała do innej ligi, o czym doskonale wiedziałem. Miała klasę, furę pieniędzy, poślubiła gracza w polo, jeździła włoskim samochodem sportowym. Co, u licha, robiła ze mną w łóżku?

Nie wiedziałem, czy śpi, ale nie spała. Znowu musiała czytać w moich myślach, bo zapytała tym swoim kostycznym tonem:

– Sypiasz ze wszystkimi klientami?

Odwróciłem się do niej na poduszce i odparłem:

– Tylko z kobietami.

Clare się uśmiechnęła. Najlepsze, najbardziej urocze uśmiechy mają w sobie nutkę melancholii. Jej uśmiech ją miał.

– Cieszę się, że tu dziś przyszedłam – powiedziała. – Byłam bardzo zdenerwowana, a ty powitałeś mnie tak zimnym spojrzeniem, że pomyślałam: powinnam zawrócić i odjechać.

– Ja też byłem zdenerwowany – przyznałem. – Cieszę się, że zostałeś.

Pocałowała mnie w czubek nosa i usiadła. Miała tak drobne piersi, że kiedy leżała, prawie znikają. Na ich widok zaschło mi w ustach. U szczytu płaskie, na dole pulchne, z tak uroczo uniesionymi sutkami, aż się uśmiechnąłem.

– Kiedy znów cię zobaczę? – spytałem. W podobnych sytuacjach człowiekowi nie przychodzi do głowy nic oryginalnego.

– Mam nadzieję, że wkrótce.

Clare odwróciła się na bok, usiadła plecami do mnie i zaczęła wciągać pończochy. Długie, szczupłe plecy rozszerzały się ku górze. Zapraгнаłem papierosa, ale nigdy nie palę w łóżku po kochaniu się.

– Co teraz zrobisz? – spytałem.

– Co masz na myśli? – Zerknęła na mnie przez nagie ramię.

– Jest druga w nocy. Chyba nie masz zwyczaju wracać do domu o tej godzinie.

– Pytasz, czy Richard będzie ciekaw, gdzie byłam? Pewnie jest z jedną ze swoich dziewczyn. Już ci mówiłam: jest między nami porozumienie.

– Użyłaś chyba słowa „układ”.

Clare znów siedziała plecami do mnie, majstrując przy podwiązkach.

– Układ, porozumienie, co za różnica?

– Nazwij mnie pedantem, ale według mnie to dwie różne rzeczy.

Clare wstała, weszła w spódnicę i zapięła suwak z boku. Lubię patrzeć, jak kobiety się ubierają. Oczywiście nie jest to tak zabawne, jak oglądanie rozbierających się kobiet. To przeżycie natury estetycznej.

– Tak czy inaczej, wyszedł i nie dowie się, o której wróciłam. Zresztą, nic go to nie obchodzi.

Już wcześniej zauważyłam, że mówi o mężu konkretnym tonem, bez goryczy. Nie ulegało wątpliwości, że to małżeństwo już dawno umarło i zostało pochowane. Jeśli jednak sądziła, że mąż odstawiony na boczny tor nie może odczuwać zazdrości, to nie знаła mężczyzn.

– A co z twoją matką? – spytałem, siadając na łóżku.

Właśnie zapinała kłamrę szerokiego skórzanego paska, ale przerwała i spojrzała na mnie zdziwiona.

– Co z moją matką?

– Nie usłyszysz, jak wchodzisz?

– Przecież widziałeś nasz dom – odparła ze śmiechem. – Nie zauważyłeś, jaki jest ogromny? Każde z nas ma własne skrzydło: jej jest po jednej stronie, Richarda i moje po drugiej.

– A twój brat? Gdzie on bywa?

– Rett? Och, tu i tam.

– Czym się zajmuje?

– Co masz na myśli? Czy mój drugi but leży po tamtej stronie łóżka? Boże, trochę narozrabialiśmy, co?

Pochyliłem się, znalazłem but i podałem Clare.

– Pytam, czy on pracuje.

Tym razem spojrzała na mnie wyniośle.

– Rett nie musi pracować – powiedziała jak do dziecka. – Jest oczkiem w głowie mamusi i wystarczy, że pozostanie rumiany i słodki.

– Nie sprawił na mnie wrażenia szczególnie słodkiego chłopca.

– Przy tobie nie musiał się starać.

– Chyba za nim nie przepadasz.

Clare zastanowiła się nad moimi słowami.

– Kocham go oczywiście, w końcu to mój brat, nawet jeśli mamy innych ojców. Ale chyba masz rację, nie przepadam za nim. Może

pewnego dnia dorośnie, chociaż wątpię. Przynajmniej nie dopóki matka żyje.

Poczułem, że niegrzecznie jest tak siedzieć w łóżku, kiedy ona pilnie przygotowuje się, by stawić czoło światu, choćby światu nocnemu. Dlatego wstałem i również zacząłem się ubierać.

Zdażyłem włożyć koszulę, kiedy podeszła i mnie pocałowała.

– Dobranoc, Philipie Marlowe. Czy raczej, dzień dobry. – Zaczęła się odwracać, ale ująłem ją za łokieć.

– Co twoja matka mówiła o spotkaniu ze mną? – spytałem.

– Co mówiła? – Wzruszenie ramion. – Niewiele.

– Ciekawe, że nie pytałaś, co mówiła. Nie jesteś ciekawa?

– Przecież cię pytałam.

– Nie odniosłem wrażenia, że naprawdę chcesz wiedzieć.

Clare odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy.

– Dobrze, więc co mówiła?

– Niewiele – odparłem z szerokim uśmiechem.

– Naprawdę? – Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Opowiadała o tym, jak wytwarza się perfumy. I o tym, jak zginął twój ojciec.

– To okrutna historia.

– Jedna z najokrutniejszych. Twoja matka jest twardą kobietą, skoro uporała się z czymś takim i tyle zdołała osiągnąć.

– O, tak. Jest twarda – powiedziała Clare i zacisnęła usta.

– Lubisz ją?

– Nie sądzisz, że zadałeś mi dość pytań jak na jedną noc?

– Masz rację. – Uniosłem dłonie. – Po prostu...

– Po prostu co?

– Po prostu nie wiem, czy mogę ci ufać.

Uśmiechnęła się chłodno i na moment ujrzałem w niej matkę, twardą matkę.

– Zrób zakład Pascala – powiedziała.

– Kim jest Pascal?

– To był francuski filozof. – Przeszła do salonu, a ja ruszyłem za nią, boso. Clare wzięła torebkę i odwróciła się do mnie. Gniew sprawił, że pobladła. – Jak możesz mówić, że mi nie ufasz? – Ruchem głowy wskazała sypialnię. – Jak możesz, po tym?

Podszedłem do barku i odwrócony do niej plecami, nalałem sobie dużą whisky.

– Nie powiedziałem, że ci nie ufam. Powiedziałem, że nie wiem, czy mogę ci ufać, czy nie.

Tak się wkurzyła, że aż tupnęła nogą. Oczami wyobraźni zobaczyłem Lynn Peterson, która staje w progu domu brata i robi to samo, choć z innego powodu.

– Wiesz, kim ty jesteś? – spytała. – Jesteś pedantem.

Wbiła we mnie groźny wzrok. Któż by pomyślał, że oczy tego koloru mogą krzesać taki ogień?

– To, kim jesteś, wcale nie jest śmieszne.

– Przepraszam – rzuciłem, chociaż chyba nie zabrzmiało to przekonująco. – Przyniosę twój płaszcz.

Podąłem jej płaszcz, ale ona stała bez ruchu, wciąż mierząc mnie gniewnym wzrokiem; na jej szczęce poruszał się drobny mięsień.

– Widzę, że myliłam się co do ciebie.

– W jakim sensie?

– Myślałam, że jesteś... Och, nieważne.

Wsunęła ręce w rękawy płaszcza. Mogłem zmusić ją do tego, aby się odwróciła, mogłem ją objąć, powiedzieć, że jest mi przykro, i zrobić to tak, by nie miała wątpliwości, że mówię szczerze. Ponieważ było mi przykro. Mogłem odgryźć sobie język. Clare była najcudowniejszą osobą, jaka przytrafiła mi się w życiu, cudowniejszą nawet od Lindy Loring, a oto stałem, podawałem w wątpliwość jej szczerść i robiłem głupie dowcipy. Cały Marlowe, Indianin, który wyrzuca perłę wartą więcej niż plemienny dobytek.

– Posłuchaj, coś się dziś wydarzyło – powiedziałem.

Odwróciła się z wyrazem niepokoju i czujności na twarzy.

– Co takiego?

Opowiedziałem jej o wizycie w domu Petersona, o pojawieniu się Lynn, podczas gdy przeszukiwałem dom, o najściu Meksykanów i całej reszcie. Streszczałem się i nie upiększałem. Clare nie spuszczała wzroku z moich ust, jakby z ich ruchów odczytywała słowa.

Kiedy skończyłem, stała jak posąg, tylko powoli mrugała.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? – zapytała głucho.

– Działy się inne rzeczy.

– Mój Boże... – Urwała, kręcąc głową. Ja cię nie rozumiem. Przez cały ten czas, kiedy... – Bezradnie machnęła ręką. – Sypialnia i cała reszta... Jak mogłeś mi nie powiedzieć? Jak mogłeś to przede mną ukrywać?

– Nie ukrywałem – zaprzeczyłem. – To, co się z nami działo, wydawało mi się ważniejsze.

Ponownie pokręciła głową w gniewnym niedowierzaniu.

– Kim byli ci Meksykanie? – spytała.

– Szukali Nico. Odniosłem wrażenie, że on ma coś, co do nich należy, albo jest im coś winien, pewnie pieniądze. Wiesz coś o tym?

Niecierpliwie machnęła ręką.

– Oczywiście, że nie. – Z desperacją rozejrzała się po pokoju, potem znów popatrzyła na mnie. – Czy te sińce na twarzy to robota Meksykanów? – spytała, a ja przytaknąłem. Przemyślała wszystko, po czym dodała: – Teraz mają Lynn. Zrobią jej krzywdę?

– Ci dwaj naprawdę nie żartują.

Clare przytknęła dłoń do ust i ledwo słyszalnie wyszeptała:

– Mój Boże. – Sytuacja wyraźnie ją przerosła; z trudem rejestrowała rzeczywistość. – Co z policją? Czy była policja?

– Tak. Mój znajomy z biura szeryfa. Kiedy przyjechałaś, właśnie odjeżdżał.

– Był tutaj? Powiedziałeś mu o mnie?

– Oczywiście, że nie. Nie ma pojęcia, kim jesteś ani dla kogo pracuję. Nigdy się nie dowie, chyba żeby postawił mnie przed ławą przysięgłych, a tego nie robi.

Mrugała jeszcze wolniej niż wcześniej.

– Boję się – wyszeptała. Prócz lęku w jej głosie dało się też wyczuć zadziwienie osoby, która nie potrafi pojąć, jak wpadła w podobne tarapaty.

– Nie musisz się bać – zapewniłem. Próbowałem dotknąć jej ręki, ale błyskawicznie się cofnęła, jak gdybym mógł poplamieć rękaw jej płaszcza.

– Muszę wracać do domu – oświadczyła chłodno i odwróciła się.

Ruszyłem za nią po schodach z drewna sekwojowego. Od Clare bił taki chłód, że niewiele brakowało, by na moich brwiach zawisły sople. Wsiadła do samochodu i niemal natychmiast po zatrzaśnięciu drzwi uruchomiła silnik. Odjechała, zostawiając obłok spalin, które dostały mi się do ust i zapiekły w nosie. Znowu odchrząkując, ruszyłem po schodach do domu. Dobra robota, Phil, powiedziałem do siebie z niesmakiem; dobra robota.

Właśnie stawiałem nogę na ostatnim stopniu, kiedy zadzwonił telefon. Ktokolwiek dzwonił o takiej porze, z pewnością nie miał dobrych wieści. Dokładnie w chwili, gdy dotarłem do telefonu, ucichł. Zakląłem. Sporo przeklinam, kiedy jestem sam. W pewien niewytłumaczalny sposób ucłowiecza to miejsce, gdzie przebywam.

Dopiłem drinka, potem zaniósłem szklanki, swoją i Clare, do kuchni, umyłem i odstawiłem na suszarkę. Byłem skonany. Bolała mnie twarz, w tyle głowy znowu zaczęły grać tam-tamy.

Wciąż komplementowałem się z goryczą za to, jak postąpiłem tej nocy z Clare, gdy znowu zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos Berniego Ohlsa. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że to będzie on.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? – warknął. – Już myślałem, że nie żyjesz.

– Na chwilę wyszedłem przed dom, żeby nawiązać kontakt z gwiazdami.

– Bardzo romantyczne. – Bernie zamilkł, pewnie dla efektu dramatycznego. – Znaleźliśmy tę lalę.

– Lynn Peterson?

– Nie, Lanę Turner.

– Mów.

– Przyjedź tu i sam zobacz. Jezioro Encino. Pojedź Encino Avenue, a przy znaku „Zakaz wjazdu” skreć w prawo. I weź sole trzeźwiące, to nie jest miły widok.

15

Jechałem z otwartym oknem. Chłodne nocne powietrze delikatnie pieściło opuchnięty policzek, ale nie tak delikatnie jak wcześniej palce Clare Cavendish, zanim wszystkiego nie zepsułem i nie sprawiłem, że odjechała w noc, rozgniewana i przestraszona. Nie mogłem wyrzucić jej z głowy. Zresztą, tym lepiej, bo myśląc o niej, mogłem unikać myśli o siostrze Nico Petersona i o tym, co przypuszczalnie czekało mnie nad jeziorem. Pewnie nie chciałem też zbyt dokładnie roztrząsać faktu, że popełniłem gruby błąd, wkurzając obu Meksykanów. Gdybym tego nie zrobił, gdybym zachował spokój i jakoś się z nimi dogadał, może by jej nie zabrali. Mało prawdopodobne, ale nie wykluczone. Poczucie winy musiało jednak poczekać na później.

Do Encino nie było daleko, a chociaż ulice świeciły pustkami, jechałem wolno, bo bynajmniej mi się tam nie spieszyło. Terry Lennox mieszkał w Encino, w dużej pseudoangielskiej willi na paru hektarach drogiej ziemi. Mowa o czasach, gdy jego żona jeszcze żyła, a on poślubił ją po raz drugi. Lennoxowie schodzili się dwa razy, co można uznać za niezłą ilustrację powiedzenia, że nieszczęścia chodzą parami.

Nadal brakowało mi Terry'ego. Owszem, był chodzącą klęską żywiołową, ale również moim przyjacielem, a w tym świecie, moim świecie, to prawdziwa rzadkość. Niełatwo zawieram przyjaźnie. Zastanawiałem się, gdzie się podziewa i co porabia. Ostatnio słyszałem, że gdzieś w Meksyku przepuszcza pieniądze zmarłej żony. Biorąc pod uwagę szeroki gest Terry'ego, pewnie nie zostało ich już wiele.

Pomyślałem, że w tych dniach wpadnę do Victora i wypiję szklaneczkę na jego cześć. Terry i ja tam właśnie bywaliśmy, a kiedy myślałem, że nie żyje, parę razy wstąpiłem do Victora i wzniosłem za niego toast. Na pewien czas Terry nas nabrał.

Z powodu zmęczenia o mały włos nie wjechałem prosto w tablicę z napisem „Zakaz wjazdu”. Natychmiast po skręcie w prawo ujrzałem przed sobą światła. Na poboczu stały, przodami do siebie, dwa wozy patrolowe, sfatygowany chevrolet Berniego oraz karetka z otwartymi tylnymi drzwiami, przez które dobywało się światło. Osobliwa scena na pustkowiu, pod pełnięcymi straż sosnami.

Zaparkowałem i wysiadłem cały zeszywniały. Z miłością pomyślałem o własnym łóżku, nawet bez Clare Cavendish. Robię się za stary na tę robotę.

Bernie stał obok faceta w białym kitlu, którego wziąłem za pielęgniarza lub jednego z ludzi koronera. U ich stóp leżało coś na kształt ciała przykrytego kocem. Rzuciłem na ziemię zapalonego papierosa i zdeptałem. Po kilku krokach zawróciłem, aby sprawdzić, czy na pewno zgasł. Puszczanie z dymem West Hollywood, przed czym przestrzegał mnie tamten stary, to jedno, ale Encino było czymś zgoła odmiennym. Pożar w Encino zrobiłby poważny wyłom w funduszach połowy firm ubezpieczeniowych w okręgu Los Angeles i poza jego granicami. Dom Terry'ego Lennox – czy raczej jego żony – wyceniano na ponad sto tysięcy dolarów. Mój niepokój okazał się bezpodstawny: ziemia namokła po niedawnym deszczu, w powietrzu unosiła się woń wilgoci i żywicy.

Nieopodal Berniego stało kilku mundurowych i paru tajniaków w kapeluszach, którzy oświetlali ziemię latarkami. W ich blasku połyskiwały sosnowe igły. Odniosłem wrażenie, że nikt nie przykłada się do poszukiwań. Dwaj Meksykanie w samochodzie z pewnością już dawno przekroczyli granicę i żadne tropy nie mogły do nich doprowadzić.

– Czemu tak długo jechałeś? – zapytał Bernie.

– Kilka razy zatrzymałem się, żeby podziwiać krajobraz i oddawać się poetyckim rozmyśleniom.

– Jasne. Daj spokój. Czym się zajmowałeś po mojej wizycie u ciebie?

– Nadrabiałem zaległości w haftowaniu – odparłem i spojrzałem na leżące na ziemi ciało przykryte kocem. – To ona?

– Według prawa jazdy, tak. Identyfikacja nie będzie łatwa. – Końcem buciora uniósł koc. – Nie wydaje ci się?

Trzeba przyznać, że Meksykanie solidnie się nią zajęli. Od czasu, gdy ją widziałem, przybyło jej sporo twarzy; opuchnięta jak dynia, pokryła się czarnymi i niebieskimi sińcami. Rysy nieco się przemieściły. Na szyi widniały jakby drugie, głęboko wycięte usta, z pewnością dzieło Lópeza i jego nożyka. W moim umyśle mignął obraz Lynn stojącej przy zlewie w domu Petersona, z tacką lodu w dłoniach, gdy odwraca się do mnie i mówi, gdzie należy szukać butelek canada dry.

– Kto ją znalazł? – spytałem.

– Para dzieciaków w samochodzie, które szukały ustronnego miejsca na poważne amory.

– Jak zginęła?

Bernie skwitował śmiechem moje pytanie.

– Spójrz tylko na nią. Jak ci się wydaje?

Wtedy przemówił mężczyzna w białym fartuchu.

– Głęboka rana poprzeczna na trójkącie przednim szyi przecina zarówno struktury żyłne, jak i tętnicze, co doprowadziło do ustania funkcji życiowych.

Wpatrywałem się w faceta. Starszy człowiek, widział już wszystko i, podobnie jak ja, wyglądał na zmęczonego.

– Przepraszam – rzucił niedbale Bernie. – To jest doktor... Jak pan się nazywa?

– Torrance.

– To jest doktor Torrance. Doktorze, przedstawiam panu pierwszorzędnego detektywa Philipa Marlowe’a. – Bernie zwrócił się do mnie: – Doktor chce powiedzieć, że podejrzyto jej gardło. Przypuszczam, że kiedy to się stało, należało to uznać za akt miłosierdzia. – Ujął mnie pod rękę i odeszliśmy kilka kroków od reszty. – Powiedz mi prawdę, Marlowe. Ta kobieta coś dla ciebie znaczyła?

– Dzisiaj... wczoraj zobaczyłem ją po raz pierwszy. Czemu pytasz?

– Według lekarza, ci faceci nieźle się z nią zabawiali. Wiesz, co mam na myśli? Zanim sięgnęli po zapalone papierosy, kastety i nóż. Przykro mi.

– Mnie też jest przykro, Bernie. Ale to na nic, niczego w ten sposób nie wskórasz. Spotkałem ją tylko raz i zdążyliśmy zamienić zaledwie kilka słów, zanim wpadli Meksykanie.

– Piłeś z nią drinka.

Uwolniłem ramię z jego uścisku.

– To jeszcze nie znaczy, że wybieraliśmy się kupować pierścionełk zaręczynowy. Pijam drinki z najróżniejszymi ludźmi. Założę się, że ty też.

Cofnął się i przyjrzał mi się uważnie.

– Zanim Meksykańcy ją dopadli, musiała być niezłą laską.

– Daj spokój, Bernie. – Westchnąłem. – Nie znałem Lynn Peterson, nie w takim sensie, jaki sugerujesz.

– Dobra, nie znałeś jej. Zaskoczyła cię, jak przeszukiwałeś dom jej brata...

– Na miłość boską, Bernie. Nie przeszukiwałem jego domu!

– Ta kobieta zaskoczyła cię w domu, po chwili zjawili się dwaj Meksykanie, walnęli cię w łeb, schwytali ją w swoje okrutne pazury i uprowadzili. Teraz leży martwa na poboczu odludnej drogi w Encino. Czy na moim miejscu powiedziałbyś: „W porządku, Phil, nie przejmuj się, wracaj do swoich spraw, jestem pewien, że nie masz nic wspólnego

z zabójstwem tej nieszczęsnej kobiety, chociaż poszukiwałeś jej brata, który jakoby nie żyje”? Powiedziałbyś tak?

Znów westchnąłem. Nie tylko dlatego, że miałem po dziurki w nosie jego insynuacji, ale byłem też śmiertelnie zmęczony.

– Dobrze, Bernie. Wiem, że wykonujesz swoją pracę, robisz to, za co ci płacą. Jeśli jednak nadal będziesz łączył mnie z tą sprawą, zmarnujesz mnóstwo czasu, wściekniesz się i czeka cię zawód.

– Ale jesteś powiązany z tą sprawą – niemal krzyknął. – To ty węszyłeś za Petersonem, a teraz jego siostra nie żyje. Co to jest, jeśli nie powiązanie?

– Wiem, że ona nie żyje. Dopiero co mi ją pokazałeś, a tamten Albert Schweitzer wyjaśnił mi to w krwawych szczegółach. Ale słuchaj uważnie, Bernie: to nie ma żadnego związku ze mną. Musisz w to uwierzyć. Jestem, jak to nazywają, niewinną postronną osobą.

Bernie prychnął.

– Naprawdę tak jest – ciągnąłem. – Takie rzeczy się zdarzają, o czym doskonale wiesz. Stoisz przy okienku w banku, gdy nagle zza twoich pleców wyskakują dwaj bandyci, czyszczą sejfy z pieniędzy, zabijają dyrektora banku i uciekają z łupem. Fakt, że załatwiałeś tam sprawy, wpłacałeś pieniądze na konto albo je wypłacałeś, nie oznacza, że masz związek z napadem. Prawda?

Zastanawiał się chwilę, przygryzając kciuk. Wiedział, że mam rację, ale w takich sytuacjach gliniarze nie cierpią wypuszczać z rąk jedyne go tropu, jaki sądzą, że mają. W końcu warknął z niesmakiem i machnął na mnie ręką, jakby zabijał muchę.

– Wynoś się stąd – rzucił. – Niedobrze mi się robi na twój widok, ty świętoszkowaty komediancie.

Wyzwiska nie były niczym przyjemnym. Mogłem przełknąć świętoszkowatość, ale obsadzanie mnie w roli kłowna z czerwonym nochalem, w za dużych butach, było czymś zgoła odmiennym.

– Wracam do domu, Bernie – powiedziałem uprzejmie, cicho, nawet z godnością. – Mam za sobą długi, ciężki dzień. Muszę złożyć moją potłuczoną głowę i odpocząć. Jeśli dowiem się czegoś na temat Nico Petersona, jego siostry, krewnych lub przyjaciół, co uznam za istotne dla tej sprawy, nie zataję tego przed tobą. Zgoda?

– Idź, pieprz się – odparł Bernie, odwrócił się i podszedł do doktora Torrence'a, który instruował funkcjonariuszy, jak zapakować poturbowane ciało Lynn Peterson do karetki.

16

Sądziłem, że na tym cała sprawa się zakończy. Zgodnie z moimi przewidywaniami, Bernie nie dowiedział się niczego o Meksykanach. Twierdził, że zwrócił się do swego przyjaciela ze straży granicznej w Tijuanie z pytaniem o miejsce pobytu Gómeza i Lópeza, jednak przyjaciel na nic się nie przydał. W tej historii zdziwiło mnie parę rzeczy. Po pierwsze, że Bernie miał przyjaciela, w dodatku w Tijuanie. Po drugie, że mieli tam straż graniczną. A więc ci faceci na przejściach granicznych, w koszulach khaki przeпоconych pod pachami, którzy patrzą na ciebie znudzonym wzrokiem, nie wyjmują nawet wykałaczki z ust i dają znak ręką, żebyś przejeżdżał, są właśnie ze straży granicznej. Muszę pamiętać, żeby następnym razem, gdy ruszę w stronę Meksyku, okazać im więcej szacunku.

Zresztą nie wiem, ile trudu zadał sobie Bernie, by wytropić zabójców Lynn Peterson. Nie była nikim ważnym, z pewnością nie mogła się równać na przykład z Clare Cavendish. Jak się okazało, Lynn pracowała jako tancerka w klubach w Bay City. Wiedziałem co nieco o takim życiu i jego ciemnych stronach, dlatego mogłem sobie wyobrazić, jaki miała los. Faceci z kręconymi włosami na wierzchu dłoni, nieustannie próbujący cię obmacywać. Menadżerowie stosujący własne, nieoficjalne metody zatrudnienia. Alkohol i narkotyki, nocne zmęczenie, blade świty i tanie pokoje hotelowe. Chociaż nasze spotkanie nie trwało długo, zdążyłem polubić Lynn. Zasługiwała na lepsze życie i lepszą śmierć.

Musiałem przestać myśleć o dwóch Meksykanach. Jątrząca wściekłość, jaką do nich czułem, wżera się w duszę. Trzeba zminimalizować straty i iść dalej. Rana na policzku ładnie się goiła, guz z tyłu czaszki zmalał do rozmiarów gołębiego jajka.

Parę dni później poszedłem na pogrzeb Lynn w domu pogrzebowym w Glendale, sam nie wiem czemu tam – może tam właśnie mieszkała. Podobnie jak brat, została poddana kremacji. W trwającej około trzech minut uroczystości uczestniczyły dwie osoby: ja oraz roztargniona staruszka z włosami jak druciak i niezdarnie uszminkowanymi ustami. Po wszystkim próbowałem z nią porozmawiać, ale umknęła jak przed sprzedawcą szczotek. Wyjaśniła, że musi wracać do domu, bo kot na pewno jest głodny. Gdy nie mówiła, poruszała umalowanymi ustami jakby w bezgłośnym mamrotaniu. Zastanawiałem się, kim jest; z pewnością nie była matką zabitej dziewczyny. Może ciotką, a może tylko gosposią. Chciałem pomówić z nią o Lynn, ale staruszka nie została, a ja jej nie zatrzymywałem. Głodnego kota trzeba nakarmić.

Gdy zaparkowałem oldsmobila przed Cahuenga Building, chudy młodzieniec w marynarce w czerwono-zieloną kratę oderwał się od muru i stanął przede mną.

– Pan Marlowe?

Miał pociągłą, ziemistą twarz, wydatne kości policzkowe i oczy w trudnym do określenia kolorze.

– Tak, jestem Marlowe – odparłem. – A ty kto?

– Szef chce z panem mówić. – Chudzielec spojrział mi przez ramię w stronę dużego czarnego samochodu przy krawężniku.

Westchnąłem. Kiedy taki jegomość zatrzymuje cię w drodze do pracy i oznajmia, że jego pracodawca życzy sobie zamienić z tobą słówko,

możesz się spodziewać kłopotów.

– Kim jest twój szef? – spytałem.

– Po prostu wsiądź do wozu, dobra? – Chudy odchylił marynarkę i pokazał czarny, lśniący przedmiot zatknięty zgrabnie w kaburze pod pachą.

Podszedłem do samochodu, bentleya z kierownicą po prawej stronie. Ktoś musiał sprowadzić go z Anglii. Dzieciak z argumentem pod pachą otworzył tylne drzwi i cofnął się, żebym mógł wsiąść. Pochyliwszy się, pomyślałem, że położy mi dłoń na głowie, jak robią na filmach gliniarze, ale coś w moim wzroku powiedziało mu, żeby nie posuwał się za daleko. Zatrzasnął za mną drzwi z donośnym łoskotem zamykanego sejfu bankowego i wrócił pod ścianę budynku.

Rozejrzałem się po wnętrzu bentleya. Mnóstwo chromu i polerowanego drewna orzechowego. Kremowa tapicerka wydzielala woń świeżej skóry, szczególnie silną w drogich angielskich modelach. Za kierownicą siedział czarnoskóry mężczyzna w czapce szofera. Kiedy wsiadłem, nawet nie drgnął, tylko patrzył wprost przed siebie, ale na chwilę dostrzegłem jego wzrok w lusterku. Nie było to przyjazne spojrzenie.

– O czym więc chce pan ze mną rozmawiać? – zwróciłem się do człowieka obok.

Odpowiedział ciepłym, szerokim uśmiechem szczęśliwego człowieka sukcesu.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał przyjaznym tonem.

– Owszem – odparłem. – Lou Hendricks.

– Dobrze! – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Nie cierpię zawracać sobie głowy przedstawianiem się, a pan? – Mówił z afektowanym, sztucznym brytyjskim akcentem. – To taka strata cennego czasu.

– Jasne – potwierdziłem. – Cholerna mitręga dla takich zajętych ludzi jak my.

Mój rozmówca najwyraźniej nie miał nic przeciwko drwinom na jego temat.

– Tak – powiedział swobodnie. – Pan z pewnością jest Marlowe. Słyszałem o pańskiej niewyparzonej gębie.

Lou Hendricks był potężnym mężczyzną, zajmował połowę tylnego siedzenia samochodu pokaźnych rozmiarów. Głowa w kształcie pudełka na buty spoczywała na trzech lub czterech fałdach tłuszczu w miejscu, gdzie dawniej znajdował się podbródek. Do płaskiej czaszki przylegały gęste włosy, pofarbowane na kolor oliwionego drewna tekowego. Hendricks miał na sobie dwurzędowy garnitur uszyty z wielu metrów lawendowego jedwabiu i fantazyjny karmazynowy krawat z perłową szpilką. Jak na szubrawca był prawdziwym elegantem. Nie zdziwiłbym się, gdybym ujrzał na jego butach getry. Za plecami nazywali go Śliczny Lou. Hendricks, właściciel kasyna na pustyni, należał do grubych ryb z Vegas, obok Randy’ego Starra i paru innych ważniaków z branży hazardowej. Podobno oprócz Paramount Palace maczał palce w wielu innych sprawach: prostytutki, narkotyki, takie historie. Niezłym chłoptasiem był ten nasz Lou.

– Wiem od wiarygodnego informatora, że szuka pan kogoś, o kim sam chciałbym się czegoś dowiedzieć – zaczął.

– Ach tak? Kto to taki?

– Peterson, Nico Peterson. Czy coś panu dzwoni?

– Delikatnie pobrzękuje – odparłem. – Kim jest ten pana wiarygodny informator?

– Och, panie Marlowe. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Przecież sam nie ujawniłby pan źródła, czemu więc spodziewa się pan, że ja to zrobię?

– Słuszna uwaga. – Wyciągnąłem papierośnicę, wyjąłem papierosa, lecz nie zapaliłem. – Na pewno wie pan, że Nico Peterson nie żyje.

Lou Hendricks pokiwał głową, potrząsając przy tym podbródkami.

– Tak też wszyscy sądziliśmy – powiedział. – Okazuje się jednak, że wszyscy mogliśmy się mylić.

Bawiłem się niezapalonym papierosem, obracając go w palcach. Próbowałem dociec, skąd Hendricks wiedział o pogłoskach, że Peterson żyje. Lou nie wydawał się typem, który znałby Clare Cavendish. Z kim jeszcze rozmawiałem o Petersonie? Joe Green, Bernie Ohls, barman Travis, stary mieszkający naprzeciwko domu przy Napier Street. Kto jeszcze? Ale może to wystarczyło. Świat jest porowaty, a rzeczy przeciekają same z siebie, przynajmniej tak się zawsze wydaje.

– Myśli pan, że on żyje? – zapytałem, grając na zwłokę.

Lou Hendricks zareagował zadowolonym, wesołym uśmiechem; w kącikach jasnych oczu pojawiły się zmarszczki.

– Niechże pan da spokój, Marlowe. Jestem zajęтым człowiekiem, pan z pewnością też. Zaczęliśmy wartko, ale teraz powłóczy pan nogami. – Niczym wyrzucony na brzeg wieloryb poruszył się ciężko na siedzeniu, wyjął z kieszeni białą chustkę i z donośnym trąbieniem wydmuchał nos. – Smog w tym mieście – powiedział, schował chustkę i pokręcił głową. – Fatalnie wpływa na moje oddychanie. – Zerknął na mnie. – Pan też ma z tym problemy?

– Trochę – przyznałem. – Ale miałem je już dawniej.

– Ach, tak?

Nagle jakby nie miał nic przeciwko marnowaniu czasu.

– Pęknięta przegroda nosowa – wyjaśniłem, stukając palcem w nasadę nosa.

– Ajajaj, to musiało boleć. Jak to się stało?

– W czasach studenckich, ostre wejście na boisku, potem konował ponownie złamał mi nos, próbując go nastawić, ale wyszło jeszcze gorzej.

– Mój Boże. – Hendricks się wzdygnął. – Nawet trudno mi o tym myśleć.

Mimo to widziałem doskonale, że bardzo chciałby usłyszeć więcej. Przypomniałem sobie, że uchodzi za hipochondryka. Jak to się dzieje, że świat przestępczy rodzi tylu autentycznych świrów?

– Wie pan, że siostra Petersona została zamordowana? – spytałem.

– Owszem. Słyszałem, że weszła w kontakt z paroma niespokojnymi osobami z południa.

– Jest pan dobrze poinformowany, panie Hendricks. W gazetach nie pisano, skąd pochodzili zabójcy.

Zachichotał, jakby usłyszał ode mnie wspaniały komplement.

– Och, trzymam ucho na pulsie – przyznał skromnie. – Wie pan, jak to jest. – Z rękawa marynarki strzepnął niewidzialny pyłek. – Sądzi pan, że ci dżentelmeni z południa szukali też jej brata? Chyba wpadł pan na nich, co? Czy raczej oni wpadli na pana: ten siniak na policzku mówi niemało.

Przyglądał mi się ze współczuciem. Najwyraźniej znał się na bólu, a dokładnie rzecz biorąc, bólu zadawanym innym. Po chwili zwrócił się do mnie i powiedział konkretnym tonem:

– Wracając do naszych spraw, naprawdę chciałbym zamienić słówko z naszym przyjacielem Nico, jeśli faktycznie ciągle jest wśród nas. Widzi pan, załatwiał dla mnie sprawunki w kraju mułów i sombrero. Nic poważnego, ot, drobiazgi trudno dostępne w naszym kraju, gdzie panują niepotrzebnie surowe prawa. W chwili domniemanej śmierci miał coś mojego, co się zawieruszyło.

– Walizkę? – zapytałem.

Hendricks przyjrzał mi się uważnie, w oczach błysnęły ogniki. Po chwili jednak się rozluźnił, pozwalając, by kanciaste ciało obleczone w lawendowy garnitur opadło na miękkie skórzane siedzenie.

– Przejedziemy się? – spytał, po czym rzucił do czarnoskórego kierowcy: – Cedricu, zabierz nas na przejażdżkę po parku, dobrze?

Cedric ponownie napotkał mój wzrok w lusterku. Tym razem nie łąpał już tak nieprzyjaźnie. Chyba zdążył się przekonać, że nie ma we

mnie nic, co zasługiwałoby na wzgardę. Odbiliśmy od krawężnika. Wcześniej silnik nieustannie pracował, ale niczego nie słyszałem. Brytyjczycy z pewnością znajdują się na samochodach. Odwróciwszy się, zobaczyłem, jak chudzielec w kapelusiku odrywa się od ściany i unosi rękę, ale ani Cedric, ani jego chlebodawca nie zwrócili na to uwagi. Takich cyngli jest na pięćdziesiąt.

Bezszelestnie włączyliśmy się do ruchu na Cahuenga i równą czterdziestką na godzinę ruszyliśmy na południe. Tak jeżdżą samochody w snach. Hendricks otworzył wbudowaną w drzwi szafkę z orzecha włoskiego, wyjął tubkę, wycisnął nieco białej maści i zaczął ją wcierać w dłoń. Maść wydzielala znajomy zapach. „Konwaliowy krem do dłoni firmy Langrishe”, przeczytałem na nalepce. To mógł być ciekawy zbieg okoliczności, gdyby nie fakt, że większość lepiej sytuowanych mieszkańców miasta używała produktów Langrishe. Tak mi się przynajmniej wydawało. Odkąd poznałem Clare Cavendish, te cholerne perfumy były wszędzie.

– Proszę mi powiedzieć, skąd pan wiedział, że interesuje mnie walizka? – spytał Lou Hendricks.

Odwróciłem wzrok i spojrzałem na domy oraz frontony sklepów mijanych na Cahuenga. Co miałem mu powiedzieć? Sam nie wiedziałem, skąd wzięło się to słowo; po prostu wyskoczyło, zaskakując nawet mnie. Dokładnie rzecz biorąc, w moim umyśle nie pojawiło się słowo „walizka”, ale oznaczające je hiszpańskie *maleta*, które automatycznie przetłumaczyłem.

Maleta. Kto to powiedział. W grę wchodziło tylko Meksykanie. Kiedy Gómez trzasnął mnie w łeb swoją okazałą srebrną pukawką i runąłem na podłogę, pewnie coś tam słyszałem. Meksykanie musieli zacząć wyciskanie informacji z Lynn Peterson, kiedy leżałem u ich stóp, a wokół głowy wirowały mi gwiazdy i ćwierkały ptaszki.

Hendricks bębnił serdelkowymi palcami po skórzanym podłokietniku.

– Czekam na odpowiedź, panie Marlowe – odezwał się miłym głosem.
– Skąd pan wiedział, że chodzi o walizkę? Może rozmawiał pan z Nico? Czy widział pan ten przedmiot?

– Zgadywałem – odparłem bez przekonania i znów odwróciłem wzrok.

– Wobec tego musi pan być jasnowidzem. To pożyteczny dar.

Cedric skręcił z Cahuenga i toczyliśmy się na zachód Chandler Boulevard. To ładna ulica, nie ma w niej nic złowrogiego: szeroka, czysta, w nocy dobrze oświetlona. Nie był to bynajmniej park. Zapowiedź przejażdżki po parku stanowiła jedynie kaprys Hendricksa. Nie ulegało wątpliwości, że lubił się pobawić.

– Słuchaj, Hendricks, może mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi? – przerwałem milczenie. – Powiedzmy, że Peterson miał twoją walizkę, powiedzmy, że zginął, a ty ją straciłeś, albo nie zginął, tylko ją zabrał. Co to ma wspólnego ze mną?

Spojrzał na mnie z żalem, jakby zrobiło mu się smutno, bo go obraziłem.

– Już ci mówiłem. Peterson zginął, potem okazuje się, że jednak nie zginął, następnie dowiaduję się, że go tropisz. To mnie interesuje. Kiedy zaczyna mnie swędzieć z ciekawości, muszę się podrapać, jeśli wybaczysz tę mało subtelną metaforę.

– Co było w tej walizce?

– To także ci mówiłem.

– Nieprawda.

– Pytasz o szczegółową listę?

– Nie musi być szczegółowa.

Twarz Hendricksa przybrała brzydki wyraz i nagle przypomniał mi tłuściocha ze studiów nazwiskiem, jeśli się nie mylę, Markson. Markson był synem bogacza, rozpieszczonym i nieźrównoważonym. Podobnie jak Hendricks, łatwo się rumienił, zwłaszcza gdy się denerwował albo nie mógł dostać tego, czego chciał. Po kilku semestrach odszedł; mówiono,

że został wyrzucony, ponieważ przemycił do pokoju dziewczynę, którą następnie stłukł. Nie lubię Marksonów tego świata; tak naprawdę to z ich powodu siedzę w tej branży.

– Powiesz mi, co chcę wiedzieć? – zapytał Hendricks.

– Zdradź mi, co to takiego, to może ci powiem. A może nie.

– Uparty z pana człowiek, Marlowe. – Przyglądał mi się, kręcąc głową.

– Podobno.

– Mógłbym się poważnie zirytować, chociażby twoim zachowaniem. Zastanawiam się, czy poprosić Cedrica, by zawrócił po Jimmy'ego. Jimmy to ten młody człowiek w tym strasznym nakryciu głowy, który zaprosił się do samochodu. Jimmy zajmuje się dla mnie... Jak to ująć? Brudniejszymi sprawami.

– Jeśli ten cyngiel mnie tknie, skręcę mu kark – zapowiedziałem.

– Oho! – Otworzył szeroko świńskie oczka. – Jacy się zrobiliśmy nagle twardzi.

– Nie wiem nic o nas – odparłem. – Ja jestem twardy, gdy zajdzie taka potrzeba.

Hendricks zachichotał, przez co zatrzęsł się jak galareta w garniturze.

– Jesteś drobnym szpiclem – rzucił, nie podnosząc głosu. – Masz pojęcie, co moi ludzie mogliby z tobą zrobić na mój rozkaz? Może młody Jimmy nie wywarł na tobie wrażenia, ale zapewniam cię, Marlowe, że tam, skąd pochodzi, jest jeszcze wielu takich Jimmych, każdy większy i wredniejszy od poprzedniego.

– Możesz mnie tu wysadzić, Cedric – powiedziałem i klepnąłem szofera w ramię. – Chętnie rozprostuję nogi.

Oczywiście mnie zbył i pogodnie jechał dalej.

Hendricks oparł się na siedzeniu i zatarł ręce, tym razem bez kremu.

– Nie kłóćmy się, Marlowe – poprosił. – Kiedy zabraliśmy cię spod biura, nie wyglądałeś na szczególnie zajętego człowieka, po co więc

teraz się spieszyć? Jeśli masz ochotę, możemy pomówić o czymś innym. Co cię interesuje?

Przyszło mi na myśl, że z tym swoim sztucznym brytyjskim akcentem i wymuskanymi manierami pasowałby do klubu Cahuilla. Ciekawe, może już do niego należał? Wtedy mnie olśniło: to Floyd Hanson musiał mu o mnie powiedzieć. Jak mogłem zapomnieć o wizycie w klubie Cahuilla i rozmowie z menadżerem? Wciąż trzymałem papierosa, więc go zapaliłem. Hendricks zmarszczył brwi, wcisnął guzik na podłokietniku i uchylił okno po swojej stronie. Niby przypadkiem dmuchnąłem dymem w jego kierunku.

– Zróbmy wymianę – zaproponowałem. – Powiesz mi, co wiesz o śmierci Petersona, a ja powiem ci, co wiem o jego zmartwychwstaniu. – Strzelałem w ciemno, tym bardziej że wszystko, co wiedziałem o Petersonie, żywym czy martwym, sprowadzało się do małej kupki fasolek. Właściwie nie było nawet kupki, a nieliczne fasolki w moim posiadaniu były wyschnięte i bez smaku. Mimo to trzeba próbować.

Obserwował mnie i myślał, obserwował i myślał. Pewnie też liczył swoje fasolki.

– Wiem jedynie, przynajmniej tyle mi mówiono, że pewnej ciemnej nocy biedak został przejechany w Pacific Palisades przez nieostrożnego kierowcę, który się nie zatrzymał.

– Pojechałeś tam, żeby obejrzyć miejsce wypadku?

– Po co? A powinienem był to zrobić? – Ponownie się nachmurzył, ale tym razem nie był to wyraz dezaprobaty z powodu mojego papierosa, ale niepokoju.

Uznałem, że naprawdę uważa, iż wiem o wielu rzeczach, których nie chcę mu wyjawiać. Jak długo jeszcze mogłem z nim pogrywać?

– Cóż – odezwałem się zadowolonym tonem człowieka dobrze poinformowanego. – Jeśli nie został przejechany, to co właściwie zaszło tamtej nocy? Ciało przywiezione do kostnicy zidentyfikowano jako

Petersona, a następnie poddano kremacji. Coś takiego wymagałoby przygotowań.

Szczerze mówiąc, dotychczas nie koncentrowałem się na tym aspekcie. Było ciało, ktoś zginął, a kimkolwiek był, Lynn Peterson rozpoznała w nim brata. Jeśli jednak nie on wpadł pod samochód, to kto? Może nadszedł czas, by ponownie porozmawiać z Floydem Hansonem.

A może nie. Może czas zapomnieć o Nico Petersonie, jego siostrze, klubie Cahuilla i Clare Cavendish... Zaraz. Clare? Całą resztę mogłem bez trudu wyrzucić z umysłu, ale nie czarnooką blondynkę. Już to mówiłem, wiem też, że znajdą się powody, by to powtórzyć: cokolwiek byś mówił, cokolwiek robił, kobiety to tylko kłopoty. Pomyślałem o różach na lampce nocnej. Ten klosz, jak tapeta Oscara Wilde'a, stanowczo musi zniknąć.

Hendricks znowu pogrążył się w rozmyślaniach. Przy całej swojej gładkiej mowie nie był najbystrzejszy.

– Nico sam musiał to zorganizować – stwierdził w końcu. – Wypadek, ucieczkę kierowcy, kremację. To chyba oczywiste, prawda?

– Potrzebowałyby pomocy. Poza tym, potrzebne byłoby ciało. Nie wyobrażam sobie, że znalazł ochotnika. Nikt nie ma aż tak usłużnych przyjaciół.

Znów zamilkł, potem potrząsnął głową, jakby wokół niej roiły się muchy.

– To wszystko jest bez znaczenia – rzucił. – Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko wiedzieć, czy on żyje, a jeśli tak, to gdzie jest. On ma tę walizkę, a ja chcę ją dostać.

– Dobra, Hendricks, wyłożę karty na stół. Nie wścieknij się. Pamiętaj, że nie wsiadłem do tego samochodu z własnej woli.

– Dobra. – Zrobił groźną minę. – Wykładaj.

Postukałem papierosem o popielniczkę w podłokietniku po mojej stronie; miała małą pokrywkę ze sprężynką. Ktoś – przypuszczalnie

Cedric – zapomniał ją opróżnić, a teraz dobyła się z niej ostra woń. Pewnie taki zapach wydzielałyby moje płuca po wyjęciu z klatki piersiowej. Czasem myślę, że powinienem na dobre rzucić palenie, ale wtedy moim jedynym hobby pozostałyby szachy, a w szachy stale ze sobą wygrywam. Wzięłem głęboki wdech, tym razem wolny od dymu.

– Prawda jest taka, że ani o śmierci Petersona, ani o niczym innym nie wiem więcej niż ty – powiedziałem. – Zatrudniono mnie, abym zbadał jego śmierć, ponieważ pojawiły się wątpliwości co do tego, czy istotnie miała miejsce. Rozmawiałem z kilkoma osobami, między innymi z jego siostrą...

– Rozmawiałeś z nią?

– Mniej więcej pięć minut. Mówiłem jej głównie o tym, co ma dodać do drinka, którego dla mnie przyrządzała. Potem wpadło dwóch facetów z południa i było po wszystkim.

– Lynn Peterson nic ci nie powiedziała? – Hendricks siedział całkowicie nieruchomo i bacznie mi się przyglądał.

– Nic. Przysięgam. Nie było czasu.

– Powiedziała ci coś o walizce?

– Nie.

– Z kim jeszcze rozmawiałeś? – zapytał po namyśle.

– Nie było ich wielu. Ze starym, który mieszka naprzeciwko Petersona. Z barmanem w Barney's Beanery, gdzie Peterson wpadał czasem na drinka. Z menadżerem klubu Cahuilla... – Teraz to ja przyglądałem się mu badawczo. – Nazywa się Hanson, Floyd Hanson. – Nazwisko nie wywołało pożądanej reakcji; w zasadzie nie wywołało żadnej, nie byłem nawet pewien, czy coś mu mówiło. – Znasz go? – spytałem jak najbardziej nonszalancko.

– Co? – Lou Hendricks mnie nie słuchał. – Tak, tak, znam go. Czasami wpadam do klubu na kolację i takie tam. – Mrugnął. – Co Hanson ma z tym wspólnego?

– Peterson wpadł pod samochód przed klubem Cahuilla.

– Wiem, słyszałem o tym.

– Hanson jako jeden z pierwszych znalazł się tamtej nocy na miejscu wypadku.

– Owszem. – Zamilkł i przygryzł wargę. – Czy miał ci coś do powiedzenia?

– Nie.

Hendricks ponownie wyjął konwaliowy krem do rąk pani Langrishe i znowu czule zajął się własnymi rękami. Może koło mu to nerwy lub pomagało myśleć. W tej materii każda pomoc mogła mu się przydać.

– Posłuchaj, Marlowe – odezwał się w końcu. – Podobasz mi się. Podoba mi się twój sposób bycia. Masz głowę na karku, to jasne. Poza tym umiesz trzymać język za zębami. Przydałby mi się ktoś taki.

– Nawet nie pytaj – odparłem ze śmiechem.

Uniósł dłoń wielkości szynki. Dlaczego grubasy upierają się przy pierścieniach? Pierścień na takich palcach zawsze przywodzi mi na myśl wieprza na wystawie rolniczej.

– Nie proponuję ci pracy – zaznaczył Lou. – Wiem, że tylko marnowałbym czas. Chciałbym ci zlecić znalezienie Nico Petersona.

Znów się roześmiałem, choć tym razem postarałem się, by zabrzmiało to wesoło.

– Czy ty słuchasz, co mówię? Ja już szukam Petersona w czyimś imieniu.

Hendricks zamknął oczy i pokręcił głową.

– Mam na myśli prawdziwe poszukiwania. Najwyraźniej dotychczas nie wkładałeś w to serca.

– Dlaczego tak mówisz?

Otworzył oczy i wwiercił we mnie wzrok.

– Ponieważ go nie znalazłeś! Znam cię, Marlowe, wiem, co z ciebie za typ. Jeśli coś postanowisz, robisz to. – Jego brytyjski akcent nagle gdzieś zawieruszył. – Ile ci płacą? Parę stów? Dam ci tysiąc. Cedric! – Wyciągnął rękę.

Czarnoskóry kierowca, nie odrywając wzroku od szosy, pochylił się w bok, otworzył schowek, wyjął duży portfel z czarnej skóry i podał go przez ramię. Hendricks wziął portfel, odpiął zatrask, wyjął pięć świeżutkich studolarówek i rozłożył przede mną jak wachlarz kart. – Połowa teraz, połowa po znalezieniu. Co ty na to?

– Ja na to: spadaj – odparłem, zdusiłem papierosa w popielniczce i sprężynowe wieczko opadło. – Już wynajęto mnie do odszukania Petersona, o ile żyje, w co wątpię. Jeśli jednak żyje, a ja go znajdę, nie zrobię tego dla ciebie. Rozumiesz? Mam zasady. Nie są szczególnie wzniosłe ani szlachetne, ale nie są też na sprzedaż. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do pracy. Cedric, zatrzymaj wóz. Tym razem zrób to albo skręcę ci kark.

Kierowca spojrział w lusterku na swojego pracodawcę, a ten skinął głową; skręciliśmy w prawo i samochód stanął. Hendricks, wciąż z banknotami w dłoni, westchnął, schował je do portfela i zamknął go na zatrask.

– To bez znaczenia – oświadczył i złożył usta w ciup, co nadało mu wygląd dziecka, powiedzmy małego hipopotamka. – Jeśli go znajdziesz, dowiem się o tym. Wtedy po niego przyjadę. Mam nadzieję, Marlowe, że nie będziesz próbował przeszkadzać.

Otworzyłem drzwi – miały w sobie chyba tyle stali co właz okrętowy – i postawiłem nogę na chodniku.

– Wiesz, Hendricks – odwróciłem się – wy, kanciarze, wszyscy jesteście tacy sami. Myślicie, że skoro macie nieograniczone zasoby finansowe i bandę osiłków, nikt wam nie odmówi. Cóż, właśnie ktoś ci odmówił i będzie odmawiał nadal bez względu na to, ilu Jimmych na niego naślesz.

Uśmiechał się do mnie z autentyczną rozkoszą.

– Panie Marlowe, jest pan odważnym człowiekiem, za co pana szanuję. – Radośnie skinął głową, znów w roli nienagannego

brytyjskiego dżentelmena. – Mam nadzieję, że nasze drogi znowu się spotkają. Coś mi mówi, że tak właśnie będzie.

– Kiedy do tego dojdzie, uważaj, żebyś się nie potknął. Na razie.

Wysiadłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Gdy samochód włączał się w ruch, usłyszałem, jak Hendricks ponownie wydmuchuje nos. Brzmiało to jak daleka syrena mgielna.

17

Północ dawno minęła, a ja leżałem na łóżku w koszuli, paliłem papierosa i gapiłem się w sufit. Róże na kloszu zapalonej nocnej lampki rzucały cienie na ściany, podobne do plam krwi, które ktoś zaczął wycierać, ale dał sobie spokój.

Myślałem o tym i tamtym, przy czym „to” było Clare Cavendish, a „tamto” również. Akurat byłem po tej stronie łóżka, gdzie wcześniej leżała ona. Na poduszce czułem zapach jej włosów, a przynajmniej tak mi się wydawało. Raz po raz mówiłem sobie, że postąpiłem słusznie, pozwalając jej odejść. Clare była nie tylko piękna, ale i nadziana; to nie jest typ kobiety dla mnie. Linda Loring, aktualnie w Paryżu, reprezentowała ten sam typ, i z tego powodu nie chciałem jej poślubić, chociaż wielokrotnie o to prosiła. Linda i ja poszliśmy do łóżka raz i przypuszczam, że naprawdę mnie kochała, choć nie mam pojęcia, dlaczego jej zdaniem miłość musi prowadzić do małżeństwa. Jej siostra wyszła za Terry’ego Lennox’a i skończyła z kulą w głowie i zmasakrowaną twarzą. Marny przykład szczęścia małżeńskiego. Zresztą, nie byłem już młody; może nigdy się nie ożenię.

Kiedy zadzwonił telefon, wiedziałem, że to Clare. Nie wiem, skąd to wiedziałem, ale tak było. Z telefonami łączy mnie osobliwa relacja: nie cierpię ich, ale jakbym nadawał na tej samej fali, co one.

– To ty? – spytała.

– Tak, to ja.

– Wiem, że jest późno. Spałeś? Przepraszam, jeśli cię obudziłam. – Mówiła bardzo wolno, jak w transie. – Nie wiedziałam, do kogo innego zadzwonić.

– Co się stało?

– Czy... Czy mógłbyś przyjechać?

– Do ciebie? Teraz?

– Tak. Potrzebuję... Potrzebuję kogoś. – Głos Clare załamał się i dopiero po chwili odzyskała panowanie nad sobą. Chyba była bliska hysterii. – Chodzi o Retta.

– Twojego brata?

– Tak, Everetta.

– Co z nim?

– Naprawdę doceniłabym, gdybyś tu przyjechał – powiedziała po chwili. – Myślisz, że mógłbyś? Czy proszę o zbyt wiele?

– Przyjadę.

Oczywiście, że byłem gotów przyjechać. Choćby dzwoniła z ciemnej strony Księżyca, ruszyłbym w drogę. Jak szybko wszystko potrafi się zmieniać. Jeszcze przed chwilą gratulowałem sobie pozbycia się Clare, a teraz jakby otworzyły się we mnie drzwi i pognałem, z kapeluszem w dłoni, w powiewającym płaszczu. Dlaczego ją odepchnąłem, strojąc durne żarty i zachowując się jak prostak? Co było ze mną nie tak, skoro w środku nocy wypędzałem piękną kobietę z zaciśniętymi ustami i czołem pobladłym z gniewu? Czyżbym miał się za tak ponętny kąsek, że mogłem sobie pozwolić na odepchnięcie jej, jak gdyby na świecie roił się cały tłum takich kobiet jak Clare Cavendish i wystarczyło tylko pstryknąć palcami, by któraś, z opuszczoną głową, szybko weszła po moich schodach, zgrabnie stawiając nogi, jakby kreśliła ósemki?

Ulica świeciła pustkami, od wzgórz napływała ciepła mgła. Eukaliptusy stały nieruchomo w świetle latarni. Oskarżycielsko patrzyły

w milczeniu, jak wsiadam do oldsmobila. Czy mnie nie ostrzegały? Czy nie mówiły, że jestem durniem, gdy tamtej nocy stałem na sekwojowych schodach, patrzyłem, jak Clare Cavendish po nich zbiega i nie próbowałem jej zatrzymać?

Za szybko jechałem przez miasto, ale na szczęście nie natknąłem się na patrol. Gdy dotarłem do nabrzeża i skręciłem w prawo, z mgły wyłoniła się ćwiartka księżyca. W jego blasku rozбивały się widmowe fale, a dalej, w odmętach nocy, rozciągała się pusta czerń, bez horyzontu. Potrzebuję kogoś, powiedziała. Potrzebuję kogoś.

Przed bramą Langrishe Lodge zgasilem światła, o co prosiła Clare. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział o moim przyjeździe. Przypuszczalnie miała na myśli matkę, może także męża. Okrążyłem dom i zaparkowałem obok oranżerii. W kilku oknach domu paliły się światła, ale pokoje sprawiały wrażenie pustych.

Zgasiwszy silnik, siedziałem z opuszczonym oknem, słuchałem odległego szumu oceanu i sennych nawoływań ptaków morskich. Miałem ochotę na papierosa, ale nie chciałem zapalać ognia. Na twarzy czułem ciepłe, wilgotne powietrze. Nie byłem pewien, czy Clare będzie wiedziała, że przyjechałem. Powiedziała, gdzie mam się zatrzymać, a ona mnie znajdzie. Czekałem więc. Spora część mojego życia sprowadza się do nocnego przesiadywania w samochodach, wdychania stęchłego dymu papierosowego i słuchania krzyku nocnych ptaków.

Nie musiałem czekać długo. Parę minut później ujrzałem postać idącą ku mnie przez mgłę. Clare. Długi ciemny płaszcz zapięła ciasno pod szyją. Wsiadłem z samochodu.

– Dziękuję, że przyjechałeś – wyszeptała zaaferowana. Chciałem ją przytulić, ale tego nie zrobiłem. Na krótką chwilę zacisnęła palce na moim nadgarstku, potem zawróciła w stronę domu.

Ruszyłem za nią. Weszliśmy przez otwarte przeszklone drzwi. Nie zapaliła światła. Bez trudu poruszała się po ciemnym domu, ale ja musiałem uważnie omijać ciemne kontury mebli. Clare prowadziła

mnie długimi, zakręcającymi schodami i korytarzem wyłożonym dywanem. Na ścianach paliły się tu przytłumione światła. Wcześniej, na dole, zdjęła płaszcz, pod którym miała kremową sukienkę. Na białych butach została wilgoć z ogrodu. Szczupłe kostki, gładkie i blade, przypominały wnętrze muszli.

– Tutaj – powiedziała i ponownie zacisnęła mi palce na nadgarstku.

Pokój przywodził na myśl scenografię teatralną. Sam nie wiem dlaczego, może z powodu oświetlenia. Paliły się dwie lampy: mała na toalecie i duża przy łóżku, z brązowym kloszem o co najmniej półmetrowej średnicy. Na łóżku wielkości tratwy Everett Edwards Trzeci sprawiał wrażenie bardzo drobnego. Nieprzytomny, leżał na plecach pod płataniną prześcieradeł. Dłonie trzymał splecione na piersi jak nieboszczyk albo męczennik na obrazie któregoś ze starych mistrzów. Twarz miał w kolorze pościeli, długie włosy mokre od potu. Na podkoszulku widniały zaschnięte wymiociny, w kącikach ust zaschła ślina.

– Co mu jest? – zapytałem, choć mogłem się domyślić.

– Jest chory – odparła Clare. Stojąc przy łóżku, patrzyła na brata z miną matki męczennika. – On... coś wziął.

Gdy uniosłem lewą rękę Everetta, ujrzałem ślady po nakłuciach, zarówno stare, jak i świeże, biegnące nierówną linią od nadgarstka do wewnętrznej strony łokcia.

– Gdzie jest strzykawka? – spytałem.

– Wyrzuciłam ją. – Clare machnęła ręką.

– Od jak dawna on jest w takim stanie?

– Nie wiem. Może od godziny. Znalazłam go na schodach. Chyba chodził po domu i musiał stracić przytomność. Wtedy do ciebie zadzwoniłam.

– Czy to już się zdarzało?

– Nigdy nie było tak źle. – Spojrzała na mnie przestraszona. – Myślisz, że on umiera?

– Nie mam pojęcia. Oddycha nie najgorzej. Powiadomiłaś lekarza?

– Nie. Nie miałam odwagi.

– Musi zbadać go lekarz. Jest tu telefon?

Clare zaprowadziła mnie do toaletki, gdzie stał aparat telefoniczny robiony na zamówienie, czarny, błyszczący, ze srebrnymi wykończeniami. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer. Nie mam pojęcia, skąd go pamiętałem; zupełnie jakbym miał go w palcach. Po wielu dzwonekach odezwał się oschły, chłodny głos:

– Tak?

– Doktorze Loring, mówi Marlowe. Philip Marlowe.

Odniosłem wrażenie, że mój rozmówca zrobił pospieszny wdech. Po chwili milczenia rzucił:

– Marlowe. – Zabrzmiało to jak przekleństwo. – Dlaczego dzwonicz do mnie w środku nocy? Dlaczego w ogóle do mnie dzwonicz?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Masz czelność...?

– Proszę posłuchać – powiedziałem. – To nie ma nic wspólnego ze mną. Dzwonię w imieniu przyjaciółki. Jest tu człowiek, który stracił przytomność i potrzebuje twojej pomocy.

– I dzwonicz z tym do mnie?

– Nie robiłbym tego, gdybym mógł się zwrócić do kogoś innego.

W słuchawce zapadło milczenie. Clare stała przy mnie, wpatrując się w moją twarz, jakby mogła z niej wyczytać słowa Loringa.

– Co się stało temu człowiekowi? – spytał.

– Przedawkował.

– Próbował się zabić?

– Nie. Dawał w żyłę.

– „Dawał w żyłę”?

Wyobraziłem sobie, jak krzywi się z niesmakiem.

– Owszem. Jest narkomanem. Narkomani to też ludzie.

– Jak śmiesz mnie pouczać?

– Nie pouczam cię, doktorze – zapewniłem. – Jest późno, jestem zmęczony, tylko ty przyszedłeś mi do głowy...

– Czy ten człowiek ma rodzinę? Nie mają własnego lekarza?

Clare wciąż wpatrywała się we mnie, spijając słowa z moich ust. Odwróciwszy się, osłoniłem dłońmi słuchawkę.

– Dzwonię w imieniu pani Cavendish. Może także nazwisko Langrishe coś ci mówi?

Kolejna chwila ciszy. Korzystną, przynajmniej w tej sytuacji, okolicznością był snobizm Loringa.

– Mówisz o Dorothei Langrishe? – zapytał ciszej, z rewerencją.

– Owszem. Czyli zdajesz sobie sprawę, że sprawa wymaga wielkiej dyskrecji.

Loring wahał się tylko chwilę.

– Podaj mi adres – zażądał. – Przyjadę natychmiast.

Wyjaśniłem mu, jak dotrzeć do Langrishe Lodge, uprzedziłem, żeby, jak ja, po przyjeździe zgasił światła i zaparkował przy oranżerii. Odłożywszy słuchawkę, zwróciłem się do Clare:

– Wiesz, kto to był?

– Były mąż Lindy Loring?

– Tak. Znasz go?

– Nie. Nigdy go nie spotkałam.

– To zakochany w sobie służbista – powiedziałem. – Tak się jednak składa, że jest dobrym i dyskretnym lekarzem.

– Dziękuję. – Clare skinęła głową.

Zamknąłem oczy i potarłem palcami powieki. Potem spojrzałem na nią i spytałem:

– Dałabyś radę zrobić mi drinka?

Przez chwilę patrzyła na mnie bezradnie.

– Jest whisky Richarda – powiedziała. – Pójdę sprawdzić, co uda mi się znaleźć.

– Tak przy okazji, gdzie jest twój mąż? – zainteresowałem się.

– Och, no wiesz... Wyszedł. – Wzruszyła ramionami.

– Co będzie, jeśli wróci i zobaczy twojego brata w takim stanie?

– Co będzie? Dick pewnie się zaśmieje i pójdzie spać. To, co się dzieje między mną a Rettem, mało go obchodzi.

– A twoja matka?

– Ona nie może się dowiedzieć. Nie może. – Na twarzy Clare pojawił się niepokój.

– Czy nie należałoby jej powiedzieć? To w końcu jej syn.

– To by jej złamało serce. Ona nic nie wie o narkotykach. Kiedy Richard się na mnie złości, grozi, że jej powie. To jego kolejny sposób na trzymanie mnie w garści. Jeden z wielu sposobów.

– Chyba mam obraz sytuacji. – Znowu potarłem oczy, szczypiące tak, jakby przypiekano je na wolnym ogniu. – To co z tym drinkiem?

Clare odeszła, a ja wróciłem do łóżka, przysiadłem na brzegu i spojrzałem na nieprzytomnego młodzieńca z wymiocinami na koszulce i skołtunionymi włosami. Nie sądziłem, by umierał, chociaż nie jestem ekspertem w dziedzinie narkotyków i ćpunów. Everett Trzeci najwyraźniej był weteranem: niektóre ślady na rękach były już bardzo stare. Wkrótce matka będzie musiała się dowiedzieć, co robi kochany synek poza domem, kiedy ona nie głaszcze go po główce. Miałem tylko nadzieję, że nie dowie się tego w dramatyczny sposób. Po takiej stracie męża ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była kolejna gwałtowna śmierć w rodzinie.

Clare wróciła z butelką likieru Southern Comfort i szklanką z rżniętego kryształu. Nalawszy solidną porcję, podała mi. Wstałem i lekko przechyliłem szklankę w jej stronę w geście szacunku. Nie przepadam za southern comfort – jak dla mnie jest mdląco słodki – ale musiałem się nim zadowolić. Sięgnąłem po papierośnicę, ale się rozmyśliłem. Palenie w sypialni Clare Cavendish wydało mi się niestosowne.

– Skąd on bierze narkotyki? – zapytałem, patrząc na jej brata.

– Nie wiem, skąd bierze teraz. – Odwróciła wzrok i przygryzła wargę. Nawet zafrasowana była piękna. – Kiedyś załatwiał mu Nico, od czasu do czasu. Tak się poznaliśmy. Everett przedstawił nas sobie. – Uśmiechnęła się smutno. – Jesteś w szoku.

– Tak, trochę. Nie sądziłem, że z Petersonem łączyła cię taka relacja.

– Co masz na myśli? Jaka relacja?

– Taka, że sypiasz z handlarzem narkotyków.

Clare skrzywiła się, ale szybko doszła do siebie. Teraz, gdy wiedziała, że pomoc nadchodzi, i nie musiała już za wszystko odpowiadać, szybko odzyskiwała pewność siebie.

– Ty w ogóle nie rozumiesz kobiet, prawda?

Nagle zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek wymówiła moje imię, czy choć raz nazwała mnie Philipem. Chyba nigdy, nawet gdy byliśmy w łóżku, spowici w światło krwistych róż.

– Pewnie nie rozumiem – przyznałem. – Czy jakikolwiek mężczyzna może się tym pochwalić?

– Owszem, znałam takich, którzy rozumieją kobiety.

Dopiłem drinka. Naprawdę miał mdły smak, musieli pakować do niego karmel czy coś podobnego.

– Czy jesteś wobec mnie szczerą? – spytałem. – Tamtego dnia na Market Street naprawdę widziałaś Petersona?

– Oczywiście. – Otworzyła szeroko oczy. – Dlaczego miałabym kłamać?

– Nie wiem. Jak sama stwierdziłaś, nie rozumiem cię.

Clare usiadła na łóżku i oparła splecione dłonie na kolanach.

– Masz rację – przyznała cicho. – Nie powinnam była się z nim zadawać. On jest... – Szukała słowa. – Niegodny. Czy to brzmi dziwnie? Nie chodzi mi o to, że nie jest godzien mnie... Bóg wie, że sama nie jestem wiele warta. Jest uroczy, zabawny, ma bystry umysł. Jest nawet odważny, ale w głębi duszy pusty.

Uważnie obserwowałem jej oczy. Clare przebywała gdzieś bardzo, bardzo daleko. Wtedy uzmysłowiłem sobie, że wcale nie mówi o Petersonie, że on jest tylko pretekstem do mówienia o kimś innym. Nie miałem wątpliwości, że tak właśnie jest. Nico Peterson nigdy nie mógł znaczyć dla niej tyle, co ten człowiek. Ja również nie mogłem stać się dla niej tak ważny. Nagle zapragnąłem ją pocałować. Nie wiem, dlaczego chciałem ją pocałować, skoro znajdowała się gdzieś daleko i myślała o kimś, kogo kochała. Nie tylko kobiet nie rozumiem. Nie rozumiem samego siebie, ani trochę.

Nagle uniosła głowę i dała znak ręką.

– Słyszysz samochód – powiedziała. – To musi być doktor Loring.

Tą samą drogą, którą weszliśmy, zeszliśmy w półmroku na dół do ogrodu. Loring zaparkował samochód obok mojego. Kiedy się zbliżaliśmy, otworzył drzwi i wysiadł.

Był chudzielcem o aroganckim spojrzeniu i z kozią bródką. W przeszłości dochodziło między nami do szorstkich wymian zdań. Nie miałem pojęcia, czy wie, że jego była żona chciała za mnie wyjść. Zresztą, pewnie nie miałyby to znaczenia. Nie mógł gardzić mną bardziej niż do tej pory, a z Lindą już jakiś czas temu dał sobie spokój.

– Marlowe – rzucił chłodno. – Jak widzisz, przyjechałem.

Przedstawiłem go Clare. Uściskawszy jej szybko rękę, spytał:

– Gdzie jest pacjent?

Wróciliśmy do sypialni. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie plecami, uznając, że dalej Clare poradzi sobie sama. Everett był jej bratem, a ja nie powinienem wchodzić Loringowi w drogę.

Lekarz podszedł do łóżka i postawił na kapie czarną torbę.

– Co to było? – spytał. – Heroina?

– Tak – odparła Clare ściszonego głosem. – Tak mi się zdaje.

Zbadał puls Everetta, unióśł mu powieki i sprawdził gałki oczne, potem położył mu dłoń na piersi i kilkakrotnie ucisnął. Na koniec skinął głową i wyjął z torby strzykawkę.

– Zrobię mu zastrzyk z adrenaliny. Wkrótce odzyska przytomność.

– To znaczy... że to nic poważnego? – spytała Clare.

Loring spojrział na nią złowrogo. Kiedy był zły lub wściekły, czyli całkiem często, oczy jakby kurczyły mu się w oczodołach.

– Droga pani, pani brat ma tętno poniżej pięćdziesięciu, oddycha rzadziej niż dwanaście razy na minutę. Przypuszczam, że tej nocy otarł się o śmierć. Na szczęście jest młody i stosunkowo zdrowy. Niemniej jednak... – Odwrócił ampułkę z przezroczystym płynem do góry dnem i przebił igłą gumową zatyczkę. – Jeśli będzie trwał przy nałogu, niemal na pewno umrze, raczej wcześniej niż później. Są ludzie, którzy potrafią żyć z uzależnieniem od heroiny, nie żyją dobrze, ale żyją, widzę jednak wyraźnie, że pani brat do nich nie należy.

Loring wbił igłę w rękę Everetta i spojrział na Clare.

– Jest słaby, ma to wypisane na całym ciele. Powinna pani umieścić go w klinice. Mogę podać pani kilka nazwisk, powiedzieć, do kogo należy zadzwonić, dokąd się udać. W przeciwnym razie z pewnością straci pani brata. – Wyciągnął igłę i schował strzykawkę do torby wraz z pustą ampułką. – Oto moja wizytówka – zwrócił się do Clare. – Proszę do mnie jutro zadzwonić.

Znowu usiadła na brzegu łóżka z dłońmi splecionymi na kolanach. Wyglądała, jakby ktoś ją uderzył. Jej brat poruszył się i jęknął.

Loring raptownie ruszył do wyjścia.

– Odprowadzę cię – powiedziałem, na co obrzucił mnie zimnym spojrzeniem.

Razem przeszliśmy przez pogrążony w półmroku dom. Loring należał do ludzi, których milczenie jest bardziej wymowne niż słowa. Pogarda i nienawiść do mnie były od niego jak fale ciepła. Przecież to nie moja wina, że żona odeszła od niego i chciała za mnie wyjść.

Po przejściu przez ciemną oranżerię wyszliśmy w noc. Mgła lgnęła mi do twarzy jak mokry szal. Na morzu migotało światło na maszcie kotwiczącej łodzi. Loring otworzył drzwi samochodu, wrzucił torbę do środka i odwrócił się do mnie.

– Nie wiem, dlaczego nieustannie pojawiaasz się w moim życiu, Marlowe – powiedział. – To mi się nie podoba.

– Sam też za tym nie przepadam – odparłem. – Mimo to jestem wdzięczny, że przyjechałeś. Myślisz, że mógł umrzeć?

Wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, jest młody, a młodzi ludzie potrafią przetrwać najróżniejsze formy autodestrukcji. – Już miał wsiąść do samochodu, ale się zatrzymał. – Jaki jest twój związek z tą rodziną? Raczej nie należysz do ich warstwy społecznej.

– Wykonuję pewną pracę dla pani Cavendish.

Gdyby odgłos wydany przez Loringa pochodził od kogoś innego, mógłby uchodzić za śmiech.

– Musi być w poważnych tarapatach, skoro zwróciła się do ciebie.

– Wcale nie jest w tarapatach. Wynajęła mnie, żebym kogoś znalazł, jej przyjaciela.

– Dlaczego nie poprosi policji?

– To sprawa natury prywatnej.

– Tak, wtykanie nosa w prywatne sprawy innych to twoja specjalność.

– Posłuchaj, doktorze. Nigdy świadomie nie wyrządziłem ci krzywdy. Przykro mi, że twoja żona odeszła...

– Jak śmiesz wypowiadać się o moim małżeństwie? – Poczulem, jak Loring tężeje w ciemności.

– Nie wiem, jak śmiem – odparłem ze znużeniem. – Chcę cię jedynie zapewnić, że nie życzę ci źle.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? Wydaje ci się, że obchodzi mnie cokolwiek, co ma związek z tobą?

– Pewnie nie.

– Tak przy okazji, co ci się stało w twarz?

– Pewien facet zszedł mi lufą pistoletu.

– Z przyjemnymi ludźmi się zadajesz. – Znowu uraczył mnie tym swoim śmiechem.

– W każdym razie, dzięki, że przyjechałeś – powiedziałem, cofając się. – Jeśli uratowałeś komuś życie, to nie może być zły uczynek.

Loring jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale wszedł do wozu, zatrzasnął drzwi, uruchomił silnik, szybko wycofał, po czym pomknął ze zgrzytem po żwirze i znikł.

Z twarzą zwróconą ku niebu przez chwilę stałem w wilgotnym mroku i wdychałem słone nocne powietrze. Pomyślałem, żeby wrócić do środka, ale postanowiłem tego nie robić. Nie miałem Clare nic więcej do powiedzenia, w każdym razie nie tej nocy. Mimo to wróciła do mojego życia. O tak, wróciła na dobre.

18

Kiedy byłem młody, kilka tysięcy lat temu, uważałem, że wiem, co robię. Owszem, zdawałem sobie sprawę z kaprysów świata – z tego, jak drwi z naszych nadziei i pragnień – ale jeśli chodziło o moje własne działania, to miałem przekonanie, że siedzę twardo za kierownicą i pewnie trzymam ją w dłoniach. Teraz wiem co innego. Dziś wiem, że decyzje, które, jak sądzimy, podejmujemy, są w istocie podejmowane po fakcie, a gdy sprawy rzeczywiście się dzieją, dryfujemy. Świadomość, że mam nikłą kontrolę nad własnymi sprawami, niezbyt mnie trapi. Najczęściej wystarczy mi, że płynę z prądem, wiosłuję rękami i niekiedy udaje mi się wyłowić kilka rybek. Zdarza mi się jednak żałować, że nie zadałem sobie trudu, by wybiec myślami w przód i przewidzieć konsekwencje własnych działań. Mam tu na myśli drugą wizytę w klubie Cahuilla, która – z pewnością mogę tak powiedzieć – cholernie różniła się od pierwszej...

Po południu w klubie panował spory ruch. Najwyraźniej odbywał się jakiś zjazd: sporo facetów, w tym wielu starych, w kolorowych koszulach i krótkich spodniach w szkocką kratę, przechadzało się z wysokimi szklankami w dłoniach wśród bugenwilli, przy czym nie wszyscy zbyt pewnie trzymali się na nogach. Na głowach mieli czerwone fezy, jak odwrócone doniczki z frędzlami. Podrygujący dozorca Marvin zadzwonił do biura, po czym dał mi znak ręką, że mogę

wjechać. Zostawiłem oldsmobila pod cienistym drzewem i ruszyłem w stronę klubu. W połowie drogi natknąłem się na młodo-starego jegomościa, który zagadnął mnie ostatnim razem. Teraz grabił liście na ścieżce. Najwyraźniej mnie nie poznał, ale i tak go pozdrowiłem.

– Jest Kapitan Hak? – zapytałem. Zerknął na mnie nerwowo i dalej grabił. – Jak się dziś mają Zagubieni Chłopcy? – spróbowałem znowu.

– Nie powinienem z tobą rozmawiać – powiedział i z uporem pokręcił głową.

– Poważnie? Kto tak twierdzi?

– Sam wiesz.

– Kapitan?

Ostrożnie się rozejrzył.

– Nie powinienesz być o nim wspominać. Wpakujesz mnie w kłopoty.

– Tego bym nie chciał, ale...

– Lamarr? – rozległ się za nami głos. – Czy nie rozmawiałem z tobą o naprzykrzaniu się gościom?

Lamarr drgnął i zgarbił się, jakby spodziewał się uderzenia. Floyd Hanson podszedł, jak zwykle z ręką w kieszeni świeżo wyprasowanych spodni. Dziś miał na sobie lekką marynarkę z niebieskiego lnu, białą koszulę i krawat z dzianiny ściągnięty byczym łbem wyrzeźbionym z połyskliwego czarnego kamienia.

– Dzień dobry, panie Hanson – przywitałem go. – Lamarr wcale się nie naprzykrzał.

Hanson skinął mi głową z tym swoim krzywym uśmiechem, oparł dłoń na ramieniu Lamarra w koszuli khaki i powiedział cicho:

– Idź już, Lamarr.

– Oczywiście, panie Hanson – wyjąkał Lamarr, i spojrzał na mnie po części z irytacją, po części ze strachem i oddalił się, wlokąc za sobą grabie.

Hanson odprowadził go pobłażliwym wzrokiem.

– Ma dobre serce, ale bujną fantazję – stwierdził.

– Myśli, że jest pan Kapitanem Hakiem.

– Sam nie wiem, skąd wie o Piotrusiu Panu – powiedział z uśmiechem Hanson. – Ktoś musiał kiedyś przeczytać mu tę książkę, a może widział przedstawienie. W końcu nawet Lamarrowie tego świata mają matki. Czym mogę służyć, panie Marlowe?

– Słyszał pan o Lynn Peterson? – spytałem.

– Tak, naturalnie. – Hanson zmarszczył brwi. – Tragiczna historia. Czy w doniesieniach prasowych o jej śmierci widziałem pańskie nazwisko?

– Pewnie tak. Byłem z nią, kiedy zabrali ją zabójcy.

– Rozumiem. To musiało być kłopotliwe.

– Tak – odparłem. – „Kłopotliwe” to odpowiednie słowo.

– Dlaczego oni ją, jak pan się wyraził, „zabrali”.

– Szukali jej brata.

– Chociaż nie żyje?

– A nie żyje?

W odpowiedzi tylko spojrział na mnie w zamyśleniu, przekrzywiając głowę w bok.

– Czy przyjechał pan zadawać dalsze pytania o Nico? – zapytał. – Naprawdę nie mam nic więcej do dodania.

– Zna pan niejakiego Lou Hendricksa?

– Tego, który prowadzi kasyno na pustyni? – spytał po namyśle Hanson. – Spotkałem go. Był tu parę razy.

– Nie jest członkiem klubu?

– Nie. Przychodził jako gość.

Panowie na trawniku zaczęli wiwatować. Hanson spojrział w ich stronę, osłaniając oczy dłonią.

– Jak pan widzi, gościmy tu dziś masonów Shriners – wyjaśnił. – Zorganizowali turniej golfa w celach charytatywnych. Czasem bywają głośni. Napije się pan?

– Chyba nie zaszkodzi. Pod warunkiem że nie będzie to herbata.

– Proszę tędy – powiedział Hanson z uśmiechem.

Do klubu weszliśmy od frontu, minęliśmy ozdobne biurko i drobną recepcjonistkę w niebieskich okularach. Starsi panowie w fezach przechadzali się po korytarzach, kręcili przy barze i w jadalni.

– Chodźmy do mojego gabinetu – zaproponował Hanson. – Tam jest ciszej.

Przestronny i wysoki gabinet menadżera mógł się poszczycić jasnymi meblami oraz indiańskimi dywanami na podłodze. Ściany wyłożono boazerią z drewna wiśniowego, biurko przypominało to w recepcji, tyle że było większe i ozdobniejsze. Hanson z pewnością nie odmawiał sobie wygód. Brakowało natomiast śladów życia osobistego: żadnych oprawionych zdjęć z żoną i maleństwami, żadnych fotografii ukochanej z papierosem i falą włosów à la Veronica Lake, jakie faceci pokroju Hansona zwykle trzymają na eksponowanym miejscu na biurkach. Może nie gustował w damach albo klub nie patrzył przychylnie na osobiste elementy wystroju gabinetów, jakież to miało znaczenie? Mimo to ascetyczna schludność pomieszczenia była dość niesamowita.

– Proszę usiąść, panie Marlowe. – Podszedł do barku obficie zastawionego butelkami. – Czego panu nalać?

– Może być whisky.

– Mam tu old crow, pasuje? Osobiście wolę martini.

Nalał mi solidną lufę, dorzucił kostki lodu, podszedł i wręczył mi szklanekę. Siedziałem na zgrabnej małej kanapie z wyprofilowanymi drewnianymi nóżkami i wysokim oparciem.

– Nie przyłączy się pan? – spytałem.

– Nie w godzinach pracy. Pan Canning wyznaje surowe poglądy w kwestii zagrożeń czyhających w butelce. – Błysnął uśmiechem.

– Mogę zapalić? Czy pan Canning nie pochwała także tytoniu?

– Proszę bardzo. – Patrzył, jak zapalam papierosa. Podałem mu papierośnicę, ale pokręcił głową. Podszedł do biurka i usiadł plecami do niego, krzyżując ręce i nogi. – Konsekwentny z pana człowiek, Marlowe.

– Chce pan powiedzieć, że jestem jak wrzód na tyłku.

– Nie to powiedziałem. Podziwiam pańską konsekwencję.

Sączyłem drinka, paliłem i rozglądałem się po gabinecie.

– Co dokładnie pan robi, panie Hanson? – zapytałem. – Wiem, że jest pan menadżerem, ale jakie są pańskie obowiązki?

– Zdziwiłby się pan, jak rozbudowane jest zarządzanie takim klubem.

– Pan Canning zostawia panu wolną rękę?

Nieznacznie zmrużył oczy.

– Mniej więcej. Mamy, by tak rzec, porozumienie.

– Polegające na czym? – Najwyraźniej wiele otaczających mnie osób działało na zasadzie wzajemnego porozumienia.

– Pozwala mi zarządzać klubem, a ja nie zawracam mu głowy trudnościami. Chyba że... Jak to ująć? Sam nie potrafię sobie z nimi poradzić.

– Co się wtedy dzieje?

– Wtedy pan Canning bierze sprawy w swoje ręce – wyjaśnił cicho Hanson, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

Zacząłem mrugać, jakbym miał w oczach pył. Burbon działał strasznie szybko.

– Widzę, że darzy pan chlebodawcę zdrową dozą szacunku – powiedziałem.

– Pan Canning wzbudza szacunek. Tak na marginesie, jak pański drink?

– Znakomity. Smakuje ogniskami hikorowymi w jesienne popołudnia w odludnych rejonach Kentucky.

– No proszę, ma pan coś z poety, panie Marlowe.

– Swego czasu czytało się trochę Keatsa i Shelleya. – Co ja, do diabła, plotłem? Mój język zaczął jakby żyć własnym życiem. – Nie przyszedłem tu jednak rozmawiać o poezji – ciągnąłem. Czułem, że zsuwam się z kanapy, więc z trudem usiłowałem siedzieć prosto. Spojrzałem na trzymaną szklanę. Whisky drżała, kostki lodu podzwaniały delikatnie,

jakby dyskutowały na mój temat. Mrugając, rozejrzałem się po gabinecie. Słońce za oknem świeciło bardzo intensywnie; promienie przebijały drewniane żaluzje jak miecze.

– Po co pan tu przyszedł, Marlowe? – zapytał Hanson, przyglądając mi się z uwagą.

– Żeby pomówić jeszcze o Petersonie – odparłem. – To znaczy, o Nico Petersonie. – Język znów sprawiał mi kłopoty; spuchł chyba dwukrotnie i czułem, jakbym miał w ustach gorący kartofel z kłującą skórką. – By nie wspomnieć o jego siostrze. – Zmarszczyłem czoło. – Chociaż o niej wspomniałem, prawda? Ma na imię Lynn. Miała. Atrakcyjna kobieta. Ładne oczy. Ładne zielone oczy. Oczywiście pan ją zna.

– Tak?

– Pewnie, że tak. – Głoska „t” sprawiała mi problemy; raz po raz grzęzła na zębach jak splątana nić dentystyczna. – Ona tu była, tego dnia, kiedy przyszedłem się z panem spotkać. Kiedy to było? Nieważne. Spotkaliśmy ją, jak wychodziła z... jak to się nazywa, ba... bas... basenu. – Pochyliłem się w przód, by odstawić szklanę na niski stolik ze szklanym blatem, ale źle obliczyłem odległość i puściłem ją nad stolikiem. Wylądowała z głośnym brzękiem. – Wie pan co? Chyba...

Głos odmówił mi posłuszeństwa. Ponownie zacząłem zsuwać się z kanapy. Miałem wrażenie, że Hanson stoi bardzo daleko i wysoko nade mną, w dodatku faluje, jakbym znajdował się pod wodą i patrzył na niego przez rozkołysaną powierzchnię.

– Dobrze się pan czuje, Marlowe? – spytał, a jego słowa zadudniły mi w uszach. Nadal opierał się o biurko ze splecionymi rękami. Widziałem, że się uśmiecha.

Z trudem dobyłem z siebie głos.

– Co pan mi wsypał do drinka?

– Co takiego? Niewyraźnie pan mówi. Uważałem pana za człowieka z mocną głową, ale najwyraźniej się myliłem.

Wyciągnąłem rękę w szaleńczej próbie złapania Hansona, ale stał za daleko; poza tym nie sądzę, abym zdołał cokolwiek chwycić. Nagle straciłem równowagę i ciężko zwałem się na podłogę jak worek kartofli. Światło powoli zgasło.

19

Nie pierwszy raz podsunęto mi alkohol ze środkiem usypiającym i pewnie nie ostatni. Podobnie jak ze wszystkim, uczysz się właściwego postępowania, w każdym razie radzenia sobie z efektami. Na przykład gdy odzyskałem przytomność, miałem dość oleju w głowie, by nie otwierać natychmiast oczu. Po pierwsze, kiedy jesteś w takim stanie, nawet najśłabszy promień światła dziennego może chlasnąć cię po oczach niczym kwas. Po drugie, zawsze lepiej, by człowiek, który wsypał ci coś do drinka, sądził, że wciąż jesteś nieprzytomny. Dzięki temu zyskujesz czas na przemyślenie spraw, może także zaplanowanie kolejnego posunięcia, podczas gdy ciało przystosowuje się do warunków i okoliczności, w jakich się znalazło.

Na początek uzmysłowiłem sobie, że jestem związany. Siedziałem na krześle z prostym oparciem, do którego przymocowano mnie sznurem. Dłonie związane mi za plecami. Nie drgnąłem, tylko siedziałem zgarbiony, z podbródkiem na piersi i zamkniętymi oczami. Powietrze przypominało w dotyku ciepłą wełnę; zdawało mi się, że słyszę rozbrzmiewający echem łagodny plusk wody. Czyżbym siedział w łazience? Nie, pomieszczenie było znacznie większe. I zarejestrowałem woń chloru. Zatem basen.

Czułem się tak, jakby głowę wypchano mi watą, a siniak z tyłu głowy, prezent od Lópeza, znowu ożył.

Ktoś jęknął w pobliżu. Słyszalne w głosie rżenie podpowiedziało mi, że ten człowiek znajduje się w opłakanej sytuacji, może nawet

umiera. Przez chwilę sądziłem, że usłyszałem samego siebie, ale wtedy z odległości kilku metrów dobiegł głos:

– Dajcie mu wody, ocucicie go.

Nie rozpoznałem tego głosu należącego do niemłodego mężczyzny. Kimkolwiek był, mówił szorstko jak człowiek przywykły do wydawania rozkazów i do tego, że są spełniane.

Następnie rozległy się zduszone odgłosy, ochrypły kaszel i szum wody lejącej się na kamienie.

– Już prawie po nim, panie C. – usłyszałem inny głos, który chyba znałem lub wcześniej słyszałem. Ton nie był znajomy, ale akcent owszem.

– Jeszcze go nie puszczajcie – mówił ten pierwszy. – Zanim go puścimy, musi jeszcze zapłacić. – Zapadło milczenie, potem usłyszałem kroki, którym towarzyszyło ostre stukanie skórzanych podeszew o coś, co musiało być marmurową posadzką. Kroki zatrzymały się przede mną. – A co z tym? Już powinien się wybudzić.

Czyjaś dłoń chwyciła mnie za włosy z tyłu głowy i poderwała ją, aż oczy otworzyły mi się jak u lalki. Światło nie uderzyło mnie zbyt mocno, ale przez kilka sekund dostrzegałem tylko płonącą białawą mgłę, w której poruszały się niewyraźne sylwetki.

– Ten się obudził – stwierdził ten, który mówił jak starszy człowiek. – To dobrze.

Mgła zaczęła się rozstępować. Znajdowałem się na basenie. Przestronne, długie pomieszczenie wieńczyła wysoka szklana kopuła przepuszczająca promienie słońca. Ściany i posadzkę wyłożono dużymi kaflami żyłkowanego białego marmuru. Basen musiał mieć co najmniej piętnaście metrów długości. Nie mogłem dostrzec, kto stoi za mną, ciągle trzymając mnie za włosy. Przede mną, nieco z boku, stał Hanson, blady i wyglądający chorobliwie w swoim jasnoniebieskim garniturze i krawacie z dzianiny ściągniętym byczym łbem.

Obok Hansona zobaczyłem niskiego, krępego starszawego mężczyznę, łysego jak kolano, o spiczastej czaszce i gęstych czarnych brwiach, wyglądających jak namalowane. Był w brązowych butach do kolan, lśniących jak świeże kasztany, spodniach z diagonalu i czarnej koszuli z rozkładanym kołnierzykiem. Na szyi nosił wilcze zęby na rzemyku, a także indiański amulet ze sporej kości z wymalowanym na środku niebieskim skośnym okiem. W prawej dłoni dzierżył rattanową laskę, taką, jakich używają brytyjscy oficerowie. W sumie wyglądał jak zmniejszony Cecil B. DeMille połączony z emerytowanym treserem lwów.

Z przekrzywioną głową, podszedł do mnie, uderzając się lekko laseczką o udo. Oczy w łysej czaszce wpatrywały się we mnie. Nachylił się, zbliżył twarz do mojej, a jego zimne niebieskie oczy zdawały się wwiercać w moją duszę.

– Jestem Wilberforce Canning – oznajmił.

Dopiero po rozsznurowaniu języka i warg udało mi się dobyć głosu.

– Domyśliłem się tego – powiedziałem.

– Naprawdę? Brawo. – Hanson niespokojnie stał tuż obok, jakby się bał, że zdołam oswobodzić ręce i rzucić się na małego. Nikłe szanse. Oprócz tego, że sznur mocno trzymał, miałem mniej więcej tyle sił co parszywy kot. – Skąd się wzięła blizna na pańskim policzku? – zainteresował się Canning.

– Komar mnie ugryzł.

– Komary nie gryzą, tylko żądłą.

– Cóż, ten miał zęby.

Zerknąłem na basen. Błękitna woda zapraszała. Bolesnie zapragnąłem dać nura i spokojnie unosić się na chłodnej, kojącej powierzchni.

– Floyd twierdzi, że dociekliwy z pana człowiek, panie Marlowe – powiedział Canning, nie przestając się nachylać i patrzeć mi w oczy. Końcem laseczki niemal pieszczotliwie dotknął mojego policzka i blizny.

– Dociekliwość może być kłopotliwa. – Po mojej prawej stronie znowu rozległ się jęk. Próbowałem tam spojrzeć, ale Canning mocniej przycisnął mi laseczkę do policzka, nie pozwalając na obrócenie głowy.

– Skup się na tym, co mówię. Skoncentruj się na sprawie, o której rozmawiamy. Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania o Nico Petersona?

– Jakie pytania? – zapytałem. – Według mnie jest tylko jedno.

– To znaczy?

– Czy on nie żyje, czy tylko udaje.

Canning skinął głową, cofnął się, a stojący za mną człowiek w końcu puścił moje włosy. Odwróciłem głowę. Cztery metry dalej, przy prawym brzegu basenu, siedzieli Gómez i López, twarzami do wody, na krzesłach z prostymi oparciami, do których przywiązano ich cienkim, ale ściśle splecionym sznurem. Z tego, co widziałem, López już nie żył. Jego głowa była masą ran i siniaków; na hawajskiej koszuli widniała zaschnięta krew. Prawe oko zamknęła opuchlizna, lewe zaś, przekrwione, wyleciało z oczodołu i łypało dziko. Ktoś uderzył go w bok głowy na tyle mocno, że gałka oczna wypadła. Zajęcza warga pękła w kilkunastu miejscach.

Gómez także przedstawiał żaloszny widok; niebieski garnitur miał w strzępach i zbryzgany krwią. Przynajmniej jeden z Meksykanów zrobił pod siebie, więc nie pachniało pięknie. Tym, który jęczał, był Gómez. Na wpół przytomny, przerażony, jak człowiek śniący o tym, że spada z wysokiego budynku. Miałem wrażenie, że wkrótce dołączy do swego *compañero* w krainie wiecznych łowów. Człowiek zatłuczony na śmierć i drugi, będący na jak najlepszej drodze, to okropny widok, ale nie zamierzałem oplakiwać tych dwóch. Przypomniałem sobie Lynn Peterson z poderżniętym gardłem na sosnowych igłach na poboczu i Berniego Ohlsa, który mówił mi, co z nią robiono przed śmiercią.

Człowiek trzymający mnie do tej pory za włosy stanął tak, że mogłem go zobaczyć. Kamerdyner Bartlett, starszy jegomość, który podał herbatę, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Hansona w klubie. Bartlett

miał na sobie prążkowaną kamizelkę i czarne spodnie pod długim białym fartuchem, schludnie zawiązanym na plecach na kokardę. Rękawy koszuli podwinął. Nie wyglądał młodziej niż wcześniej, wciąż miał chorobliwie poszarzałą, obwisłą skórę, ale poza tym wydawał się innym człowiekiem. Jak mogłem przeoczyć jego siłę, krótkie, krzepkie ręce, beczkowatą pierś? Przypuszczałem, że mam przed sobą byłego boksera. Na fartuchu widniały plamy krwi. W prawej dłoni trzymał zgrabny klucz francuski, lśniący od częstego używania. Cóż, kamerdynerów prosi się o rozmaite usługi. Zastanawiałem się, czy zabrał klucz francuski Lópezowi, ten, którym López potraktował mnie.

– Jestem pewien, że pamięta pan tych dżentelmenów – powiedział Canning, wskazując Meksykanów. – Jak pan widzi, pan Bartlett prowadził z nimi intensywne konsultacje. Nawet lepiej, że pan głęboko spał, ponieważ rozmowa była hałaśliwa i momentami przykro się na nią patrzyło. – Zwrócił się do Bartletta: – Zabierz ich stąd, Clarence, dobrze? Floyd ci pomoże.

Przerażony Hanson otworzył szeroko oczy, ale został zignorowany.

– Się robi, panie Canning – rzucił Bartlett i energicznie zwrócił się do Hansona: – Wezmę tego dżentelmena, ty złap drugiego.

Kamerdyner podszedł od tyłu do krzesła Gómeza, przechylił je i zaczął ciągnąć na dwóch nogach w kierunku drzwi po przeciwnej stronie basenu, tych, z których wyszła Lynn Peterson w turbanie z ręcznika na głowie. Z wyrazem głębokiego niesmaku Hanson ujął krzesło z Lópezem, przechylił i ruszył za Bartлетtem. Nogi krzesła zgrzytały po marmurze jak paznokcie przeciągane po tablicy. Głowa López'a opadła na bok, gałka oczna dyndała.

Canning ponownie odwrócił się do mnie i lekko trzepnął się laseczką po udzie.

– Nie byli zbyt pomocni – powiedział i skinął głową w kierunku oddalających się Meksykanów.

– W jakiej kwestii? – spytałem. Nagle rozpaczliwie zapragnąłem zapalić. Zastanawiałem się, czy skończę jak Meksykanie, zbity na miazgę i wywleczony stąd na cholernym krześle. Co za parszywa, niegodna śmierć.

Canning pokręcił łysym czerepem.

– Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się zbyt wiele z nich wydobyć – przyznał.

– To musiała być dla nich ulga.

– Nie chodziło mi o przynoszenie im ulgi.

– No tak, widzę.

– Pan im współczuje, Marlowe? To były tylko zwierzęta. Nawet nie zwierzęta, bo one nie zabijają dla przyjemności.

Zaczął chodzić przede mną, trzy kroczki w jedną stronę, trzy w drugą, stukając obcasami po posadzce. Właściciel klubu był jednym z tych nakręconych, niespokojnych facecików, a teraz wyglądał na mocno pobudzonego. W ustach poczułem znajomy metaliczny smak, jakbym ssał monetę. To był smak lęku.

– Sądzi pan, że mógłbym zapalić? – spytałem. – Obiecuję nie przepalić papierosem sznura ani nic takiego.

– Nie palę – odparł Canning. – Ohydny nałóg.

– Ma pan rację.

– Ma pan papierosy? Gdzie są?

Podbródkiem wskazałem kieszeń na piersi marynarki.

– Tutaj. Razem z zapalkami.

Sięgnął do mojej kieszeni i wyjął papierośnicę z monogramem i zapalki, które zabrałem z Barney's Beanery, choć zupełnie o tym zapomniałem. Wyjąwszy papierosa, wsunął mi w usta, zapalił zapalkę i przytknął płomyk do końca papierosa. Głęboko wciągnąłem do płuc gorący dym.

Canning wrzucił papierośnicę z powrotem do mojej kieszeni i znowu zaczął chodzić.

– Rasy latynoskie – rzucił. – Niewiele mam dla nich szacunku. Śpiewy, walki byków, kłótnie o kobiety, mniej więcej na tyle ich stać. Zgodzi się pan?

– Panie Canning – przesunąłem papierosa do kącika ust – moje położenie nie predestynuje mnie do tego, bym nie zgadzał się z panem w jakiegokolwiek sprawie.

– To prawda. – Zaśmiał się piskliwie, nie zwalniając kroku. Najwyraźniej musiał wciąż się poruszać, niczym rekin. Zastanawiałem się, na czym zbił majątek. Pewnie na ropie, a może na wodzie, która była niemal równie cenna w tej suchej dolinie, w której pierwsi osadnicy postanowili założyć Los Angeles. – Moim zdaniem istnieją tylko dwie rasy zasługujące na uwagę – ciągnął Canning. – Właściwie nie rasy, ale okazy ludzkie. Wie pan jakie? – Pokręciłem głową, ale natychmiast tego pożałowałem; tak zabolalo. Popiół z papierosa bezgłośnie spadł mi na koszulę, a stamtąd na kolana. – Amerykański Indianin i angielski dżentelmen. – Łypnął na mnie wesoło. – Uważa pan, że to osobliwe zestawienie?

– Och, sam nie wiem – odparłem. – Potrafię dostrzec wspólne cechy.

– Na przykład? – Canning przestał chodzić i spojrzał na mnie, unosząc gęstą czarną brew.

– Przywiązanie do ziemi? – podsunąłem. – Umiłowanie tradycji? Entuzjazm dla polowań...?

– Zgadza się, ma pan rację.

– Jak również skłonność do wyrzynania wszystkich, którzy wejdą im w drogę.

Canning pokręcił głową i pogroził mi palcem.

– Teraz jest pan niegrzeczny, panie Marlowe, a ja nie lubię niegrzecznego zachowania, tak jak nie lubię wścibstwa. – Podjął swoją wędrówkę i raz po raz zawracał.

Nie odrywałem wzroku od laseczki. Uderzenia po twarzy czymś takim nie zapomniałbym szybko.

– Czasami zabijanie jest niezbędne, czy raczej: eliminacja – ciągnął, pochmurniejąc. – Pewni ludzie nie zasługują na to, żeby żyć... To prosty fakt. – Podeszedł i kucnął obok krzesła, do którego mnie przywiązano. Zrobiło mi się nieswojo, bo poczułem, że pragnie coś wyznać. – Znał pan Lynn Peterson, prawda?

– Nie znałem jej, ale ją spotkałem.

– Był pan ostatnim człowiekiem, który widział ją żywą. – Skinieniem głowy zbył moje sprostowanie. – Nie licząc... – Wskazał głową drzwi. – Tych dwóch śmieci.

– Chyba tak – przyznałem. – Polubiłem ją. To znaczy, podobało mi się w niej to, co zdążyłem dostrzec.

– Naprawdę? – Zerknął na mnie z ukosa. Na lewej skroni pulsował mu mięsień.

– Tak. Wyglądała na przyzwoitą osobę.

Canning przytaknął z roztargnieniem, a w jego oczach pojawiło się dziwne napięcie.

– Lynn była moją córką – powiedział.

Nie od razu dotarły do mnie jego słowa. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć, więc milczałem, a Canning wciąż mi się przyglądał. Na jego twarzy na krótką chwilę odmalował się głęboki smutek. Wstał, podeszedł do brzegu basenu i stał tam, plecami do mnie, wpatrzony w wodę. W końcu się odwrócił.

– Niech pan nie udaje, że nie jest pan zdziwiony, Marlowe.

– Nie udaję – odparłem. – Jestem zdziwiony. Nie wiem, co panu powiedzieć.

Wcześniej wypaliłem papierosa do końca. Canning podeszedł, z odrazą wyjął mi z ust niedopałek; trzymając go palcem i kciukiem jak martwego karalucha, zaniósł do stołu i wrzucił do popielniczki. Potem wrócił do mnie.

– Jak to się stało, że pańska córka nosiła nazwisko Peterson? – spytałem.

– Przyjęła nazwisko po matce, któż wie dlaczego. Moja żona nie była podziwu godną kobietą, panie Marlowe. Po części była Meksykanką, więc może należało się tego spodziewać. Wyszła za mnie dla pieniędzy, a kiedy wydała ich dość, czy raczej położyłem kres wydawaniu, uciekła z człowiekiem, który okazał się oszustem. Wiem, mało budująca historia. Nie szczycę się tym rozdziałem życia. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko, że byłem młody i, jak sądzę, zauroczony. – Nagle odsłonił zęby w uśmiechu. – A może tak mówią wszyscy rogakze?

– Nie mam pojęcia.

– Wobec tego szczęściarz z pana.

– Są różne rodzaje szczęścia, panie Canning. – Spojrzałem na pętające mnie sznury. – Moje chyba chwilowo mi nie dopisuje.

Umysł znów mi się zaćmił, prawdopodobnie z powodu złego krążenia związanego z uciskiem sznura. Mimo to siły wracały. Wyraźnie je czułem, chyba że był to efekt nikotyny. Zastanawiałem się, jak długo to wszystko jeszcze potrwa, a także, jak się skończy. Przypomniało mi się wyłupione oko Lópeza i krew na jego koszuli. Wilber Canning zgrywał łagodnego starszego pana, ale wiedziałem, że nie ma w nim za grosz łagodności, może z wyjątkiem stosunku do zmarłej córki.

– Skoro Lynn była pana córką, to czy mogę wnosić, że Nico jest pańskim synem? – spytałem.

– Owszem, oboje byli moimi dziećmi – odpowiedział, nie patrząc na mnie.

– Wobec tego, przykro mi. Nie spotkałem pańskiego syna, ale, jak już mówiłem, Lynn wydawała się w porządku. Dlaczego nie przyszedł pan na pogrzeb?

– Łajdaczyła się. – Canning wzruszył ramionami. – A Nico był na przemian żigolakiem i kimś jeszcze gorszym. Oboje mieli sporo z matki. – Wreszcie na mnie spojrzał. – Szokuje pana mój stosunek do syna i córki, chociaż straciłem ich oboje, panie Marlowe?

– Trudno mnie zszokować.

Canning nie słuchał. Znowu zaczął chodzić, a od patrzenia na niego zakręciło mi się w głowie.

– Nie mogę narzekać – mówił. – Nie byłem idealnym ojcem. Znarowili się i uciekli. Nie próbowałem ich szukać. Potem było z późno, żeby cokolwiek naprawić. Lynn mnie nienawidziła. Nico pewnie też, ale potrzebował ode mnie pewnych rzeczy.

– Jakich? – spytałem, ale nie raczył odpowiedzieć. – Może nie był pan taki zły, jak pan myśli. Ojcowie często oceniają się zbyt surowo.

– Ma pan dzieci, Marlowe? – Pokręciłem głową i znów poczułem, jakby w mojej czaszce zagrzechotały duże drewniane kostki do gry. – Wobec tego nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi – stwierdził z ogromnym smutkiem.

Chociaż dzień musiał mieć się ku końcowi, upał w przestronnym, wysokim pomieszczeniu nasilał się jak w sierpniowe popołudnie w Savannah. Wilgoć w powietrzu zdawała się zacieśniać sznury na mojej piersi i nadgarstkach. Zacząłem wątpić, czy kiedykolwiek odzyskam czucie w ramionach.

– Niech pan posłucha, Canning – odezwałem się. – Albo niech mi pan powie, czego pan ode mnie chce, albo niech mnie pan wypuści. W nosie mam Meksykanów; zasłużyli na wszystko, co im zrobił pański Jeeves. W ich przypadku surowa sprawiedliwość to jednak sprawiedliwość. Ale nie ma pan powodu, żeby trzymać mnie tu spętanego. Nie zrobiłem nic ani panu, ani pana synowi czy córce. Jestem tylko detektywem próbującym zarabiać na życie, zresztą z marnym skutkiem.

Moje słowa przynajmniej sprawiły, że Canning przestał chodzić, co przyjąłem z ulgą. Podeszedł i stanął przede mną, ujął się pod boki, a laseczkę wsunął pod ramię.

– Rzecz w tym, Marlowe, że wiem, dla kogo pan pracuje – powiedział.

– Naprawdę?

– Niechże pan da spokój. Za kogo pan mnie bierze?

– Nie biorę pana za nikogo, panie Canning, jednak szczerze wątpię, czy zna pan tożsamość mojego klienta.

Pochylił się i wysunął amulet, który nosił na szyi.

– Wie pan, co to jest? To oko boga Cahuilla. Cahuilla to bardzo ciekawe plemię. Potrafią wróżyć, co zostało naukowo potwierdzone. Nie ma sensu ich okłamywać, potrafią przejrzeć człowieka na wylot. Miałem zaszczyt zostać przez nich przyjęty na honorowego wojownika. Częścią ceremonii było wręczenie mi tego amuletu, oka widzącego wszystko. Dlatego niech pan mnie nie okłamuje ani nie próbuje zwieść, zgrywając niewiniątko. Niech pan mówi.

– Nie wiem, co pan chce usłyszeć.

Pokręcił ze smutkiem głową.

– Mój Jeeves, jak pan go nazwał, wkrótce wróci. Widział pan, co zrobił z Meksykanami. Nie chciałbym być zmuszony do wydania mu polecenia, żeby zrobił to samo z panem. Pomimo okoliczności darzę pana pewną dozą szacunku. Lubię ludzi, którzy potrafią zachować zimną krew.

– Problem polega na tym, panie Canning, że nie wiem, czego pan ode mnie chce.

– Nie?

– Naprawdę nie wiem. Zatrudniono mnie, abym odszukał Nico Petersona. Mój klient sądził, podobnie jak wszyscy, że Nico nie żyje, ale potem zobaczył go na ulicy, więc zwrócił się do mnie i poprosił, żebym go odnalazł. To sprawa osobista.

– Gdzie ten pański klient, jak pan go nazywa, jakoby widział Nico?

„On”. Czyli Canning jednak nie wiedział, co przyjąłem z ulgą. Nie chciałem myśleć o Clare Cavendish przy basenie, przywiązanej do krzesła, z tym krwiożerczym szaleńcem chodzącym przed nią tam i z powrotem.

– W San Francisco – odparłem.

– Czyli on jest tutaj, tak?

– Kto?

– Wie pan kto. Co on robił w San Francisco? Szukał mojego syna? Dlaczego przypuszczał, że Nico żyje?

– Panie Canning – odezwałem się możliwie najłagodniejszym i najbardziej cierpliwym tonem. – Nie rozumiem, co pan mówi. Wszystko pan pokręcił. Ktoś przypadkiem zobaczył Nico, jeśli to był Nico.

Canning znów stał przede mną podparty pod boki. Długo przyglądał mi się w milczeniu.

– A pan jak sądzi? – rzucił w końcu. – Czy to był Nico?

– Nie wiem. Nie umiem powiedzieć.

– Floyd mówił, że wspominał pan o Lou Hendricksie. Dlaczego?

– Hendricks zatrzymał mnie na ulicy i zabrał na przejażdżkę swoim eleganckim samochodem.

– No i?

– On szuka pańskiego syna. Nico cieszy się popularnością.

– Ten Hendricks uważa, że Nico żyje?

– Chyba niewiele wiedział. Podobnie jak pan, słyszał, że za nim węsę. – Nie wspomniałem o walizce, o której, niestety, powiedziałem Hendricksowi. – Jemu też nic nie mogłem powiedzieć.

– Dobrze, Marlowe. – Canning westchnął. – Jak pan chce.

Drzwi po drugiej stronie basenu znowu się otworzyły jak na zawołanie i weszli Bartlett z Floydem Hansonem. Ten drugi wyglądał na ciężko udręczonego. Ładny lniany garnitur i białe spodnie, wcześniej nieskazitelnie czyste, miał poplamione krwią. Pozbycie się dwóch zmasakrowanych ciał – zakładałem, że drugi Meksykanin wyzionął ducha, zanim dotarł na miejsce przeznaczenia – odbija się bardzo niekorzystnie na ubiorze, zwłaszcza jeśli ktoś jest takim elegantem jak Floyd Hanson. Najwyraźniej nie przywykł do widoku juchy, w każdym razie nie w ilościach wyciekających z obu Meksykanów. Ale czy nie

mówił mi, że walczył w Ardenach? Powinienem być to przyjąć z przymrużeniem oka.

– Wszystko załatwione, panie Canning – oznajmił Bartlett z londyńskim akcentem, podchodząc.

– Dwóch z głowy – stwierdził Canning. – Pozostał jeszcze jeden. Obecny tu pan Marlowe nie jest zbyt skory do współpracy. Może porządna kąpiel przejaśni mu w głowie. Floyd, pomóż panu Bartlettowi, dobrze?

Bartlett znowu stanął za moimi plecami i zaczął rozwiązywać sznury. Kiedy mnie uwolnił, musiał mi pomóc wstać, ponieważ nogi całkiem mi zdrętwiały. Zgiąłem oswobodzone ręce, aby pobudzić krążenie krwi. Bartlett zaprowadził mnie na brzeg basenu, położył mi rękę na ramieniu i zmusił do klęknienia na marmurowej posadzce. Lustro wody znajdowało się zaledwie parę centymetrów poniżej krawędzi. Bartlett trzymał mnie za jedną rękę, Hanson podszedł i ujął drugą. Sądziłem, że wrzucą mnie do basenu, ale wykręcili mi ręce do tyłu, Bartlett znów chwycił mnie za włosy i wepchnął mi głowę do wody. Nie zdążyłem zaczerpnąć dość powietrza, dlatego szybko ogarnęła mnie panika tonącego. Usiłowałem przekręcić głowę w bok i zaczerpnąć tchu, ale Bartlett miał dłonie silne jak szczęki pitbula i nie mogłem się ruszyć. Po chwili poczułem się tak, jakby płuca miały mi eksplodować. W końcu unieśli mnie do pionu, a woda pociekła mi za kołnierz. Canning podszedł, pochylił się z dłońmi na kolanach i zbliżył twarz do mojej.

– Czy jest pan już gotów powiedzieć nam, co pan wie?

– Popełnia pan błąd, Canning – wydyszałem. – Ja nic nie wiem.

Westchnął, skinął głową Bartlettowi i ponownie znalazłem się pod wodą. Zabawne, jakie rzeczy zauważa się nawet w najbardziej rozpaczliwej sytuacji. W dole, na jasnoniebieskim dnie basenu, dostrzegłem małą złotą obrączkę, która musiała się zsunąć z palca pływaczki, a ta nie zwróciła na to uwagi. Tym razem zachowałem dość przytomności, by zaczerpnąć powietrza, ale nie zrobiło to wielkiej

różnicy i po mniej więcej minucie znowu tonąłem. Nie spędzałem wiele czasu w wodzie, a już z pewnością nie nauczyłem się wstrzymywać oddechu jak mistrzowie pływacy. Zastanawiałem się, czy ta obręczka miała być ostatnią rzeczą, jaką dane mi będzie widzieć. Potrafiłem sobie wyobrazić gorszy widok towarzyszący ostatniemu tchnieniu.

Bartlett poczuł, kiedy ogarnęła mnie panika, aż byłem bliski otwarcia ust i wpuszczenia wody do płuc. Jeszcze nie chciał, żebym umierał. Pospołu z Hansonem znowu mnie wyciągnęli. Canning pochylił się i spojrzał mi w oczy.

– Jesteś gotów mówić, Marlowe? Znasz powiedzenie: do trzech razy sztuka? Chyba nie chcesz dołączyć do tych dwóch Meksykańców na wysypisku, co?

Milczałem ze zwieszoną głową. Hanson stał po prawej, wykręcając mi rękę za plecami. Dostrzegałem jego wytworne mokasyny i mankiety białych lnianych spodni. Bartlett stał po drugiej stronie, wykręcając mi lewą rękę i wciąż trzymając mnie za tył głowy prawą dłońią. Podejrzewałem, że tym razem mnie utopia. Musiałem coś zrobić. Wołałem zginąć pobity na śmierć, niż utonąć. Ale co mogłem począć?

Nigdy nie umiałem dobrze się bić, a po czterdziestce traci się formę. Owszem, zdarzało mi się uczestniczyć w bójkach, nawet wielu, ale tylko wtedy, gdy zostałem zmuszony. Obrona własna bardzo się różni od napaści. Jednego się nauczyłem, mianowicie tego, jak ważne jest poczucie równowagi. Nawet najtrudniejszego przeciwnika – a Bartlett, pomimo wieku i niskiego wzrostu, należał do najtrudniejszych – można zwalić z nóg, jeśli rzucisz się na niego we właściwym momencie, gdy będzie stał w odpowiedniej pozycji. Przygotowując się do ponownego wepchnięcia mnie do wody, Bartlett koncentrował siłę w prawej dłoni, tej, którą trzymał mnie za głowę, i na chwilę rozluźnił uchwyt na mojej ręce. Pchając mnie w stronę basenu, musiał unieść się na palcach. Wyrwałem rękę, zgiąłem w łokciu i grzmotnąłem go w żebra. Stary jęknął cicho i puścił moją głowę. Hanson nadal trzymał mnie za prawą

rękę, ale nie wkładał w to serca, odsunąłem się więc, on zaś cofnął się w obawie, że zrobię mu to, co Bartlettowi.

Canning krzyknął coś za moimi plecami. Nie wiem co. Uwagę skupiałem na Bartlecie. Wstając z kolan, zamachnąłem się lewą pięścią, trafiłem go w bok szyi; znów jęknął, zrobił rękami wiatrak, co byłoby śmieszne na filmie, po czym runął w tył, głową do wody. Rozległ się zdumiewający plusk, potężny przezroczysty lej wody uniósł się i dziwnie wolno opadł; mój mózg musiał być nadal otępiony narkotykiem.

Odwróciłem się. Wszystko trwało zaledwie parę sekund. Dobrze wiedziałem, że nie mam nawet tyle czasu, zanim Canning z Hansonem oprzytomnieją i rzucą się na mnie. Nie musieli jednak tego robić. W dłoni Hansona ujrzałem duży czarny pistolet z długą lufą, przypuszczalnie webleya. Skąd się wziął? Pewnie należał do Canninga, który chętnie wybrałby broń brytyjskiej roboty, pasującą do przedstawiciela wyższej rasy: angielskiego dżentelmena.

– Nie ruszaj się – nakazał Hanson, jak wszystkie czarne charaktery na niezliczonych filmach klasy B.

Uważnie mu się przyglądałem. Nie miał oczu zabójcy. Zrobiłem krok w przód. Lufa pistoletu zadrżała.

– Zastrzel go! – wrzasnął Canning. – Dalej, pociągnij za ten cholerny spust! – Z pewnością umiał krzyczeć, ale nie ruszył się z miejsca.

– Nie zastrzelisz mnie, Hanson – powiedziałem. – Obaj to wiemy.

Widziałem pot perlący się na czole i nad górną wargą menadżera klubu. Fakt, że nie możesz kogoś zastrzelić, nie czyni z ciebie tchórza. Zabijanie nigdy nie jest łatwe. Kątem oka dostrzegłem, jak Bartlett gramoli się z wody. Zrobiłem kolejny krok. Pistolet celował w mój splot słoneczny. Chwyciłem lufę i szarpnąłem w bok. Może Hanson był zbyt zaskoczony, by stawiać opór, a może pragnął, by ktoś uwolnił go od broni, w każdym razie puścił pistolet i cofnął się, wyciągając do mnie ręce, jakby osłaniał się przed kulą. Pistolet, ciężki jak kowadło,

musiałem trzymać oburącz. Nie był to webley i nie był brytyjskiej roboty. Niemiecki weihrauch, kalibru .38. Paskudny gnat, ale bardzo skuteczny.

Odwróciłem się i strzeliłem Bartlettowi w prawe kolano. Nie wiem, czy w nie właśnie celowałem, ale w to właśnie trafiłem. Stary zamiauczał dziwnie, runął na bok i zaczął się wić na posadzce. Na nogawce spodni rozlewała się spora plama krwi. Za sobą usłyszałem odgłos. Szybko się usunąłem, a Canning przeleciał obok, przeklinając, z rękami bezradnie chwytającymi powietrze. Zatrzymał się, obrócił i najwyraźniej szykował się do kolejnego ataku. Przyszło mi na myśl, żeby do niego też strzelić, ale tego nie zrobiłem.

– Nie chcę cię zabijać, Canning, ale zrobię to, jeśli będę musiał – zagroziłem i machnąłem spluwą na Hansona. – Stań tu, Floyd – rozkazałem.

Hanson posłusznie podszedł do szefa.

– Ty cholerny maminsynku! – syknął do niego Canning.

Wtedy się roześmiałem. Nie sądziłem, że kiedykolwiek usłyszę, jak ktoś wymawia słowo „maminsynek”. Nie przestawałem się śmiać; chyba byłem w szoku. Zresztą, wydarzenia ostatnich trzydziestu sekund, oglądane z pewnej perspektywy, mogły się wydać komiczne i groteskowe jak gagi Chaplina.

Bartlett ścisnął kurczowo nogę tuż pod zmiążdżonym kolaniem, a drugą zataczał kręgi na posadzce jak rowerzysta w zwolnionym tempie. Nie przestawał przy tym miauczeć. Choćbyś był nie wiem jak twardy, zmiążdżona rzepka kolanowa cholernie boli. Pomyślałem, że nieprędko wróci do podawania popołudniowej herbaty.

Moje ręce, wciąż zdrętwiałe, bolały od utrzymywania szkopskiej armaty mniej więcej poziomo. Canning obserwował mnie z nieskrywaną pogardą.

– I co pan teraz robi, Marlowe? – spytał. – Chyba jednak będzie pan musiał mnie zabić. Nie mówiąc o moim oddanym kamerdynerze. –

Hanson zerknął na niego nienawistnie.

– Do basenu – rozkazałem, a oni otworzyli szeroko oczy. – Dalej! – Wskazałem pistoletem. – Obaj do wody.

– Ja... ja nie umiem pływać – wykrztusił Hanson.

– To masz szansę się nauczyć – powiedziałem i z moich ust znowu dobył się śmiech czy raczej chichot. Nie byłem sobą.

Hanson z trudem przełknął ślinę i zaczął zzuwać lśniące buciki.

– Nie – rzuciłem. – Zostaw je. Niczego nie zdejmujcie.

Canning nie przestawał piorunować mnie wzrokiem. W małych szalonych oczkach płonęła wściekłość, ale także swego rodzaju rozmarzenie. Pewnie z czułością wyobrażał sobie, co każe ze mną zrobić Bartlettowi, a raczej jego następcy, gdy nadarzy się okazja.

– Dalej, Canning, do wody. Chyba że chcesz, żebym zrobił ci to samo, co temu tu miłemu staremu Jeevesowi. Przy okazji wyrzucić tę laseczkę.

Cisnął ją na marmur, jak dziecko wyrzucające zabawkę, którą kazano mu oddać. Potem odwrócił się i ruszył w kierunku płytkiej strony basenu. Wcześniej nie zauważyłem, jakie krzywe ma nogi. Zaciskał pięści przy biodrach. Tacy goście nie bardzo potrafią się zachować, gdy nagle to im wydaje się rozkazy i nie mogą się przeciwstawić.

Hanson spojrzał na mnie błagalnie i zaczął coś mówić. Aby go uciszyć, machnąłem mu lufą przed twarzą; miałem dość jego głosu, wcześniej opanowanego i kostycznego, teraz piskliwego.

– Właż, Floyd, woda jest cudowna – powiedziałem. Żałośnie skinął głową, odwrócił się i ruszył w ślad za Canningiem. – Grzeczny chłopiec.

Gdy Canning dotarł do przeciwległego brzegu basenu, odwrócił się i spojrzał na mnie nad wodą. Niemal słyszałem, jak pyta siebie, czy zdołałby jednak rzucić się na mnie.

– Stąd też mogę cię zastrzelić! – zawołałem, a mój głos rozniósł się wodnistym echem pod szklaną kopułą. Po chwili wahania Canning zaczął schodzić po białych stopniach prowadzących pod wodę. – Nie

zatrzymuj się. Wejdz na sam środek – nakazałem. Tymczasem Floyd Hanson dotarł do brzegu basenu, przełamał opór i ostrożnie wkroczył do wody. – Idź tak długo, aż będzie ci sięgała do brody – poleciłem. – Wtedy możesz się zatrzymać. Nie chcemy, żebyś utonął.

Canning brodził w moim kierunku, aż woda sięgnęła mu do piersi; potem popłynął żabką na środek basenu, zatrzymał się i zaczął się unosić, poruszając rękami i nogami. Hanson również wszedł, ale przystanął, kiedy woda sięgała mu do ramion.

– Dalej, Floyd! – zawołałem. – Mówiłem: do brody. – W udręce zrobił jeszcze jeden krok. Nawet z oddali dostrzegalem panikę w jego oczach. Przynajmniej nie twierdził, że służył w marynarce. – Dobrze, zatrzymaj się – rzuciłem. – Pozbawiona ciała głowa Hansona wyglądała, jakby w cudowny sposób unosiła się na wodzie. Przyszedł mi na myśl Jan Chrzciciel.

W życiu bywają chwile, o których wiesz, że nigdy ich nie zapomnisz, że na zawsze utrwala się ostro, w najdrobniejszych szczegółach przypominających halucynację.

– Dobrze – oznajmiłem. – Teraz wyjdę tymi drzwiami i odczekam pewien czas. Nie będziecie wiedzieli, jak długo, a jeśli usłyszę, że jeden z was wychodzi z basenu, wrócę i go zastrzelę. Rozumiecie? – Wycelowalem pistolet w Canninga. – Rozumiesz, stary?

– Sądzisz, że ci się to upiecze? – zapytał. – Choćbyś nie wiem dokąd uciekł, wytropię cię.

– Przez pewien czas nie będzie pan się zajmował tropieniem, panie Canning – odparłem. – Na pewno nie wtedy, gdy będzie pan siedział w pudle, nosił garniturek w paski i sam ścielił sobie łóżko.

– Idź do diabła, Marlowe! – Już teraz ciężko oddychał, zmęczony utrzymywaniem się na wodzie. Gdyby musiał zostać w basenie dłużej, mógłby utonąć, ale mało mnie to obchodziło.

Po przejściu przez próg oczywiście nie zwlekałem. Canning zresztą pewnie nie wierzył, że będę nasłuchiwał. Postanowiłem nie ryzykować

wychodzenia z klubu frontowymi drzwiami – recepcjonistka mogłaby wcisnąć guzik i wezwać całą bandę osiłków – rozejrzałem się więc za bocznym wyjściem. Natychmiast jedno znalazłem, w dodatku dobrze mi znane. Po otwarciu kilkorga drzwi przebiegłem parę pomieszczeń, skręciłem w znajomy korytarz, pchnąłem kolejne – sądziłem, że wybrane losowo – drzwi i oto znalazłem się w salonie z krzesłami obitymi perkalem oraz kominkiem wysokości człowieka. Podczas mojej pierwszej wizyty w klubie właśnie tu przyprowadził mnie Hanson po spacerze, a Bartlett, w roli szacownego lokaja, podał herbatę. Przeszedłem przez salon, otworzyłem przeszklone drzwi, wreszcie wyszedłem na słońce i delikatną woń drzewek pomarańczowych.

Panowie z łoży masońskiej nadal przewalali się po ogrodzie. Połowa z nich zdążyła się upić, druga połowa była na jak najlepszej drodze. Fezy mieli przekrzywione, mówili głośniej. Wciąż oszołomiony narkotykiem, przez chwilę miałem wrażenie, że znalazłem się w baśni o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach. Ruszyłem ścieżką pod przesadnie pyszną zwisającą bugenwillą.

Zmierzałem do miejsca, gdzie, jak mi się mgliście wydawało, zaparkowałem swój samochód, ale na zakręcie ścieżki drogę zastąpił mi rudy mężczyzna o czerwonej twarzy, w nieco przekrzywionym fezie, przypominający rozmiarami dużą lodówkę. Miał na sobie seledynową koszulę, ciemnoczerwone szorty, a w wielkiej różowej łapie ścisnął wysoką szklanę. Spojrzawszy na mnie z szerokim, radosnym uśmiechem, skrzywił się z dezaprobatą i wskazał moją głowę.

– Masz odkrytą głowę – stwierdził. – Nie wolno. Gdzie twój fez?

– Małpa mi go ukradła i uciekła w las – odparłem.

Grubas roześmiał się serdecznie, aż brzuszysko zatrzęsło się pod oślepiająco jaskrawą koszulą. Zdałem sobie sprawę, że wciąż trzymam weihbraucha; teraz gruby go zauważył.

– No, no – powiedział. – Ale masz śliczną pukawkę. Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Rozdają je w klubie – wyjaśniłem. – Menadżer zdefraudował klubowy majątek, więc organizują za nim pościg. Jak się pospieszysz, możesz dołączyć.

Gruby spojrzał na mnie z rozdziawionymi ustami, potem chytry uśmiech zajaśniał na lśniącej twarzy, która fakturą i kolorem przypominała szynkę.

– Nabierasz mnie, bracie! Prawda? Wiem, że mnie nabierasz.

– Masz rację – potwierdziłem i zważyłem spluwę w dłoni. – To jest tylko model prawdziwej broni. Wielki wódz, niejaki Canning, zbiera takie modele. Powinieneś go poprosić, żeby pokazał ci zbrojownię. To naprawdę niecodzienny widok.

Grubas odchylił głowę i spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– Może to zrobię. Gdzie go znajdę?

– Jest w basenie – odparłem.

– Gdzie?

– W basenie. Chłodzi się. Idź tamtędy... – Wskazałem za siebie kciukiem – to go znajdziesz. Bardzo się ucieszy na twój widok.

– Cóż, dziękuję, bracie. To bardzo miłe z twojej strony.

Radośnie poczłapał w stronę klubu.

Kiedy grubas zniknął za zakrętem, powiodłem wokół siebie chyba nieco szalonym wzrokiem. Zastanawiałem się, co zrobić z bronią. Po licznych zniewagach, jakimi obsypywano mnie w ciągu ostatnich dni i godzin, mój mózg nie pracował najlepiej. Właśnie stałem przy wysokim murze obficie obwieszonym oficjalnym kwiatem San Clemente, więc po prostu cisnąłem pistolet jak najdalej od siebie. Usłyszałem, jak uderza o mur i z cichym łoskotem spada w piach u jego podstawy. Później ludzie Berniego Ohlsa szukali go przez dwa dni.

Słońce oczywiście prażyło samochód; w środku było jak w piecu parowym, ale miałem to gdzieś. Gdyby kierownica przepaliła mi dłonie do kości, ledwo bym poczuł. Ruszyłem w kierunku bramy. Na jednym z zakrętów dostałem takich zawrotów głowy, że o mały włos nie

wjechałem w drzewo. Dozorca Marvin wyszczerzył się na mój widok jak gargulec, ale bez oporów podniósł szlaban. Przy pierwszym automacie telefonicznym zatrzymałem się i zadzwoniłem do Berniego. Głos odmawiał mi posłuszeństwa, więc początkowo nie zrozumiał, co mówię. Potem jednak zrozumiał.

20

Później nastąpił dość monotony okres, albo tak mi się wydawało po wcześniejszych barwnych i ekscytujących wydarzeniach. Bernie i jego ludzie zrobili nalot na klub Cahuilla, gdzie przy basenie znaleźli Bartletta, nieprzytomnego w wyniku utraty krwi. Zastępcy szeryfa z pewnym trudem przeciskali się przez tłum pijanych masonów. Floyda Hansona przyskrzynili w jego mieszkaniu w Bay City, gdzie pakował rzeczy. Bernie twierdził, że Hanson pewnie zdążyłby czmychnąć, gdyby nie próbował zabrać tylu skarbów.

– Kurczę, żałuj, że nie widziałeś jego mieszkania – powiedział Bernie. – Wielkie oprawione zdjęcia kulturystów na ścianach, w szafie fioletowe jedwabne szlafroki. – Pomachał luźną dłonią i cicho gwizdnął. – Uuu!

Oczywiście chciałem się dowiedzieć o losie Canninga. Dlaczego nie zdziwiło mnie, że – w przeciwieństwie do Hansona – właściciel klubu zdołał zbiec? Wieczorem Bernie ruszył na czele grupy uderzeniowej do domu Canninga w Hancock Park, ale ptaszek zdążył wyfrunąć. Służący nie wiedzieli, dokąd się udał; powiedzieli tylko, że zjawił się w wielkim pośpiechu, wyglądał, jakby złapała go ulewa, kazał spakować dużą torbę i natychmiast zawieźć się na lotnisko. Biuro szeryfa zajęło się przeczesywaniem list odlatujących pasażerów, a ludzie Berniego pojechali na lotnisko i pokazali zdjęcie Canninga obsłudze naziemnej. Jedna z dziewczyn z odprawy rozpoznała go, ale powiedziała, że podał inne nazwisko. Niestety, nie pamiętała jakie. Poleciał bezpośrednio do Toronto, gdzie miał się przesiąść na samolot do Londynu, ale

dziewczyna nie pamiętała, co figurowało na bilecie jako punkt docelowy. Bernie zadzwonił do biura i polecił swoim ludziom koncentrować się na pasażerze nocnego lotu liniami Air Canada do Toronto.

Postanowiliśmy obaj wyskoczyć na drinka. Zaproponowałem Victora, więc Bernie nas tam zawiózł. Zamówiłem dla nas po gimlecie. Victor jest jedynym znanym mi barem, gdzie potrafią przyrządzić gimlet, jak należy: jedna część dżinu, jedna część skoncentrowanego soku z limonki, do tego potłuczony lód. W innych miejscach dodają cukru, angostury i tym podobnych rzeczy, ale to błąd. Bar Victora pokazał mi Terry Lennox i czasem tam wpadam, żeby wypić za dawną przyjaźń. Bernie wiedział o Terrym, ale nie to co ja.

Spytałem o Floyda Hansona, na co odparł, że zabrali go na komendę, gdzie chłopcy niezwłocznie zajęli się nim w pokoju na tyłach. Nie musieli się specjalnie męczyć. Na pytanie, skąd wzięła się krew na basenie, Hanson wyśpiewał wszystko o Meksykanach i o tym, jak Bartlett, na rozkaz Canninga, wyciągał z nich informacje za pomocą tortur, a potem ich wykończył. Hanson zaproponował nawet policjantom, że zabierze ich do klubu Cahuilla i pokaże dół z wapnem w głębi ogrodu, gdzie Bartlett i on wrzucili ciała.

– Wygląda na to, że ziemia jest tam bardzo kwaśna – powiedział Bernie.

– I stąd wapno? To wygodne mieć pod ręką cały dół, na wypadek gdybyś chciał się pozbyć paru sztywnych.

Nie skomentował mojej uwagi.

– Dobry ten drink, odświeżający – pochwalił, upił łyk i mlasnął. – Chociaż miał szeroko otwarte oczy, wcale na mnie nie patrzył. Bernie potrafi wyglądać tak, jakby na nic nie patrzył. – Mogę się domyślić, co za informacje chciał wyciągnąć Canning z ciebie i Meksykanów. Chodziło o naszego starego znajomego Petersona, prawda?

Wyjąłem papierośnicę, poczęstowałem go, ale pokręcił głową.

– Ciągłe się trzymasz? – spytałem.

– Nie jest lekko.

Papierośnicę i zapalki położyłem na barze. Bernie nie jest typem człowieka, który powinien rzucać palenie; stał się tylko bardziej drażliwy. Zapaliłem i wypuściłem trzy idealne kółka dymu. Sam nie wiedziałem, że jestem taki dobry.

Bernie groźnie marszczył czoło. Bardzo chciał zapalić. Jego twarz pociemniała i spojrzał na mnie z tym swoim wyrazem „kawa na ławę, bo jak nie”.

– Dobra, Marlowe. Gadaj.

– Bernie, czy zabiłoby cię to, gdybyś od czasu do czasu mówił mi po imieniu? – spytałem.

– Dlaczego?

– Przez cały dzień ludzie nazywali mnie Marlowe, obrzucali groźbami, stosowali przemoc. Mam tego dość.

– Czyli chcesz, żebym mówił do ciebie Phil...

– Wystarczy „Philip”.

– I wtedy zostaniemy przyjaciółmi i wszystko będzie grało, tak?

– Zapomnij o tym. – Odwróciłem wzrok.

Przechodzący barman uniósł pytająco brew, ale dałem mu znak, żeby szedł dalej. Z gimletami nie wolno się spieszyć, bo inaczej człowiek budzi się rano i czuje, jakby zamiast głowy miał klatkę z papugami. Tuż obok słyszałem ciężki oddech Berniego. Kiedy zaczyna tak prychać trąbą, to nigdy nie wróży nic dobrego.

– Pozwól, że ci to wyłożę, Marlowe – powiedział i zaczął wyliczać na wielkich mięsistych paluchach. – Najpierw niejaki Peterson ginie, potem okazuje się, że może jednak żyje. Ktoś wynajmuje cię, żebyś to zbadał, a w trakcie śledztwa wpadasz na siostrę Petersona. Następnie siostra Petersona ginie i tym razem nie ma żadnych wątpliwości, bo widzieliśmy ją z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Zapraszam cię

na miejsce zbrodni, grzecznie pytam, co wiesz. Mówisz mi, dokąd mam się udać i co mogę ze sobą zrobić...

– Przestań! – zaprotestowałem. – Byłem bardzo uprzejmy!

– Potem znów do mnie dzwonicz, i tym razem znajdujemy dwa trupy, jakiegoś lokaja, który leży przy basenie z kulą w nodze, bogatego gościa, który ucieka, i jeszcze jednego, który próbuje. Mówię sobie: Bernie, to cholerny bałagan. To jest sprawa tego rodzaju, Marlowe, że kiedy szeryf się o niej dowie, co nastąpi już wkrótce, każe mi błyskawicznie posprzątać. Wiesz, kim jest ten Canning?

– Nie, ale za chwilę mi powiesz.

– Jest jednym z największych inwestorów w nieruchomości w tej okolicy. Posiada sklepy, fabryki, działki pod zabudowę, co tylko chcesz.

– Jest też ojcem Petersonów – dodałem. – To znaczy Lynn i Nico.

To go zamknęło na parę sekund. Wysunął głowę do przodu i ściągnął brwi, upodabniając się do byka, który przypuszcza atak na szczególnie irytującego matadora.

– Żartujesz.

– Czy ośmieliłbym się żartować w rozmowie z tobą, Bernie?

Głęboko się zamyślił. Widok zamyślonego Berniego naprawdę zapierał dech. Nagle sięgnął po moją papierośnicę, wyjął papierosa, wetknął sobie do ust i zapalił zapalniczkę. Przez sekundę czy dwie trzymał ją, z wyrazem smutku i buntu w oczach, jak grzesznik, który lada chwila ulegnie. W końcu przytknął płomyk do końca papierosa i zaciągnął się, głęboko i wolno.

– Och – westchnął, wypuszczając dym. – Jezu, jakie pyszne.

Pochwyciwszy spojrzenie barmana, pokazałem dwa palce. Skinął głową. Miał na imię Jake. Właśnie tu, w barze Victora, poznałem Lindę Loring, a Jake wciąż ją pamiętał. Nic dziwnego, kobieta taka jak Linda zapada w pamięć. Może powinienem się z nią ożenić, jeśli nadal jest zainteresowana, choć pewnie nie jest. Czy wspominałem, że Linda jest szwagierką Terry’ego Lennox? Żona Terry’ego, Sylvia Lennox, została

zamordowana, o co oskarżono Terry'ego. Sylvię zabiła jednak kobieta oszalała z zazdrości – jej mąż i Sylvia byli kochankami – poza tym była po prostu szalona. Terry i tak chciał zniknąć, więc upozorował samobójstwo w zapadłej meksykańskiej dziurze Otatoclán, ale niewielu ludzi wie, że samobójstwo zostało upozorowane. Nawet Bernie nie znał prawdy. Czemu miałbym mu mówić? Terry był draniem, lecz go lubiłem. Miał klasę, a ja doceniam ludzi z klasą.

Jake przyniósł nam dwa gimlety. Bernie myślał, pałac, i oddychał ciężko między sztachnięciami. Naprawdę potrzebowałem tego drinka, może nawet jeszcze jednego.

– Posłuchaj, Bernie – powiedziałem. – Zanim znowu się nakręcisz i zaczniesz wyliczać na palcach, pozwól, że powtórzę: mój związek ze sprawą Petersona jest przypadkowy. Nie ma nic wspólnego z Canningiem, Meksykanami, zabójstwem Lynn Peterson...

– Hola, mądralo! – przerwał mi, podnosząc łapę, którą zdołałby zatrzymać ruch na Bay City Boulevard. – Nie tak szybko. Mówisz, że Canning jest starym tego Petersona?

– To właśnie ci mówię.

– Ale skąd...?

– Sam Canning mi to powiedział. Usłyszał, że tropię jego syna, więc zgarnął mnie i kazał swojemu człowiekowi podtopić mnie w basenie.

– A co z tymi dwoma Meksykańcami, których „jego człowiek”, na rozkaz Canninga, zatłukł na śmierć. Jaki oni mają z tym związek?

– Taki, że zabili córkę Canninga, Lynn Peterson.

– Wiem, ale dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego ją zabili? Czemu złapali ją w domu Nico Petersona? I dlaczego w ogóle tam się znaleźli? – Bernie przerwał, westchnął i podparł dłonią czoło. – Możesz sobie mówić, że jestem głupi, Marlowe, możesz mówić, że mózg mi się przepalił po wielu latach pracy w policji, ale po prostu tego nie łapię.

– Napij się, Bernie – poradziłem. – Wypal jeszcze jednego papierosa. Rozluźnij się.

Gwałtownie poderwał głowę i spojrzał na mnie groźnie.

– Rozluźnię się, kiedy przestaniesz nabierać wody w usta i powiesz, co się, do cholery, dzieje.

– Nie mogę tego zrobić – odparłem. – Nie mogę ci powiedzieć, bo sam nie wiem. Wplątałem się w tę sprawę przypadkiem. Powtórzę: zatrudniono mnie, żebym znalazł faceta, który jakoby jest martwy. Wkrótce potem trup zaczął ścielić się gęsto; sam o mały włos nim nie zostałem. Ale proszę cię, Bernie, posłuchaj: podobnie jak ty, nie mam pojęcia, co tu jest grane. Czuję, jakbym pewnego ranka poszedł na spacer i napatoczył się na rogu na karambol z dziesięcioma samochodami. Wszędzie ciała i krew, płonące pojazdy, syreny karetek, cały ten kram. A ja stoję pośrodku tego wszystkiego i drapię się w głowę jak Stan Laurel. Owszem, Bernie, to niezły bałagan, ale to nie jest mój bałagan. Może mi uwierzysz?

Bernie zaklął, po czym w zaaferowaniu chwycił świeżego drinka i wychylił jednym haustem. Skrzywiłem się. Człowiek nie postępuje tak z gimletem, jednym z najbardziej wyrafinowanych drinków na świecie. Tego wyszukanego drinka należy saczyć powoli, w przeciwnym razie walnie cię jak choroba głębinowa.

Kiedy dżin się wchłonął i odnalazł cel, Bernie zamrugał, potem znów sięgnął po moją papierośnicę i zapalił kolejną pałeczkę nowotworową. Patrząc na niego, pomyślałem, że za kilka godzin nie chciałbym być żoną albo kotem Berniego, ponieważ tej nocy w domu Ohlsów przypuszczalnie dojdzie do wrzasków i kopaniny.

– Musisz mi powiedzieć, kto zlecił ci znalezienie Petersona – powiedział głosem ochryplym od dymu papierosowego i alkoholu, który właśnie spłynął po strunach głosowych. Sięgnąłem po fajkę, ale Bernie zacisnął dłoń na moim nadgarstku. – I nie zaczynaj majstrować przy tym cholerstwie.

– Zgoda, Bernie, zgoda – rzuciłem pojednawczo. Schowałem fajkę do kieszeni i wziąłem papierosa, uznając, że mogę jednego zapalić, zanim on skończy paczkę. Spróbowałem innej taktyki odwrócenia jego uwagi. – Powtórz mi, co miał do powiedzenia Hanson.

– Jak to, co miał do powiedzenia?

– Co powiedział twoim chłopcom, zanim zabrali się za niego ze zgniataczami kciuków? Jakie miał rewelacje?

Bernie odwrócił się, jakby zamierzał splunąć, potem znów popatrzył na mnie.

– Nic ważnego – odparł z niesmakiem. – Nic nie wiedział. Według mnie Canning nie ufał mu na tyle, by mu powierzać istotne informacje. Hanson twierdził, że jego szef chciał się dowiedzieć, co wiesz o Nico Petersonie, czy żyje, a jeśli tak, to gdzie przebywa. Trudno to nazwać nowinami. Co się tyczy Meksykanów, Canning wiedział, że zabili dziewczynę, i chciał się zemścić.

– Jak Canning dopadł tych Meksykanów? Czy Hanson to powiedział?

– Ma wspólników po drugiej stronie granicy. Złapali Meksykanów i dostarczyli ich tutaj. Opłaca się mieć wpływowych przyjaciół, co? – Bernie podniósł pustą szklankę i zajrzał do niej posepnie. – Co za chłam. Co za kolosalny, sakramencki chłam. – Skierował na mnie smętny wzrok. Wiesz, dlaczego tu siedzę, Marlowe? Wiesz, czemu piję tu z tobą i palę? Bo kiedy wrócę do domu, dowiem się, że mój szef dzwonił z pięć razy i pytał, czy już schwytałem przestępców, czy cię zamknąłem i jak ma wyjaśnić koleżkom Canninga z rady miejskiej, którzy są też jego kolegami, dlaczego zrobiliśmy nalot na ten jego klub... jak mu tam?

– Cahuilla.

– Dlaczego zrobiliśmy nalot na klub Cahuilla, do którego wszyscy ci panowie należą. Dlaczego zrobiłem to bez konsultacji z szefem i bez jego zgody.

– Co takiego? – zdumiałem się. – Ruszyłeś do klubu, nie powiadamiając szefa?

Szeryf Donnelly objął swój urząd niedawno, pokonując w wyborach konkurenta o parę tysięcy głosów, co zdziwiło wszystkich; przypuszczam, że włącznie z Donnellym. Facet, którego pokonał, objął urząd szeryfa jeszcze przed pierwszą wojną światową, przynajmniej tak się wydawało, więc Donnelly miał sporo do udowodnienia. Fotel szeryfa nie zdążył ostygnąć, kiedy na nim zasiadł, i od pierwszego dnia urzędowania Donnelly ostro się ciskał, dając do wiwatu Berniemu i innym funkcjonariuszom. Może na to zasłużyli. Pewnie trochę zmiękli za poprzedniego reżimu.

– Wydarzenia w klubie opisałeś tak, że uznałem sprawę za pilną – wyjaśnił Bernie. – Gdybym włączył Donnelly’ego, czekałaby nas taka biurokratyczna ścieżka zdrowia, że zanimbyśmy ruszyli, wszyscy w klubie, włącznie z barmanami i ogrodnikami, zdążyliby się ulotnić. – Spojrzał na mnie i spytał: – Co ci się stało?

Musiałem, jak to się mówi, mimowolnie drgnąć. Tknęła mnie myśl, poważna, brudna, oczywista myśl.

– Czy istnieje lista ludzi zatrudnionych w tym klubie? – spytałem.

– Lista? O co ci chodzi?

– Musi być jakiś spis personelu, lista płac, coś w tym rodzaju. – Mówiłem bardziej do siebie niż do Berniego.

– Co ci chodzi po głowie?

Łyknąłem drinka, po raz kolejny zdumiewając się, jak doskonale sok z limonek dopełnia jałowcowy aromat dżinu. Stary dobry Terry: nawet jeśli nie dokonał nic więcej, pokazał mi świetny koktajl.

– Kiedy byłem tam, w klubie, podszedł do mnie niejaki Lamarr i wdał się w pogawędkę. On jest, no wiesz... – Postukałem się palcem w skroń. – Ale nie całkiem nienormalny, poza tym chyba niegroźny. Powiedział, że widział, jak rozmawiam z Kapitanem Hakiem, i że jest jednym z Zagubionych Chłopców.

– Kapitan Hak – powtórzył głucho Bernie, kiwając głową. – Zagubieni Chłopcy. Co to ma być, na rany Chrystusa?

– Floyd Hanson mówił mi, że w klubie panuje zwyczaj zatrudniania takich typów jak Lamarr, samotników, włóczęgów, ludzi bez przeszłości i z marnymi widokami na przyszłość. To niby filantropia, ale Wilbur Canning nie wygląda mi na filantropa. Już prędzej jego ojciec.

Umilkłem. Bernie odczekał, po czym powiedział niecierpliwie:

– No więc?

– Jeżeli Nico Peterson żyje, a jego śmierć sfingowano, musiało być jakieś ciało. Lynn Peterson pokazano w kostnicy zwłoki, które zidentyfikowała jako brata. Może kłamała, aby ukryć fakt, że Nico żyje, a cała sprawa została zaaranżowana.

– Twierdzisz, że w kostnicy mogły być zwłoki jednego z włóczęgów zatrudnionych w klubie? – spytał po namyśle Bernie. – Że Nico zabił tam kogoś, zamienił się z nim na ubrania, przejechał ciało tak, by nie dało się rozpoznać, porzucił je na poboczu i zwiął?

Powoli pokiwałem głową. Nadal głośno myślałem.

– „Zagubieni Chłopcy”, powiedział Lamarr. „Jesteśmy Zagubionymi Chłopcami”.

– Kim, do diabła, są Zagubieni Chłopcy? I kto to jest Kapitan Hak?

– To postać z Piotrusia Pana. Wiesz, z książki Barriego.

– Czyli ten Lamarr jest świrem, ale odczytanym.

– Miał na myśli Floyda Hansona. Hanson jest Kapitanem Hakiem. Tamtej nocy, kiedy jakoby zginął Peterson, Hanson jako jeden z pierwszych znalazł się na miejscu wypadku i dokonał wstępnej identyfikacji. Ściągnij z powrotem Hansona i tym razem porządnie się nim zajmij. Założę się, że wszystko wyśpiewa.

Bernie milczał, obracając zapalki nad barem.

– Nadal twierdzisz, że nie wiesz o tej sprawie więcej niż pozostali?

– Nadal tak twierdzę, Bernie. Może zauważyłeś, że powtórzyłem to już kilkakrotnie. Nie przyszło ci na myśl, że mogę mówić prawdę?

– To wszystko zaczęło się od ciebie, Marlowe – stwierdził Bernie niemal łagodnie, wpatrując się w zapalki. – Wiem, że to ty jesteś

kluczem do tej sprawy.

– Skąd niby...

– Zamknij się. Mam w nosie Petersona, a nawet jego siostrę. Podobnie jak Meksykańców... Jakie znaczenie ma dwóch brudasów? Mogę się obejść bez tej cioty Hansona czy mistrza klucza francuskiego na usługach Canninga. Ale sam Canning to zupełnie inna para kaloszy. Jego nazwisko będzie we wszystkich jutrzejszych gazetach, chyba że ktoś wkroczy i wszystko wyciszy.

– Tak? Niby kto? – spytałem, choć nagle domyśliłem się, o kogo chodzi, i poczułem, jak zwalnia mi serce.

– Jedna z wielu rzeczy, o których nie wiesz, jest taka, że Wilber Canning jest bliskim współpracownikiem Harlana Pottera – powiedział Bernie tym swoim tonem wyrażającym zarazem gniew i samozadowolenie.

Najlepszą wiadomość zachował na koniec. Zajrzałem do szklanki, ciekaw, kto wynalazł gimlet. Jak wpadł na nazwę? Świat wprost roi się od podobnych pytań i tylko Ripley¹ zna wszystkie odpowiedzi.

– Aha – powiedziałem.

– Co to znaczy?

– To znaczy „aha”.

Harlan Potter był właścicielem sporej części kalifornijskiego wybrzeża, a także, według ostatnich rachunków, sześciu dużych gazet. Tak się składało, że był też ojcem Lindy Loring oraz zmarłej pani Sylvii Lennox, czyli teściem Terry’ego Lennox. Wyglądało na to, że na każdym kroku czekał na mnie Terry, uśmiechając się smutno i obracając gimleta w palcach białych jak kość. Zabawne: większość ludzi sądziła, że nie żyje, podobnie jak Nico Peterson. Terry żył, ale nawiedzał mnie jak duch.

Gdybym ożenił się z Lindą Loring, Harlan Potter zostałby moim teściem, pomyślałem. Taka perspektywa zasługiwała na trzeciego

gimleta. Dałem znak barmanowi Jake'owi, a ten skinął głową, ale tak nieznacznie, że trudno to było uznać za skinienie.

– A więc Harlan Potter – powiedziałem, powoli wypuszczając powietrze. – Proszę, proszę, Obywatel Kane we własnej osobie.

– Okaż trochę szacunku! – upomniał mnie Bernie, próbując stłumić chichot. – Jesteś prawie jego rodziną. Słyszałem, że córka Pottera nadal o tobie śni. Pozwolisz, żeby wniosła światło w twoje marne, szare życie?

– Nie posuwaj się za daleko, Bernie – ostrzegłem go spokojnie.

Uniósł pojednawczo dłonie.

– Hej, wyluzuj. Tracisz poczucie humoru, Marlowe.

Odwróciłem się na stołku barowym twarzą do Berniego. Dobrze wiedział, że przeholował, ale drążyłem dalej:

– Posłuchaj, Bernie, możesz mi suszyć głowę o sprawy, którymi masz prawo się interesować, ale nie wtrącaj się w moje życie osobiste.

– Dobrze już, dobrze – wymamrotał potulnie ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Przepraszam.

– Dzięki.

Ponownie odwróciłem się twarzą do baru, żeby ukryć przed Berniem uśmiezek, którego nie potrafiłem zmazać z twarzy. Rzadkie chwile, gdy udawało mi się sprawić, że oblewał się rumieńcem, wysysałem do ostatniej kropli.

Jake przyniósł nam drinki. Widziałem, że Bernie nie chce już pić, ale tak się zacukał, że nie mógł odmówić.

– Zresztą, przypuszczalnie masz rację – powiedziałem, żeby trochę mu odpuścić.

– W jakiej sprawie?

– Potter dopilnuje, żeby jutrzejsze gazety nie przerobiły jego kumpla Canninga na mielonkę.

– Mhm. – Bernie łyknął drinka, po czym z zatroskaną miną odstawił szklankę na bar. Wkrótce pewnie czekało go spotkanie z Donnellym i z pewnością nie pomoże mu, jeśli będzie cuchnął dżinem, co było

raczej nieuniknione, bo już wychylił dwa gimlety. – To miasto... – Cmoknął z dezaprobatą. – Mam go już potąd. – Przyłożył dłoń poziomo do podbródka. – Wiesz, że służę w biurze szeryfa już blisko ćwierć wieku? Pomyśl tylko. To jest maszynka do mięsa, a ja nie jestem nawet stekiem pierwszej klasy.

– Daj spokój, Bernie. Zaraz się rozplączę.

– Co z tobą? – spytał i spojrzał na mnie posępnie. – Zamierzasz udawać, że twój świat jest czystszy niż ten, w którym ja utknąłem?

– To jedno i to samo – przyznałem. – Ale popatrz na to w ten sposób: dopóki tacy goście jak ty i ja siedzą po jednej stronie huśtawki, nie przechyli się całkowicie na drugą, gdzie siedzą Canningowie i Potterowie z workami pełnymi złota.

– Jasne – odparł Bernie. – Dziś wieczorem jesteś mistrzem odnajdywania pozytywnych stron, co?

Wtedy się zamknąłem, nie z powodu drwin, ale ponieważ ogarnęły mnie niedobre przeczucia w związku z umieszczeniem Harlana Pottera w jednej kategorii z Wilberem Canningiem. Potter był twardzielem. Człowiek, który doszedł do takiego majątku – wyceniano go na sto milionów – musiał czasem chodzić na skróty, niewykluczone też, że kazał poderżnąć kilka gardeł. Ojciec takiej dziewczyny jak Linda Loring nie mógł być jednak do cna zły. Raz z nim rozmawiałem. Zaczął od gróźb pod moim adresem, następnie wygłosił wykład o tym, jacy jesteśmy beznadziejni, znowu mi pogroził, a na koniec obiecał, że da mi zarobić, jeśli będę grzeczny. Uprzejmie odmówiłem, przynajmniej wydaje mi się, że uprzejmie.

Bernie spojrzał na zegarek wielkości kartofla, który i tak prezentował się skromnie na jego łapie.

– Muszę spadać – oświadczył i przystąpił do zsuwania się ze stołka.

– Nie dopiłeś gimleta – zauważyłem. – Wiesz, że drinki nie są tanie.

– Posłuchaj, oficjalnie jestem tu na służbie. Masz... – Wyjął portfel i rzucił na bar banknot pięciodolarowy. – Ja stawiam.

Posłałem mu spojrzenie, zwinąłem pięciodolarówkę i wsunąłem do górnej kieszeni jego niebieskiej marynarki.

– Nie obrażaj mnie, Bernie. Zaprosiłem cię na drinka, więc płacę. To część tak zwanej umowy społecznej.

– Taak. Reguły życia społecznego nie są moją mocną stroną. – Uśmiechnął się, a ja zrewanżowałem się tym samym. – Na razie, Phil.

– Naprawdę musisz iść?

– To moja praca. – Założył kapelusz i trącił brzeg palcem. – Bywaj.

Dopiłem drinka, pomyślałem, żeby wychylić resztkę zostawioną przez Berniego, ale są granice, których my, Marlowe'owie, nie przekraczamy. Zapłaciłem i sięgnąłem po kapelusz. Zauważyłem, że Jake szykuje się do zapytania, jak się miewa moja przyjaciółka, czyli Linda Loring. Nie chcąc do tego dopuścić, udałem, że nagle przypomniałem sobie o pilnym spotkaniu, i wymknąłem się z baru.

W bezchmurną, chłodną noc nisko na niebie świeciła jedna duża gwiazda, wbijając długi świetlny sztylet w serce Hollywood Hills. Piszczące nietoperze śmigły jak skrawki zwęglonego papieru nad ogniskiem. Rozejrzałem się za księżycem, ale nigdzie go nie widziałem. Tym lepiej, księżyc zawsze wzbudza we mnie melancholię. Nie miałem dokąd iść, nie miałem nic do roboty. Przypomniawszy sobie, że nie mam samochodu, zatrzymałem taksówkę i kazałem się odwieźć do domu. Taksówkarz był Włochem, masywnym jak Bernie i mniej więcej tak samo pogodnym. Ilekroć światło zmieniało się na czerwone, przeklinał pod nosem. Klął po włosku, ale nie potrzebowałem tłumacza.

W domu panował zaduch, jakby mnóstwo ludzi siedziało tu cały dzień przy zamkniętych oknach. Na szachownicy rozstawiłem partię Laskera z Capablancą, w której ten drugi zniszczył niemieckiego mistrza w jednej z najcudowniejszych, najbardziej zabójczych końcówek. To absolutne wyżyny szachów. Mimo to nie byłem w nastroju. Wciąż

szumiało mi w głowie od wypitego ginu i wcale nie chciałem, by ten szum ucichał. Bywają chwile, gdy człowiek chce, żeby jego umysł przestał pracować; tej nocy mój pracował stanowczo zbyt intensywnie. Próbujesz odsuwać pewne myśli, ale one raz po raz wchodzą ci w drogę.

Wskoczyłem do oldsmobila, pojechałem do Barney's Beanery, gdzie wypilem sześć czystych burbonów. Piłbym dalej, gdyby stary dobry Travis, mój anioł stróż z za baru, nie odmówił nalania mi następnego. Zmusił mnie do oddania kluczyków do wozu, pomógł wyjść na ulicę i wpakował do taksówki. Niewiele pamiętam z tego, co było potem. Jakimś cudem wszedłem na sekwojowe schody, otworzyłem drzwi i trafiłem do sypialni, gdzie obudziłem się około północy, leżąc w poprzek na łóżku, twarzą w dół, w ubraniu. Cuchnąłem jak tchórz i byłem spragniony jak wielbłąd.

Dowłokłem się do kuchni, pochyliłem nad zlewem i wypilem z litr wody prosto z kranu. Potem ruszyłem do łazienki, zgiąłem się w pół nad sedesem i zwymiotowałem parę litrów. Pierwszy był wodą, po nim nastąpił jasnozielony płyn złożony, jak się domyślałem, z gimleta i żółci. To był długi dzień.

I bynajmniej się nie skończył. W środku nocy obudził mnie telefon. Początkowo wziąłem go za alarm pożarowy i wybiegłbym na ulicę, gdyby nie to, że z jakiegoś powodu nie zdołałem otworzyć drzwi. Słuchawkę ująłem tak, jakby była głową grzechotnika. Bernie poinformował mnie, że właśnie znaleziono Floyda Hansona powieszzonego na kracie okna w celi. Porwał na paski prześcieradło i związał je w sznur. Okno nie znajdowało się dostatecznie wysoko, musiał więc się powiesić z nogami zgiętymi w kolanach. Umieranie musiało trwać dość długo.

– Ten kanarek już nie zaśpiewa – oświadczył Bernie. Powiedziałem, że jest człowiekiem wielkiego serca, na co zaśmiał się bez radości. – Co z tobą? – spytał. – Brzmisz, jakby cię zakneblowano.

– Jestem pijany – wyjaśniłem.

– Jaki jesteś? Nie rozumiem, co mówisz.

– Powiedziałem, że jestem pijany. Narąbany. Nawalony.

Znowu się zaśmiał, tym razem z przekonaniem. Pewnie brzmiało to rzeczywiście zabawnie, gdy ktoś tak nieprzytomny jak ja usiłował artykułować czterosylabowe słowa.

Zaczerpnąłem tchu, przez co zakręciło mi się w głowie; w końcu oprzytomniałem na tyle, by spytać go o Bartletta.

– Kto to jest Bartlett? – zapytał Bernie.

– Jezu, Bernie, nie wydzieraj się. – Oddaliłem słuchawkę od ucha. – Kamerdyner Bartlett, stary z kluczem francuskim, którego postrzeliłem w kolano.

– A, ten. Kiepsko z nim. Słyszałem, że jest w śpiączce. Stracił całą beczkę krwi. Robią mu transfuzję. Może się wylize, może nie. Jesteś z siebie dumny, szalony rewolwerowcu?

– Cholera, on o mały włos mnie nie utopił – warknąłem.

– Ten starzec? Nerwy ci puszczają, Marlowe.

– Widzisz, znowu mówisz na mnie Marlowe.

– No tak, przychodzą mi do głowy gorsze określenia. To, że postawiłeś mi parę kolejek, nie oznacza, że muszę być twoim najlepszym kumplem. Zresztą, gorzała się ulotniła, jak tylko dotarłem do biura. Donnelly przyszedł z jakiegoś eleganckiego balu charytatywnego, w smokingu i czarnym krawacie, cuchnął wodą kolońską i kobietami z wyższych sfer. Zauważyłeś, że na takich balach wszędzie unosi się zapach kobiet?

– Czy ja kiedykolwiek byłem na takim balu?

– Ten zapach przyprawia o zawroty głowy. Ma też wpływ na niżej położone części ciała. Tak czy owak, Donnelly był wkurzony, że wyciągają go z balu, ale to małe piwo w porównaniu z tym, jaki się zrobił, kiedy usłyszał o zajściach w klubie Cahuilla, o tym, jak sobie postrzelałeś, a Canning wyciął indiańską sztuczkę i rozpląnął się w powietrzu.

– Bernie – odezwałem się głosem nieskończenie łagodnej, nieskończenie cierpiącej istoty, by posłużyć się słowami poety. – Bernie, jestem pijany, jest mi niedobrze, jakiś facet wali mnie młotem w tył czaszki. Dzisiaj o mały włos mnie nie utopiono. Postrzeliłem człowieka, który może się nie wyliże i może na to nie zasługuje, ale nawet zabijanie złych wywiera piętno. Dlatego, proszę, czy mogę się położyć?

– Jasne, prześpij się, Marlowe, podczas gdy my spróbujemy uporządkować bałagan, który, z tego co widzę, jest twoim dziełem.

– Przykro mi, że wybrałeś niewłaściwy zawód, Bernie. Kim chciałeś zostać? Przedszkolanką?

Bluznął słowami, jakich nie przeczytasz w jednej z książek owiniętych w zwykły brązowy papier, kupowanych w księgarni, gdzie żaluzje zawsze są opuszczone, a na drzwiach nie wisi żaden szyld. Pozwoliłem mu ryczeć, aż w końcu zabrakło mu pary, choć słyszałem, jak gniewnie dyszy w słuchawkę. Wtedy spytał, co zrobiłem z bronią.

– Jaką bronią?

– Jaką bronią? Tą, z której postrzeliłeś Bartletta.

– Bartletta. Wyrzuciłem ją.

– Gdzie?

– W bugenwillę.

– W co takiego?

– W krzaki. W klubie Cahuilla.

– Ty durny draniu. O czym ty myślałeś?

– O niczym – odparłem. – Działałem instynktownie. Pamiętasz, co to jest instynkt, Bernie? Właśnie on kieruje zachowaniem zwykłych ludzi, którzy nie pracują od ćwierćwiecza w biurze szeryfa.

Odłożyłem słuchawkę.

21

Spałem do południa. Jak się czułem po obudzeniu? Bezdomna kotka wałęsająca się po okolicy przymilała się do mnie w nadziei, że ją przygarnę i pozwolę, by pokierowała moim życiem. Zwykła wyliniała kotka syjamska, ale oczywiście uważała się za reinkarnację egipskiej księżniczki. Niedawno, po otwarciu tylnych drzwi, zastałem córę faraona siedzącą na progu z resztkami ptaka w pyszczku. Spojrzawszy na mnie ujmująco, złożyła trupka u moich stóp. Przypuszczam, że miała to być forma zaliczki na poczet wprowadzenia się.

Cóż, byłem właśnie tym zdechłym ptakiem, ze szklistymi oczami, przeżuty, leżący w skotłowanej przepoconej pościeli, ze wzrokiem utkwionym w zwisającą z sufitu żarówkę, która zdawała się powoli krążyć po eliptycznej orbicie. Posłuchajcie mojej rady: nigdy nie pijcie sześciu burbonów po trzech gimletach. Gdy w końcu udało mi się rozkleić usta, zdziwiłem się, że nie wydobył się z nich zielony dym.

Wstałem i powlokłem się do kuchni, poruszając się niezwykle ostrożnie, jak bardzo stary człowiek, kruchy i łamliwy. Nałożyłem do ekspresu trochę kawy, postawiłem na kuchence i zapaliłem ogień. Długo stałem oparty o zlew, patrząc pustym wzrokiem na podwórze za domem. Światło słoneczne było kwaśne jak sok cytrynowy, choć niedawny deszcz wniósł sporo życia. Kwitnąca psianka pani Paloosy zaczęła wydawać owoce, a oleander za pojemnikiem na śmieci był obsypany różowymi kwiatami, które właśnie pracowicie zapylało

kilkanaście maleńkich kolibrów. Ach, przyroda, z jedną jedyną skazą w postaci mojej skacowanej osoby.

Kawa zaczęła bulgotać, zupełnie jak mój żołądek.

Narzuciłem szlafrok i wyszedłem po gazetę, którą roznosiciel cisnął na werandę. Stojąc w chłodnym cieniu, przeleciałem wzrokiem pierwszą stronę. Siódma szpalta zawierała informację o „zajściu” w klubie Cahuilla. Paru niezidentyfikowanych osobników włamało się do klubu, gdzie zajęła się nimi ochrona – Bartletta nie wymieniono z nazwiska – w wyniku czego dwie osoby poniosły śmierć. Jak się okazało, menadżer klubu Floyd Henson (*sic*, jak mówią) miał związek z wtargnięciem i później zmarł w areszcie w wyniku wypadku. Właściciel klubu, Wilberforce Canning, wyjechał wczoraj w nocy w nieznanym kierunku. Gwizdnąłem, kręcąc głową. Trzeba przyznać, że kiedy Harlan Potter postanawiał ukreślić sprawę łeb, robił to z podziwu godną dokładnością.

Po powrocie do domu nalałem sobie kawy i wypilem. Za mocna i za gorzka. A może gorzki smak miałem w ustach już wcześniej, od lektury.

Nieco później zdjąłem w łazience górę od piżamy i z podziwem obejrzałem sińce, które sznury Bartletta zostawiły na moich rękach i klatce piersiowej. Szarość kitu przechodziła przez krwistą czerwień do mdlącej żółci siarkowej. Płuca bolały mnie od długiego krępowania sznurami i późniejszego wysiłku, by nie popękać, gdy trzymali mi głowę pod wodą, nie wspominając już o papierosach wypalonych zeszłej nocy w Beanery, kiedy coraz głębiej tonąłem w butelce burbona.

Mimo wszystko było to lepsze niż bycie martwym, choć tylko odrobinę.

Po ogoleniu się, wyprysznicowaniu i maksymalnym odświeżeniu włożyłem szary garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Po nocnym pijaństwie dobrze jest ubrać się w sposób stonowany. Nalałem kolejną filiżankę błotnistej kawy, teraz już letniej, i zabrałem ją do salonu. Usiadłem na kanapie i zapaliłem eksperymentalnego papierosa.

Smakował jak piołun, przynajmniej tak wyobrażałem sobie piołunowy smak. Podejrzewam, że najgorszą rzeczą na kacu jest picie kawy i zaciąganie się papierosem, ale przecież coś trzeba robić.

Kiedy listonosz po raz drugi tego dnia wrzucił korespondencję przez otwór w drzwiach i listy spadły na posadzkę w przedpokoju, podskoczyłem chyba na pół metra. Poszedłem pozbierać koperty. Rachunki. Oferta z firmy w Nebrasce, która proponowała lotniczą dostawę pierwszorzędnych solonych steków. Wiadomość od firmy energetycznej, że zalegam z płatnością za prąd. Wreszcie kremowa koperta z moim imieniem, nazwiskiem i adresem wypisanym fioletowym atramentem schludnym, zaokrąglonym pismem. Powąchałem list. Langrishe Lace, słaba, ale już dobrze rozpoznawalna woń.

Zaniosłem list na kanapę, usiadłem i wpatrywałem się w niego, trzymając palcem i kciukiem. Przypomniałem sobie Clare Cavendish, piszącą eleganckim długopisem w notesie, przy żelaznym stoliku w oranżerii tamtego dnia, od którego upłynęły całe wieki. Odłożyłem kopertę na stolik i nadal na nią patrząc, dopaliłem papierosa. Czy leżał przede mną list w stylu „Drogi Johnie”, definitywnie odprawiający mnie z kwitkiem, miłosierne dobitnie pokonanego? Oskarżenie o utrzymywanie niestosownych relacji z klientką? Czy właśnie mnie zwalniano? A może w kopercie znajdował się czek, będący zarazem wyrównaniem rachunków i zdawkowym pożegnaniem?

Istniał tylko jeden sposób, by się przekonać. Podniosłem kopertę, wsunąłem palec pod skrzydełko i w tej samej chwili pomyślałem o Clare, która przesuwa po kleju ostrym ciemnoczerwonym koniuszkiem języka.

Pragnę się dowiedzieć o poczynionych przez ciebie postępach w sprawie, którą ci zleciłam. Spodziewam się, że na tym etapie coś już wiadomo. Proszę, skontaktuj się ze mną jak najszybciej.

CC

I tyle. Żadnego adresu nadawcy, żadnych pozdrowień, imienia, tylko inicjały. Clare nie ryzykowała. Trzymałem w dłoni pisemny odpowiednik kopniaka w brzuch. Zaczęła mnie ogarniać wściekłość, ale powiedziałem sobie, że nie powinienem pozwalać sobie na takie głupstwa. Wściekłość tylko nadweręża wątrobę i nie przynosi najmniejszych korzyści.

Chłodny liścik Clare Cavendish odłożyłem na bok, rozparłem się na kanapie i ponieważ było to nieuniknione, pograżyłem się w rozmyślaniach. Sprawa Nico Petersona od początku miała mało sensu, ale teraz stała się kompletnie niezrozumiała. Niedawno natrafiłem na ładne słowo: „palimpsest”. Według definicji słownikowej, jest to rękopis z częściowo wymazanym tekstem, w miejscu którego napisano nowy. Otóż miałem do czynienia właśnie z czymś takim. Nie opuszczało mnie przekonanie, że za wszystkim, co się wydarzyło, kryje się inna wersja wydarzeń, której nie potrafiłem odczytać. Wiedziałem jednak, że tam jest. Kiedy człowiek tak długo jak ja wykonuje podobną pracę, zaczyna mieć nosa do brakujących faktów.

Siedząc na kanapie, w ciszy południa – miłą stroną mieszkania na ślepej ulicy jest fakt, że ruch, a co za tym idzie hałas, jest niewielki – jeszcze raz wszystko przemyślałem. Tekst był jednak taki sam jak wcześniej; nie zaprowadził mnie w żadne nowe miejsce. Tylko jedno nie ulegało wątpliwości: Clare Cavendish nie pasowała do reszty układanki. Nico Petersona właściwie rozumiałem. Typowy syn bogacza, którego celem było zabicie majątku i plunięcie na ojca, tyle że Nico nie miał inteligencji starego, śmiałości, bezwzględności czy tego, co jest niezbędne do zarobienia miliona dolarów. Jako agent niczego nie wskórał – nawet Mandy Rogers widziała, że jest do bani – i prawdopodobnie wpadł w złe towarzystwo.

Poza tym podejrzewałem, że kontrabanda, którą Nico przemycał w walizce z Meksyku dla Lou Hendricksa, była warta niemało; człowiek nie inscenizuje własnej śmierci dla garści drobniaków. Floyd Hanson

prawie na pewno dogadał się z Nico i dostarczył jednego z Zagubionych Chłopców do roli ofiary wypadku. Wilber Canning przypuszczalnie nie wiedział, co Hanson i jego syn wspólnie wysmażyli, i wierzył, że Nico nie żyje, dopóki nie wetknąłem nosa w sprawę. Co do Gómeza i Lópeza, to zakładałem, że byli pierwotnymi właścicielami zawartości walizki, z którą czmychnął Nico, dlatego przyjechali tu, by go dopaść i odzyskać swoją własność.

Na koniec zostawała Clare Cavendish. Zatrudniła mnie, żebym znalazł jej chłopaka, który wystawił ją dwukrotnie w spektakularny sposób – najpierw udał, że nie żyje, potem okazało się, że jednak żyje – ale nie kupowałem tej historii. Od początku nie potrafiłem uwierzyć, że kobieta jej pokroju wdała się w romans z człowiekiem takim jak Peterson. Owszem, pewne kobiety lubią taplać się w błocie; podnieca je narażanie na szwank reputacji, a może i zdrowia. Ale Clare Cavendish taka nie była. Mogłem sobie wyobrazić, że rzuca się w ramiona drania, ale musiałby to być drań w jej typie, z klasą, stylem i forszą. Dobrze, poszła do łóżka ze mną, człowiekiem, który nie miałby pojęcia, jak się przerzuca biegi w luksusowym samochodzie sportowym. Tego nie potrafiłem wytłumaczyć. Niby jak, skoro ilekroć o tym myślałem, widziałem tylko Clare tamtej nocy w moim łóżku, jak nachyla się nade mną w świetle lampy, dotyka palcami moich ust, a jej jasne włosy opadają mi na twarz? Może przypominałem jej kogoś, kogo znała czy nawet kochała. Albo po prostu dała mi przyjemność, żeby móc się mną posługiwać do swoich planów. Wcześniej nie brałem tej ewentualności pod uwagę. Kiedy jednak o czymś pomyślisz, już tak łatwo nie znika.

Zanim zorientowałem się, co robię, trzymałem w dłoni telefon i wybierałem jej numer. Czasem człowiek podąża za instynktem jak dobrze wytresowany pies za panem. Odebrała pokojówka i kazała mi czekać. Słyszałem jej kroki niosące się echem w holu. Tylko w naprawdę ogromnym domu powstaje tak donośne echo. Przypomniała mi się

zadziwiona mina Dorothei Langrishe, gdy mówiła mi, że zbiła majątek na zgniecionych płatkach kwiatu. Zabawny jest ten świat.

– Tak? – odezwała się Clare Cavendish tonem, od którego powierzchnia jeziora Tahoe pokryłaby się lodem. Powiedziałem, że chciałbym się z nią zobaczyć. – Ach tak? Masz jakieś nowiny?

– Chcę cię o coś spytać.

– Nie możesz tego zrobić przez telefon?

– Nie.

W słuchawce zapadło milczenie. Nie wiedziałem, dlaczego jest taka chłodna. Owszem, tamtej nocy u mnie nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach, ale przecież przyjechałem, kiedy poprosiła o pomoc po tym, jak jej brat przedawkował. Nie robiło to jeszcze ze mnie sir Galahada, ale uważałem, że nie zasługuję na tak chłodne traktowanie ani na wredny liścik, jaki mi przysłała.

– Co proponujesz? – spytała Clare. – Nie powinieneś tu przyjeżdżać.

– Może zjemy lunch?

– Dobrze – odparła po namyśle. – Gdzie?

– W Ritz-Beverly – wymieniłem pierwsze miejsce, jakie mi przyszło do głowy. – Tam uciąłem sobie pogawędkę z twoją matką.

– Tak, wiem. Matka wyjechała z miasta. Przyjadę tam za pół godziny.

Poszedłem do sypialni i przejrzałem się w lustrze w szafie. Szary garnitur prezentował się lichy, poza tym miał ten sam kolor co moja twarz. Przebrałem się w granatowy, a krawat zmieniłem na czerwony. Przyszło mi nawet na myśl, żeby wyglansować buty, ale z powodu niepewnego samopoczucia perspektywa schylania się wcale mi się nie uśmiechała.

Po wyjściu z domu na widok pustego miejsca przy krawężniku pomyślałem, że ktoś mi ukradł oldsmobila. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że Travis odebrał mi kluczyki i odesłał do domu taksówką. Ruszyłem pieszo w kierunku Laurel Canyon. Słońce padało na eukaliptusy i w powietrzu unosił się ich aromat. Powiedziałem sobie, że

wcale nie czuję się źle, i niemal w to uwierzyłem. Gwizdnąłem na przejeżdżającą taksówkę. Kierowca miał rozmiary łosia, a przyjrząwszy mu się dokładniej, otworzyłem szeroko oczy: to był ten sam Włoch, którego zatrzymałem minionej nocy przed barem Victora. Miasto kurczyło się w oczach. Nastrój taksówkarza nie poprawił się ani trochę; przeklinał na każdym czerwonym świetle, jak gdyby ktoś złośliwie je przełączał na nasz przyjazd.

Jak się okazało, był to dzień pełen zbiegów okoliczności. W Beverly zaprowadzono mnie do tego samego stolika, przy którym siedziałem z panią Langrishe. Ten sam kelner poznał mnie i spytał niespokojnie, czy dołączy do mnie pani Langrishe. Kiedy zaprzeczyłem, uśmiechnął się szeroko, jakby właśnie pomyślał o Gwiazdce. Zamówiłem martini z wódką – a co tam! – i poleciłem, by drink był wytrawny jak diabli.

– Rozumiem, proszę pana – powiedział cicho, a nie zdziwiłbym się, gdyby mrugnął. Ten doświadczony kelner potrafił pewnie rozpoznać kaca z odległości stu kroków.

Czekając na drinka, rozglądałem się po barze. Dzisiaj nawet kształtne krągłości posągów Nefretete nie mogły mnie specjalnie zainteresować. Przy kilku stolikach biesiadowały damy w kapeluszach i białych rękawiczkach; ludzie interesu w stonowanych garniturach sprawiali wrażenie bardzo zajętych i zdeterminowanych. Na kanapie pod palmą siedzieli młodzi nowożeńcy. Mężczyzna uśmiechał się w typowy głupkowaty sposób, kobieta miała na szyi malinkę wielkości muszli małża. W duchu życzyłem im wszystkiego najlepszego i dużo szczęścia. Czemu nie? Nawet człowiek z głową opuchniętą jak dynia nie mógł się powstrzymać od dobrodusznego uśmiechu na widok czulej prezentacji miłości młodych.

Moje martini przyjechało na lśniącej tacy. Zimne, odrobinę oleiste, ze srebrzystym brzęknięciem wlało mi się między zęby.

Nie spóźniła się bardzo. Kelner przyprowadził ją do mojego stolika. Miała na sobie biały wełniany kostium z dopasowanym żakietem

i wąską spódnicą. Głowę zdobił kremowy słomkowy kapelusz z czarną opaską i wielkim opadającym rondem. Zaschło mi w ustach. Clare przyglądała mi się w szoku – wyobrażałem sobie, jak wyglądam – a gdy nachyliłem ku niej głowę, pocałowała powietrze kilka centymetrów od mojego policzka i wyszeptała:

– Mój Boże, co się stało?

– Pani też napije się martini – zwróciłem się do kelnera.

Clare zaczęła protestować, ale udałem, że tego nie widzę. To miał być płynny lunch. Skórzaną torebkę położyła na stoliku i usiadła powoli, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Wyglądasz okropnie – stwierdziła.

– Ty natomiast wyglądasz jak wyciąg z konta bankowego twojej matki.

Nie uśmiechnęła się. Nie zacząłem dobrze.

– Co się stało? – spytała znowu.

– Wczorajszy dzień można chyba opisać jako „wyczerpujący”. Widziałaś artykuł w dzisiejszej „Chronicle”?

– Jaki artykuł?

– O tych strasznych wydarzeniach w klubie Cahuilla – odparłem, szczerząc zęby w uśmiechu. – Ten lokal musi schodzić na psy, skoro znajdują w nim nieżywych Meksykanów, a menadżer okazuje się oszustem. Oczywiście znałaś Floyda Hansona.

– Nie powiedziałabym, że go znałam.

Kelner przyniósł drinka i postawił kieliszek przed Clare z niemal nabożnym szacunkiem. Zauważyłem, że taksuje ją szybkim spojrzeniem, w jakich specjalizują się kelnerzy. Jemu pewnie też zaschło w ustach. Clare podziękowała mu nieznacznym uśmiechem i wycofał się w pokłonie.

– Podejrzewam, że relacja prasowa nie oddaje rzeczywistości. – Zerknęła na mnie spod ronda kapelusza.

– Zazwyczaj tak bywa.

– Byłeś w klubie? Pewnie dlatego miałeś, jak to określiłeś...? Wyczerpujący dzień.

W milczeniu wpatrywałem się w bacznie obserwujące mnie oko i utrzymywałem zimny uśmiech.

– Jakim cudem gazeta o tobie nie wspomina? – spytała.

– Mam wysoko postawionych przyjaciół.

– Mówisz o ojcu Lindy Loring?

– Owszem, Harlan Potter pewnie sięgnął po telefon – przyznałem. – Czy Linda wspominała ci, jak dobrze się znamy?

Tym razem Clare się uśmiechnęła, choć bardzo powściągliwie.

– Nie wspominała, ale mogę się tego domyślić ze sposobu, w jaki o tobie mówi. Czy uczucie jest odwzajemnione?

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o Lindzie Loring. – Zapaliłem papierosa. Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzałem.

Clare lekko się skrzywiła, ale chyba tylko dlatego, że uznała, iż tak należy.

– Przepraszam. Nie chciałam być wścibska.

Otworzyła torebkę, wyjęła papierosy – zatem był to dzień Black Russian – i umocowała jednego w hebanowej fifce. Nachyliłem się nad stolikiem i podałem jej ogień.

– Dobrze – powiedziała i wypuściła dym w kierunku sufitu. – O czym chciałeś rozmawiać?

– Cóż, wydaje mi się, że mamy tylko jeden wspólny temat, pani Cavendish.

Milczała, oswajając się z tonem, jakim wypowiedziałem jej nazwisko.

– Nie sądzisz, że jest chyba trochę za późno na powrót do formalności? – spytała cicho.

– Według mnie lepiej będzie, jeśli ograniczymy się do interesów.

– Ach tak? – Znów posłała mi przelotny uśmiech.

– Cóż, pani liścik z pewnością był bardzo konkretny.

– Tak, chyba był nieco oschły – przyznała, rumieniąc się.

– Proszę posłuchać, pani Cavendish, doszło między nami do pewnych nieporozumień.

– Jakich nieporozumień?

Mówiłem sobie, że nie jest to moment, by pozwalać sobie na gniew.

– Nieporozumień, które chciałbym wyjaśnić.

– Jak mielibyśmy to zrobić?

– To zależy od pani. Mogłaby pani zacząć od powiedzenia prawdy o Nico Petersonie.

– „Prawdy”? Chyba nie wiem, co masz na myśli.

Mój kieliszek był pusty, zjadłem nawet oliwkę. Pochwyciłem wzrok kelnera, a ten skinął głową i ruszył do baru. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Klatka piersiowa i ramiona wciąż bolały jak diabli; w głowie rozbrzmiewało tępe, odległe łupanie, odnosiłem wrażenie, że od zawsze. Potrzebowałem położyć się w chłodnym, ocienionym miejscu i długo odpoczywać.

– To, co mówię, nie jest skomplikowane ani frapujące, pani Cavendish, chociaż napotykam na komplikacje i przyznaję, że jestem zafrapowany. Początkowo sprawa wyglądała prosto. Przychodzi pani do mojego biura i prosi, żebym znalazł pani zaginionego chłopaka. Nie pierwszy raz kobieta siedziała na tym krześle i prosiła mnie o podobną przysługę. Mężczyźni są z reguły słabi i tchórzliwi, a kiedy miłość przemija, wolą dać nogę, niż stanąć przed kochanką i oznajmić, że wszystko skończone. Wysłuchałem pani i chociaż miałem pewne zastrzeżenia...

– Jakiego rodzaju?

Clare pochylała się nad stolikiem w napięciu, trzymając fifkę pod ostrym kątem, a dym szybko szybował w górę prostą strużką.

– Jak już wspomniałem, trudno było mi sobie wyobrazić panią z człowiekiem, jakim, według pani opisu, był Nico Peterson.

– Czyli jakim?

– Nie w pani typie. – Chciała coś powiedzieć, ale jej przerwałem. – Proszę zamilknąć i pozwolić mi kontynuować. – Nie tylko ona potrafiła być szorstka.

Kelner przyniósł mi martini. Z radością powitałem ten przerywnik. Mój głos zaczynał brzmieć jak rzeźący bas, nakładający się na łoskot w głowie. Po łyku chłodnego koktajlu przypomniałem sobie o łani pragnącej wody ze strumienia. Dobrze, że psalmista nie znał wódki.

Zapaliłem papierosa i mówiłem dalej:

– Pomimo zastrzeżeń mówię pani: dobrze, jasne, znajdę go. Potem dowiaduję się, że przeniósł się do krainy wiecznych łowów, następnie, że jednak nie, bo widziała go pani na Market Street w miłym i modnym mieście San Francisco. Mówię sobie: robi się ciekawie, to sprawa na trzy fajki. Znowu zaczynam tropić. Wkrótce potem wokół mnie zaczynają ginąć ludzie. Sam o mały włos nie tracę życia, i to nie raz. Patrzę więc na przebytą krętą drogę i widzę panią w oddali, w miejscu, gdzie zacząłem. Ma pani na twarzy ten nieprzenikniony wyraz, który tak dobrze poznałem. Pytam siebie: czy ta sprawa może być tak prosta, jak początkowo sądziłem? Na pewno nie.

Ja również nachyliłem się nad stolikiem, aż nasze twarze zbliżyły się na trzydzieści centymetrów.

– Dlatego pytam, pani Cavendish, czy ta sprawa jest tak prosta, jak się wydawało? To mam na myśli, proponując, by powiedziała mi pani prawdę. Kiedyś poradziła mi pani, żebym zrobił zakład Pascala. Posłuchałem pani i chyba przegrałem. Nawiasem mówiąc, nie tknęła pani drinka.

Oparłem się na krzesło. Clare Cavendish spojrzała w lewo, w prawo i przed siebie.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że to jest ulubiony stół mojej matki – powiedziała.

– Tak – przyznałem. – Zbieg okoliczności.

– Naturalnie, przecież pan się tu z nią spotkał.

– Dokładnie w tym miejscu.

Z roztargnieniem skinęła głową. Najwyraźniej myślała o wielu sprawach, kalkulowała, podejmowała decyzje. W końcu zdjęła kapelusz i położyła na stoliku obok torebki.

– Mam okropne włosy? – spytała.

– Ma pani śliczne włosy – zapewniłem.

Mówiłem szczerze. Nadal, beznadziejnie i boleśnie, byłem w niej zakochany. Ależ byłem matołem.

– O czym to mówiliśmy? – spytała.

Chyba naprawdę zgubiła wątek. Przyszło mi na myśl, że może nie wie więcej niż ja; może fakt, że zleciła mi odszukanie Nico Petersona, naprawdę nie miał nic wspólnego ze wszystkim, co się stało potem. Przecież to możliwe. Życie jest znacznie bardziej pogmatwane i pokawałkowane, niż się przyznajemy. Pragnąc sensu, ładu i porządku, wymyślamy wątki i na siłę nakładamy je na rzeczywistość. To jedna z naszych słabości, ale trzymamy się jej kurczowo, bo w przeciwnym razie życie całkiem by się nam wymknęło z rąk.

– Mówiliśmy, a raczej ja pytałem, czy potrafi pani wyjaśnić, jak fakt, że poprosiła mnie pani o odszukanie Nico Petersona, wiąże się z porwaniem i zamordowaniem jego siostry, jak to się stało, że sami zabójcy również zginęli, Floyd Hanson się powiesił, a Wilber Canning uciekł z kraju, a ja zostaję z poczuciem, że wszyscy ci ludzie biegali wokół mnie jak stado bizonów.

Clare raptownie uniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Co powiedziałeś o Floydzie Hansonie? W gazecie pisali...

– Wiem, co pisali w gazecie. Hanson nie zginął w wyniku wypadku. Podarł prześcieradło, zrobił sznur i powiesił się na kracie w oknie celi. Tyle że okno nie znajdowało się dostatecznie wysoko od podłogi, więc musiał wisieć z nogami zgiętymi w kolanach, aż się udusił. Niech pani pomyśli, ile musiał w to włożyć wysiłku i determinacji.

Clare pobladła, przez co jej czarne oczy, wielkie, wilgotne i błyszczące, wyglądały tak, jakby miały wyskoczyć z twarzy.

– Dobry Boże – wyszeptała. – Biedny człowiek.

Przyglądałem się jej uważnie. Zawszę potrafię poznać, kiedy mężczyzna gra, ale z kobietami nie mam pewności.

– To brudna sprawa – powiedziałem najłagodniej, jak umiałem. – Lynn Peterson zginęła w okrutny, bolesny sposób. Podobnie Floyd Hanson, choć może na to zasługiwał. Obu Meksykanów zatłuczono na śmierć i chociaż nikt nie powinien im współczuć, było to brutalne i szkaradne. Może nie pojmuje pani w pełni, w co jest pani wplątana, mam taką nadzieję, w każdym razie mam nadzieję, że tak było do tej pory. Teraz już nie może pani udawać. Czy jest więc pani gotowa powiedzieć mi to, co pani wie? Wyjawi mi pani rzeczy, które, o czym jestem przekonany, od początku pani przede mną zataja?

Patrzyła przed siebie, jakby miała przed oczami okropności, i może rzeczywiście widziała je po raz pierwszy.

– Nie mogę... – zaczęła i głos jej się załamał. – Ja nie... – Dłoń zacisnęła w pięść i dotknęła zbielełymi kostkami ust.

Kobieta przy sąsiednim stoli obserwowała ją. Powiedziała coś do towarzyszącego jej mężczyzny, który również spojrzał na Clare.

– Proszę się napić – poradziłem. – To mocny drink, dobrze pani zrobi.

Clare, wciąż z dłonią przyciśniętą do ust, pospiesznie pokręciła głową.

– Pani Cavendish... Clare – wyszeptałem żarliwie, znów pochylając się nad stolikiem. – Przez cały czas utrzymywałem pani nazwisko w tajemnicy. Pewien twardy policjant, właściwie dwóch policjantów, wywierało na mnie sporą presję, żebym wyjawiał, kto kazał mi szukać Nico Petersona. Nic im nie zdradziłem. Zapewniłem, że moje poszukiwania Petersona nie mają nic wspólnego z tym, co się wydarzyło, że tylko zbieg okoliczności sprawił, że wplątałem się w to wszystko. Gliniarze nie lubią zbiegów okoliczności, bo kłócą się z ich

obrazem świata. Tym razem jednak jest im wygodnie wierzyć mi na słowo, chociaż utyskują. Jeśli się okaże, że się myliłem, nie uwierzą, że to była pomyłka, i runą na mnie jak mściwy Jehowa. Trudno, już przez to przechodziłem. Ale jeśli dopadną mnie, dotrą też do ciebie. Wierz mi, to nie będzie przyjemne. Nawet jeżeli z jakiegoś powodu nie dbasz o siebie, pomyśl, jaki to byłby skandal dla twojej matki. Dawno temu widziała już wystarczająco dużo przemocy i nacierpiała się dość jak na jedno życie. Nie każ jej przez to przechodzić znowu.

Umilkłem. Miałem już dość własnego głosu, a do samotnego bębniarza w mojej głowie dołączyła cała sekcja perkusyjna, amatorzy, którzy energią nadrabiali braki techniczne. Nic tego dnia nie jadłem, więc alkohol przeżerał moje bezbronne wnętrza jak kwas. Wpatrzona we mnie Clare Cavendish wydała mi się nagle brzydka; zapragnąłem znaleźć się daleko stąd.

– Daj mi czas – powiedziała. – Potrzebuję czasu, żeby...

Czekałem, choć widziałem, że nie dokończy zdania.

– Żeby co zrobić? – spytałem. – Musisz się z kimś skonsultować?

– Nie. – Zerknęła na mnie szybko. – Czemu tak mówisz?

– Sam nie wiem. Wyglądasz jak ktoś, kto rozważa, co ktoś powie, kiedy doniesiesz o tym, o czym tu dziś rozmawialiśmy.

To była prawda: Clare myślała chyba o tym samym człowieku, o którym myślała tamtej nocy w swojej sypialni, choć nie wiem, jak na to wpadłem. Umysł skrywa w sobie wiele drzwi, które uparcie trzyma zamknięte, aż nadchodzi dzień, gdy ustępują pod naporem, zawiasy puszczają i cała masa rzeczy wypada z ukrycia.

– Daj mi czas – powtórzyła. Obie dłonie, zaciśnięte w pięści, położyła na stole. – Spróbuj zrozumieć.

– Nic innego nie robię – odparłem. – Próbuję zrozumieć.

– Wiem i doceniam to... – Spojrzała na mnie prosząco. – Naprawdę.

Nagle zaczęła się krzątać; papierosy i hebanową fifkę schowała do torebki, założyła kapelusz. Rondo zwisło nad czołem, jakby pieszczone

przez wiatr. Jak mogłem uznać, że jest brzydka, choćby na chwilę? Jak mogłem uważać, że jest kimś innym niż najcudowniejszą istotą, jaką widziałem i jaką kiedykolwiek miałem zobaczyć? Moja przepona uniosła się jak szosa podczas trzęsienia ziemi. Traciłem ją, traciłem tę drogocenną kobietę, chociaż nigdy tak naprawdę jej nie miałem, a ta myśl napełniła mnie przemożnym smutkiem, jakiego chyba nie sposób przeżyć.

– Nie odchodź – poprosiłem.

Clare podniosła na mnie wzrok i zamrugła, jakby zdążyła zapomnieć o mojej obecności i nie wiedziała już, kim jestem. Wstała; widziałem, że lekko drży.

– Jest już późno – rzuciła. – Jestem... Jestem umówiona.

Oczywiście kłamała, ale to nie miało znaczenia. Już we wczesnej młodości nauczono ją kłamać, mówić nieprawdziwe rzeczy, które wszyscy, przynajmniej w jej świecie, brali za oczywistość. Gdy wstawałem od stolika, żebra zachrzęściły mi pod poobijanym ciałem.

– Zadzwonisz do mnie? – spytałem.

– Tak, naturalnie.

Chyba nie usłyszała mojego pytania, ale to też nie miało znaczenia.

Odwróciła się, żeby odejść. Chciałem wyciągnąć rękę i ją powstrzymać, zatrzymać ją przy sobie. Widziałem, jak sięgam i ujmuję ją za łokieć, ale to była tylko moja wyobraźnia. Szepnęła coś, czego nie dosłyszałem, odwróciła się i odeszła, lawirując wśród stolików, ignorując męskie spojrzenia.

Znów usiadłem, choć należałoby raczej powiedzieć, że się osunąłem. Na stoliku stał jej nietknięty drink z samotną oliwką. Na zgaszonym papierosie w popielniczce widniał ślad szminki. Spojrzałem na własne, do połowy wypite martini, na zgniecioną serwetkę, na parę płatków popiołu zdmuchniętych na stolik. To są rzeczy, które zostają, takie rzeczy zapamiętujemy.

Pojechałem taksówką do Barney's Beanery po samochód. Na przedniej szybie znalazłem trzy mandaty za parkowanie. Podarłem je i rzuciłem do rynsztoka. Nie padało, chociaż miałem wrażenie, że jest inaczej.

22

Wtedy po raz drugi znalazłem się o krok od kapitulacji. Obolały na ciele i duszy, nie widziałem, jak mógłbym iść dalej drogą, którą szedłem, jak mi się zdawało, od bardzo dawna, chociaż upłynął pewnie tylko tydzień. Upał nie odpuszczał, wczesnym rankiem ulice spowijał brunatnoniebieskawy smog, przez który, z marnym skutkiem, próbowało się przebić słońce. Miasto przypominało jedno wielkie zainfekowane płuco.

Całymi godzinami siedziałem w biurze z nogami na biurku, bez marynarki i w rozpiętej koszuli, wpatrując się tępo w przestrzeń lub obserwując małą eskadrę much krążących nieustannie wokół żarówki na suficie. Kilka razy ogarniała mnie pokusa, by wyjąć butelkę z szuflady biurka, ale wiedziałem, co się stanie, jeśli ulegnę.

Biuro odwiedziło kilkoro niedoszłych klientów, ale żaden nie został. Jedną z nich była kobieta przekonana, że sąsiadka usiłuje otruć jej kota. Wydała mi się znajoma i w końcu przypomniałem sobie, że kilka lat wcześniej przyszła do mnie z tą samą sprawą i zbyłem ją podobnie jak teraz. Prawdopodobnie zaliczyła wszystkich prywatnych detektywów z książki telefonicznej i robiła drugą rundę. Pewnie należało wyrzucić ją na zbity pysk, ale zrobiło mi się jej żal. Zatopiony w smutku, żałowałem wszystkiego, nawet japońskiego drzewka bonsai, które pewnego dnia kupiłem pod wpływem kaprysu, by ożywiło biuro i dotrzymywało mi towarzystwa podczas długich, pustych godzin, ale teraz umierało pomimo moich wysiłków, żeby je uratować, a może z ich powodu.

W pewien wyjątkowo ospały poranek, kiedy nawet muchom nie chciało się latać, zadzwoniłem do Berniego Ohlsa, by zapytać, co nowego wydarzyło się w sprawie, którą gazety – kiedy Harlan Potter pozwolił się nią zainteresować na parę dni – nazwały Sprawą Klubu Cahuilla. Bernie, chyba równie zgnębiony jak ja, odparł, że nie ma nic nowego. W jego głosie dała się słyszeć chrypka, więc pewnie dalej palił po tym, jak upadł w barze Victora. Ponieważ przyczyniłem się do tego upadku, czułem się winny.

– Ani śladu Canninga – powiedział. – Bartlett nadal nie mówi, bo nie może. Nieźle go załatwiłeś, Marlowe. Wygląda na to, że kula rozerwała tętnicę. Nie dają mu wielkich szans. Meksykańców nadal nie zidentyfikowano.

– Rozmawiałeś znowu z kumplami ze straży granicznej w Tijuanie?

– Niby po co? Ci faceci nic nie wiedzą, a obchodzi ich jeszcze mniej. Ci dwaj szukali pewnie czegoś, co do nich należało i z czym ulotnił się twój kumpel Peterson. Popełnili błąd, wchodząc w drogę Canningowi i jego tak zwanemu kamerdynerowi.

Bernie przerwał, żeby się rozkaszczać, co zabrzmiało jak stary sedan nash z rozwalonym karburatorem.

– A co z tobą? – spytał w końcu. – Nadal kontaktujesz się z tym tajemniczym człowiekiem, który zlecił ci odszukanie Petersona?

– Sporadycznie – odparłem. – Jeszcze mi nie zapłacił.

– Serio? I pomyśleć, na jakie kłopoty naraziłeś się dla niego!

– Wyluzuj, Bernie – poradziłem. – Nie chcę, żebyś udławił się współczuciem.

Zachichotał, co wywołało kolejny atak kaszlu.

– Postaraj się o należność – powiedział, gdy kaszel minął. – Gorzała i fajki nie tanieją.

– Dzięki za radę. Postaram się zapamiętać.

– Na razie, frajerze. – Ze śmiechem, dysząc z trudem, odłożył słuchawkę.

Ledwie położyłem słuchawkę na widełki, telefon zadzwonił znowu, jak zwykle sprawiając, że podskoczyłem. Pomyślałem, że to znowu Bernie, z kolejnym zabawnym powiedzonkiem, ale to nie był on.

– Marlowe? – usłyszałem męski głos, cichy i ostrożny.

– Tak, mówi Marlowe.

– Philip Marlowe?

– Owszem.

– Prywatny detektyw?

– Jak długi jest ten twój kwestionariusz, kolego?

– Mówi Peterson – powiedział po chwili milczenia. – Nico Peterson.

Na dworcu Union panowała godzina szczytu. Główna hala zawsze przypomina mi wielki kościół z suszonej cegły. Zaparkowałem na Alameda, po czym włączyłem się w spieszący się tłum, jakbym zanurzył się w rwącej rzece, jeśli nie liczyć skwaru, zapachu potu, hot dogów i pociągów. Z głośników dobiegały komunikaty, których nikt nie rozumiał. Przechodzący przede mną bagażowy przejechał mi po nodze wózkiem i nawet nie przeprosił.

Ponieważ na dworcu znalazłem się za wcześnie, dla zabicia czasu zatrzymałem się przy kiosku i kupiłem gumę do żucia. Nie żuję gumy, ale nic innego nie przyszło mi do głowy; gazet miałem dość na długi czas. Gruby kioskarsz miał spoconą twarz. Wymieniliśmy utyskiwania na upał, po czym grubas dał mi darmową „Chronicle”, i nie wypadało mu odmówić. Gdy tylko zniknąłem z pola widzenia, wyrzuciłem gazetę do kosza.

Moje podniecenie można porównać z tym, co czuje nastoletnia fanka przed pierwszym koncertem Franka Sinatry.

Już z daleka dostrzegłem w tłumie Petersona. Od razu wiedziałem, że to on. Nie sposób pomylić cienkiego wąsika, natłuszczonych falujących włosów, zbyt jasnej niebieskiej marynarki i jasnych spodni. Zgodnie

z umową siedział na ławce pod dużą tablicą z rozkładem odjazdów i wyglądał na ciężko przestraszonego. Obok stała walizka, którą trzymał za rączkę jakby w obawie, że nagle wyrosną jej nogi i czmychnie.

Jak po nagłym ciosie w brzuch zatrzymałem się, walcząc ze zdziwieniem i dezorientacją. Walizka ze świńskiej skóry, spłowiałej ze starości, ze sfatygowanymi pozłacanymi okuciami, wyglądała znajomo.

Nie widziałem jej od dawna, ale nie mogło być wątpliwości.

Przeciąwszy tłum, stanąłem tuż przed nim.

– Witam, panie Peterson – powiedziałem, a on spojrzał na mnie podejrzliwie i wrogo. Był dokładnie taki, jak się spodziewałem, i jeszcze bardziej. Mocno opalony, z czarnym lśniącem lokiem nad czołem, który wyglądał jak specjalnie ułożony, i pewnie tak było. Rozpięty kołnierzyk koszuli leżał schludnie na klapach marynarki. Nico nosił na szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem, niemal ukrytym w poskręcanych czarnych włosach na piersi.

– Jestem Marlowe – powiedziałem.

– Ach tak?

Peterson spojrzał za mnie, pewnie wypatrując obstawy.

– Przyszedłem sam, tak jak chciałeś.

– Może pokazałbyś jakiś dowód? – Nie wstał z ławki, tylko bacznie mi się przyglądał. Zgrywał się na bezczelnego luzaka, ale tak mocno ścisnął rączkę walizki, że knykcie zbieleły pod opalenizną. Miał zielone oczy swojej siostry. Niesamowicie było w nie patrzeć i widzieć oczy Lynn.

Kiedy wsunąłem rękę pod marynarkę, mimowolnie się skrzywił. Powoli wyjąłem legitymację detektywa i pokazałem mu.

– Dobrze, chodźmy gdzieś porozmawiać. – Wstał i wygiął ramiona tak, by marynarka dobrze leżała. Nico Peterson był zakochany w sobie z wzajemnością.

Właśnie odchodziliśmy, kiedy numery na tablicy odjazdów zmieniły się z donośnym grzechotem i Nico znowu się skrzywił. Kiedy człowiek jest w takim stanie, chrzęst płatków kukurydzianych brzmi jak szczęk

broni repetowanej przez pluton egzekucyjny. Peterson naprawdę nie miał łatwo.

– Wygląda na ciężką – stwierdziłem, kiedy podniósł walizkę. – Czemu nie poprosisz o pomoc bagażowego?

– Daruj sobie żarty, Marlowe – wycedził. – Nie jestem w nastroju. Masz broń?

– Nie.

– Nie? To co z ciebie za prywatny detektyw?

– Taki, który nie łązi wszędzie z bronią. Poza tym dwaj Meksykanie pożyczyci sobie moją.

Nie zareagował tak, jak się spodziewałem. W ogóle nie zareagował.

Znaleźliśmy kafejkę z dala od głównej hali i usiedliśmy w kącie, naprzeciwko drzwi. Ruch był niewielki. Klienci spoglądali na zegarki, zrywali się i wybiegali, ale ich miejsce zajmowali nowi, wolniej napływający do środka. Peterson postawił walizkę za swoim krzesłem pod ścianą.

– Ładny bagaż – powiedziałem.

– Co?

– Walizka. Ładna sztuka, ze złoceniami i całą resztą.

– Nie należy do mnie. – Obserwował drzwi czujnymi, nieco wytrzeszczonymi zielonymi oczami, jak oczy zająca.

– A zatem nie umarłeś.

– Spozregawczy z ciebie gość – odparł i zachichotał nieprzyjemnie.

Podeszła kelnerka i zamówiliśmy kawę. Peterson popatrywał na stojącego przy ladzie typa w szarej fedorze i krawacie ze smokiem.

– Dlaczego do mnie zadzwoniłeś? – spytałem.

– Co takiego?

– Czemu ja?

– Usłyszałem twoje nazwisko i widziałem, że wspomnieli o tobie w gazecie, w doniesieniach o Lynn.

– Czyli wiedziałeś, że cię szukam.

– Jak to: szukasz?

– Badałem okoliczności twojego smutnego zgonu.

– Ach tak? W czyim imieniu?

– Nie możesz się domyślić?

– Jasne, że mogę – odparł z goryczą.

Facet w fedorze dopił kawę i wyszedł, pogwizdując. Poczulem, że Peterson nieco się rozluźnia.

– Rozmawiałem z Mandy Rogers – oznajmiłem.

– Tak? – spytał obojętnie. – Miły dzieciak. – Mandy najwyraźniej przestała zajmować ważne miejsce w jego krajobrazie, o ile kiedykolwiek je zajmowała.

– Przykro mi z powodu twojej siostry – powiedziałem.

– Tak, zawsze miała pecha. – Niemal wzruszył ramionami.

Choć miałem ochotę go walnąć, spytałem tylko:

– Czego ode mnie chcesz, Peterson?

Poskrobał się w brodę paznokciem.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił – rzucił. – Zapłacę sto dolców.

– Co to za przysługa?

– Łatwa. – Znowu patrzył na drzwi. – Przekażesz komuś tę walizkę.

– Tak? A dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Jestem zbyt zajęty. – Znowu ten chichot. Odgłos, który bardzo by mnie drażnił, gdybym musiał go często słuchać.

– Poproszę o trochę szczegółów.

Przyniesiono nam kawę w wielkich białych kubkach, jakie widuje się tylko na dworcach i w lokalach odrobinę lepszych niż najtańsze. Wziąłem łyk kawy i pożałowałem.

– Dobra, układ jest taki – zaczął Peterson. – Wyjdę stąd, zostawiając walizkę pod ścianą. Oczekasz, powiedzmy, pół godziny, potem

weźmiesz ją i zanieziesz facetowi, który nazywa się...

– Lou Hendricks?

– Skąd wiedziałeś? – Znowu łypnął na mnie jak zając.

– Ponieważ pan Hendricks zaprosił mnie na przejażdżkę swoim dużym czarnym autem i mi groził. Zapewniał, że połamię mi nogi, jeśli nie wyjawię mu, gdzie jesteś.

– To nie on cię wynajął, żebyś mnie znalazł? – Nico zmarszczył brwi.

– Nie.

– Po prostu zgarnął cię z ulicy?

– Zgadza się.

Przez chwilę gryzł się w knyki, wreszcie spytał:

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że nie wiem, gdzie przebywasz, a nawet gdybym wiedział, tobym mu nie powiedział. Wspomniałem mu, że podobno nie żyjesz, ale tego nie kupił. Ktoś zdradził mu prawdę.

Peterson przytaknął, zatopiony w myślach. Na czole wystąpił mu pot. Poglaskał wąsik, na którym perlila się wilgoć. Starłem się na niego nie patrzeć. Najgorsza w tym wąsiku była blada przerwa pośrodku, wyglądająca na zbyt intymną część ciała, by pokazywać ją publicznie.

Odepchnąwszy kawę, zapaliłem papierosa.

– Powiesz mi, co się wydarzyło, Nico?

– Nic nie muszę ci mówić! – wybuchnął. – Proponuję ci sto dolarów za robotę. Jesteś gotów to zrobić?

Udałem, że się zastanawiam.

– Jeśli chodzi ci o pieniądze, mogę się bez nich obejść. Co do roboty, zobaczymy.

Wydobył z kieszeni marynarki srebrne puzderko, wyjął z niego małą białą pigułkę i położył sobie pod językiem.

– Boli cię głowa? – spytałem, ale nie uznał za stosowne odpowiedzieć.

– Posłuchaj, Marlowe. Trochę się spieszę. Dostarczysz tę walizkę człowiekowi, o którym rozmawialiśmy, czy nie?

– Jeszcze nie wiem – odparłem. – Co ci się tak spieszy? Boisz się, uciekasz, a skoro ja jestem jedyną osobą, do której mogłeś się zwrócić, to naprawdę nieźle wdepnąłeś. Od pewnego czasu cię tropię i zebrało się kilka spraw, które chciałbym wyjaśnić. Jesteś gotów mówić?

Peterson wyduł usta i ujrzałem nadąsanego bobasa.

– Co chciałbyś wiedzieć? – mruknął.

– Założmy, że wszystko. Zacznijmy od walizki. Co takiego Lou Hendricks chce dostać w swoje łapy?

– Takie tam rzeczy.

– Czyli?

– Posłuchaj, Marlowe...

Chwyciłem go za przegub ręki opartej o stół i ścisnąłem, aż zachręściły kości. Próbował się wyswobodzić, ale trzymałem mocno.

– Boli mnie! – warknął.

– Owszem, a zaboli jeszcze bardziej, jeśli nie zaczniesz mówić. Co jest w tej walizce?

Znów spróbował się uwolnić, ale ścisnąłem go mocniej.

– Puść mnie – jęknął. – Powiem, na miłość boską!

Kiedy rozluźniłem uchwyt, osunął się na krzesło, jakby nagle zeszło z niego powietrze.

– Walizka ma podwójne dno – oznajmił ponuro półgłosem. – Pod spodem jest dziesięć kilo hery w dwudziestu plastikowych torebkach.

– Heroina?

– Ciszej! – Nerwowo rozejrzał się po kawiarni, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. – Tak, heroina, przecież mówię.

– Dostawa dla Lou Hendricksa? Od kogo?

– Od jednego faceta – odparł, wzruszając ramionami. Palcami drugiej ręki masował obolały nadgarstek. W jego oczach płonęła wściekłość. Uznałem, że nigdy nie powinienem dopuścić, by ten człowiek uzyskał nade mną przewagę.

– Jakiego faceta?

– Jednego gościa z południa.

– Nazwisko.

Peterson wyjął białą chustkę z kieszeni na piersi i wytarł usta.

– Znasz Mendy’ego Menendeza?

To nie było nazwisko, które spodziewałem się usłyszeć. Menendez był gangsterem, swego czasu jednym z największych w tych stronach. Potem przeniósł się do Meksyku i ostatnio słyszałem, że działa w Acapulco. Miła praca, o ile można to nazwać pracą.

– Owszem, słyszałem o nim – powiedziałem.

– On i Hendricks współpracują. Menendez co kilka miesięcy posyła mu towar, Hendricks zajmuje się rozprowadzaniem.

– A ty jesteś kurierem.

– Robiłem to kilka razy. Łatwa forsa.

– Za każdym razem przywozisz tyle prochów?

– Mniej więcej.

– Ile jest warte dziesięć kilo heroiny?

– Na ulicy? – Ściągnął usta, potem wyszczerzył się w uśmiechu. – W zależności od zapotrzebowania, mniej więcej tyle, ile taki szpicel jak ty zarobi przez całe życie.

Miał różowe, niemal kobiece usta. To nie w tym człowieku była zakochana Clare Cavendish, nie o nim mówiła tak namiętnie w sypialni, siedząc u boku nieprzytomnego brata. Wystarczyło spojrzeć na Petersona, na te wredne oczy, posłuchać jego jęczącego głosu, by wiedzieć, że Clare nie tknęłaby go hebanową fifką. Nie, był ktoś inny, a teraz wiedziałem już kto. Chyba wiedziałem to już od pewnego czasu, ale człowiek może coś wiedzieć i zarazem nie wiedzieć. Między innymi dzięki temu dajemy radę znosić życie i nie wariować.

– Masz pojęcie, ile istnień ludzkich zniszczą te narkotyki? – spytałem.

– Myślisz, że ćpun zasługuje na to, żeby go ratować? – prychnął.

Utkwiłem wzrok w żarzącym się czubku papierosa. Miałem nadzieję, że zanim się rozstaniemy, nadarzy się okazja, by trzasnąć pięścią w tę

śliczną opaloną twarz Petersona.

– Więc co zrobiłeś? – spytałem. – Postanowiłeś zatrzymać towar i ubić interes na własną rękę?

– Znałem pewnego faceta we Frisco, który powiedział, że za opłatą weźmie wszystko, co mam, i sprzeda mafii, bez zadawania zbędnych pytań.

– Ale się nie udało.

Przełknął ślinę, dobrze to słyszałem. Pomyślałem, że się rozplącze. Numer wydawał się taki prosty. Zatrzymałby walizkę, a jego kumpel sprzedałby narkotyki klientowi, któremu nawet Lou Hendricks, gdyby się o wszystkim dowiedział, nie śmiały się przeciwstawić. Tymczasem Peterson zmierzałby w dalekie strony z forszą, o jakiej w życiu mu się nie śniło.

– Ten mój znajomy miał wypadek. Jego kobita nakryła go z inną, strzeliła mu w twarz, a potem wpakowała sobie kulę w głowę.

– Tragiczna historia – przyznałem.

– Jasne. Tragiczna. Tak zostałem z dwudziestoma torebkami hery, której nie miałem komu sprzedać.

– Nie mogłeś sam zwrócić się do mafii?

– Nie miałem kontaktów. Poza tym... – Zaśmiał się cicho. – Za bardzo się bałem. Potem usłyszałem o Lynn i jeszcze bardziej się przeraziłem. Grunt zaczął mi się palić pod nogami. Wiedziałem, co się stanie, jeśli Hendricks mnie dopadnie.

– Czemu po prostu się nie poddałeś, nie zadzwoniłeś do niego z przeprosinami i nie oddałeś mu walizki?

– Jasne. Hendricks podziękowałby, wziąłby towar, a potem kazałby jednemu ze swoich chłopców powyrywać mi paznokcie obcęgami. Nie znasz tych ludzi.

Tu akurat się mylił, ale nie warto było prostować.

Na mojej kawie pojawiła się połyskliwa warstewka, jakby rozlała się ropa naftowa. Dym papierosowy miał kwaśny smak. Człowiek czuje się

zbrukany przez samą obecność takiego taniego oszusta jak Peterson.

– Cofnijmy się trochę – zaproponowałem. – Opowiedz, jak sfingowałaś swoją śmierć.

Peterson westchnął gniewnie.

– Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać, Marlowe? Ile mam odpowiadać na twoje durne pytania?

– Tak długo, jak będzie trzeba. Ciekawski ze mnie człowiek. Spraw mi przyjemność.

W roztargnieniu znowu zaczął masować nadgarstek, na którym dostrzegłem sińce. Nie sądziłem, że mam stalowe szpony.

– Znałem Floyda Hansona – powiedział naburmuszonym tonem. – Wpuszczał mnie do klubu pod nieobecność starego.

– Jak to?

Znowu się skrzywił i przestał być ślicznym chłopcem.

– Ojciec mnie wydziedziczył, zabronił zbliżać się do jego cennego klubu Cahuilla. A ja lubiłem tam chodzić, upijać się i rzygać na jego indiańskie kilimy.

– Co takiego miałeś na Hansona?

– A musiałem coś na niego mieć?

– Raczej tak. Przecież sporo ryzykował, wpuszczając cię do klubu. Spotkałem twojego ojca. Nie sprawia wrażenia tolerancyjnego człowieka. Płaciłeś Hansonowi?

Nico się zaśmiał. To był jego pierwszy autentyczny śmiech, jaki usłyszałem.

– Nie musiałem mu płacić. Wiedziałem o nim pewne rzeczy. Kiedy byłem młody, próbował się do mnie dobierać. Potem mówił, że nie wiedział, co go naszło, i błagał, żebym nie powtórzył staremu. Obiecałem, że nie powtórzę, ale dałem mu do zrozumienia, że od tej pory mamy układ. – Peterson uśmiechnął się do siebie, dumny z własnego sprytu.

– Czyje było to ciało, które ubrałeś w swoje ciuchy i porzuciłeś na poboczu?

– Jakiegoś włóczęgi zatrudnionego w klubie – odparł.

– Zabiłeś go?

Peterson cofnął się i otworzył szeroko oczy.

– Odbiło ci?

– W takim razie musiał to zrobić Hanson. – Zamilkłem. – Zabawne, ale nie uważałem go za zabójcę. Nie sądziłem, że ma dość odwagi.

Po chwili namysłu powiedział potulnie:

– Nie pytałem go o to ciało. Uznałem, że ten człowiek zmarł śmiercią naturalną. Nie widziałem na ciele żadnych śladów. Floyd i ja ubraliśmy go w garnitur na tyłach klubu, potem zawieźliśmy na taczkach na szosę. Przez cały wieczór zachowywałem się jak pijany, pilnowałem, żeby wszyscy mnie zobaczyli...

– Włącznie z Clare Cavendish.

– Tak, Clare tam była. Umówiłem się z Lynn, że rozpozna ciało i zorganizuje kremację. Wszystko zapiąłem na ostatni guzik. Samochód czekał przy szosie, a kiedy tylko Floyd i ja zrzuciliśmy ciało z tacek, pojechałem na północ, z walizką w bagażniku. To powinno było się udać. – Uderzył się pięścią w dłoń. – Powinno było się udać.

– Twój ojciec o tym wie?

– Nie sądzę. Skąd miałyby się dowiedzieć? Floyd nie pisnąłby ani słowa. – Wziął z popielniczki zapalną i zaczął obracać między palcami. – Dlaczego się z nim spotkałeś?

– Z kim? Z twoim ojcem? Poszedłem do klubu zapytać o ciebie. Hanson nie okazał się zbyt pomocny. Potem pojawili się dwaj Meksykanie, którzy szukali ciebie i zabili twoją siostrę. Twój ojciec i Bartlett dopadli ich i załatwili. Kiedy to się działo, popełniłem błąd i ponownie odwiedziłem klub. Zanim się spostrzegłem, wrzucili mnie do basenu, żeby wyciągnąć ze mnie wszystko na twój temat. Twój ojciec robi wrażenie. Pełen determinacji. Rozumiem, że wam się nie układało.

Patrzyłem, jak kelnerka skrycie robi sobie przerwę. Wyblakła blondynka o smutnych oczach i nieszczęśliwych ustach. Raz po raz wysuwała dolną wargę i dmuchała w górę, aż wilgotna grzywka unosiła się nad czołem i opadała. Nagle zrobiło mi się żal tej dziewczyny, która wiodła takie marne życie, cały dzień biegając tam i z powrotem w hałasie, smrodzie, w tłumie niecierpliwych, rozdrażnionych ludzi. Potem pomyślałem: kim jestem, żeby się nad nią użalać? Co wiem o niej i jej życiu? Co wiem o kimkolwiek?

– Nienawidzę tego starego sukinsyna – rzucił Peterson nieobecny głosem. – Już na samym początku spieprzył mi życie.

Jasne, chciałem powiedzieć. Dla ludzi takich jak ty winę zawsze ponosi ojciec.

– Wiesz, że twój ojciec uciekł? – spytałem.

– Naprawdę? – Ucieszył się Nico. – Dlaczego?

– Zabił albo kazał zabić tych Meksykanów.

– Naprawdę? – To go wyraźnie bawiło. – Dokąd wyjechał?

– Wiele osób chciałoby to wiedzieć.

– Na pewno jest w Europie. Ma nam skitrany szmal. Występuje pod fałszywym nazwiskiem. – Zachichotał, niemal z podziwem. – Nigdy go nie znajdą.

Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu, w końcu Peterson się poruszył.

– Muszę spadać, Marlowe – rzucił. – To jak będzie? Dostarczysz walizkę Hendricksowi?

– Zgoda, dostarczę towar – odparłem.

– Dobrze. Ale niech ci nic głupiego nie strzeli do głowy. Uprzedzę Hendricksa, że masz walizkę.

– Rób, jak chcesz – zgodziłem się.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął plik banknotów, położył na kolanach pod stołem i zaczął odliczać. Sporo miał tej sałaty. Liczyłem na to, że nie majstrował przy towarze Mendy'ego Menendeza i nie zastąpił

części heroiny gipsem. Hendricks nie był tak głupi, by dać się nabrać na ten stary numer.

– Nie chcę twojej forsy, Peterson – powiedziałem.

Zerknął na mnie podejrzliwie.

– Dlaczego? – spytał. – Prowadzisz działalność charytatywną?

– Te banknoty przechodziły przez ręce, których nie chciałbym dotykać.

– To dlaczego...?

– Lubilem twoją siostrę – wyjaśniłem cicho. – Podobało mi się jej nastawienie. Powiedzmy, że robię to dla niej. – Gdyby nie moje spojrzenie, wybuchnąłby śmiechem. – A co z tobą? Jakie masz plany? – spytałem. Mało mnie to obchodziło, ale chciałem mieć pewność, że więcej go nie zobaczę.

– Mam kumpla – powiedział.

– Jeszcze jednego?

– Pracuje na statkach pasażerskich w Ameryce Południowej. Może załatwić mi pracę. Kiedy dopłyniemy do Rio czy Buenos Aires, zwieję z pokładu i zacznę nowe życie.

– Jaką pracę oferuje ci ten kolega?

– Nic trudnego – odparł z uśmiechem. – Trzeba być miłym dla pasażerów, pomagać w drobnych problemach, takie tam.

– Czyli twój ojciec miał rację. Sprawa stanie się oficjalna.

– Co masz na myśli?

– Zostaniesz oficjalnym, płatnym członkiem honorowego zakonu żigolaków.

– Ciekawe słowa, jak na szlifibruka – stwierdził, a uśmiech znikł mu z twarzy. – Pomyśl tylko: wciąż będziesz śledził mężów, żeby przyłapać ich na bzykaniu kochanek, podczas gdy ja będę się opalał na hamaku w słońcu południa.

Zaczął wstawać, ale jeszcze raz chwyciłem go za nadgarstek.

– Mam ostatnie pytanie.

Peterson obliznął słodką usteczkę, zerknął z tęsknotą na drzwi i usiadł powoli.

– O co chodzi?

– O Clare Cavendish. Ona twierdzi, że coś was łączyło.

Tak wytrzeszczył oczy, że o mały włos nie wypadły.

– Tak mówiła? – Zaśmiał się cicho. – Naprawdę?

– Twierdzisz, że kłamała?

Pokręcił głową, nie tyle przecząc, ile w zdumieniu.

– Nie twierdzą, że bym ją odtrącił. Kto by to zrobił? Ale nigdy jej się nie podobałem. To prawdziwa dama, nie moja liga.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć – powiedziałem, puszczając jego rękę. – Możesz iść.

On jednak nie ruszył się z miejsca, tylko zmrużył oczy.

– To ona cię wynajęła, żebyś mnie odszukał, tak? – Skinął głową. – Jasne, wszystko pasuje.

Patrzył na mnie tak, jak ja wcześniej na kelnerkę, z politowaniem.

– On ją do ciebie posłał, prawda? Mówił o tobie, wtedy po raz pierwszy usłyszałem twoje nazwisko. Wiedział, że ona cię weźmie... te jej oczy, włosy, zachowanie lodowej pani. Wiedział, że nie zdołasz jej się oprzeć. – Peterson odchylił się na oparcie, a na jego twarzy rozlał się powoli szeroki uśmiech. – Jezu, Marlowe, ty biedny frajerze. – Po tych słowach wstał i znikł.

Obok kasy znajdowała się kabina telefoniczna. Wcisnąłem się do środka i zamknąłem za sobą harmonijkowe drzwi. Wewnątrz pachniało potem i ciepłym bakelitem. Przez szybę widziałem walizkę pod stolikiem przy ścianie. Może miałem nadzieję, że ktoś ją zwędzi i ucieknie, choć dobrze wiedziałem, że takie rzeczy się nie zdarzają, nie wtedy, gdy tego chcesz.

Wybrałem numer Langrishe Lodge. Odebrała Clare.

– Mówi Marlowe. Powiedz mu, że chcę się z nim widzieć.

Usłyszałem, jak Clare wstrzymuje oddech.

– Z kim?

– Dobrze wiesz z kim, do cholery. Powiedz mu, żeby przyleciał pierwszym samolotem. Dotrze tu na noc. Kiedy będzie na miejscu, zadzwoń.

Zacząła coś mówić, ale odłożyłem słuchawkę.

Kiedy wróciłem do stolika, podeszła kelnerka. Ze zmęczonym uśmiechem sięgnęła po dwie filiżanki.

– Nie wypił pan kawy.

– Nie szkodzi. Lekarz twierdzi, że i tak za dużo jej piję. – Wręczyłem kelnerce banknot pięciodolarowy i powiedziałem, że reszty nie trzeba.

Spojrzała na mnie niepewnie.

– Kup sobie kapelusz – poradziłem jej.

23

Biorąc pod uwagę zawód, który wybrałem – zakładając, że go wybrałem, a nie wpadłem do niego jak wpada się do otwartego kanału – powinienem umieć czekać, a jednak nie miałem odpowiedniego nastawienia. Owszem, bez problemu mogę marnować czas. Całymi godzinami mogę przesiadywać w fotelu obrotowym w biurze, wypatrywać przez okno tej sekretarki z naprzeciwka zgarbionej nad dyktafonem i raz ją widzieć, raz nie. Potrafię ślęczeć nad gambitem królewskim, aż figury stają się nieostre, a od widoku szachownicy powoli zaczyna mi się kręcić w głowie. Umieję siedzieć nad piwem w zatęchłej knajpie i słuchać opowieści barmana o tym, jak durna jest jego żona, dzieci nie mają dla niego za grosz szacunku, nawet nie raczą ziewnąć. Urodzony marnotrawca czasu to ja. Wystarczy jednak, że mam czekać na coś konkretnego, a po pięciu minutach zaczynam podrygiwać.

Tego dnia zjadłem wczesny lunch w Rudy's Bar-B-Q na La Cienega: żeberka polane czymś podobnym do ciemnoczerwonego lakieru i smakującym podobnie. Przysmak ten popiłem meksykańskim piwem, co, w pewien chorobliwy sposób, wydawało się stosowne. Meksyk od samego początku stanowił motyw przewodni, gdybym tylko wykazał się wystarczającą bystrością, żeby to dostrzec. Potem na trochę wróciłem do biura, w nadziei że pojawi się klient. Ucieszyłby mnie nawet widok starszej pani, której sąsiadka usiłowała otruć kota. Minęła jednak godzina, godzina jak trzy, a ja byłem zdany tylko na siebie. Zwędziłem parę łyków z biurowej flaszki. Wypaliłem papierosa. Panna Remington

z naprzeciwka wyłączyła dyktafon i zakładała futerał na maszynę do pisania. Wkrótce wyjmie puderniczkę i zajmie się noskiem, zerkając w lusterko i ściągając usta w ciup, potem przesunie grzebieniem po włosach, zatrzaśnie torebkę i ruszy do domu. O tak, nieźle poznałem jej zwyczaje.

Sprawdziłem repertuar kin. W Roxie pokazywali *Końskie pióra*. Brzmiało nieźle: Groucho i chłopcy pomogą mi miło zabić kilka godzin. Poszedłem, kupiłem bilet na balkon, bileterka zaprowadziła mnie na miejsce. Ruda dziewczyna z grzywką, słodkimi ustami i przyjaznym spojrzeniem. W foyer stała inna ślicznotka w stroju pokojówki, z papierosami i lodami na tacy. Krótka spódniczka, kołnierz z białej koronki i czapeczka podobna do odwróconej papierowej łódki. W kinie znajdowało się może dziesięć osób, samotników jak ja, siedzących jak najdalej od siebie.

Ciemnoczerwona kurtyna rozsunęła się z szumem, światła zgasły i na ekranie pojawiła się zapowiedź *Narzeczonej goryla* z Lonem Chaneyem i Barbarą Payton oraz Raymondem Burrem w roli zarządcy plantacji w południowoamerykańskiej dżungli, na którego rzuciła klątwę miejscowa wiedźma, więc co noc zamieniał się w wiecie co i sprawiał, że piękne kobiety wrzeszczały, a mężczyźni się chowali. Następnie obejrzałem reklamy papierosów Philip Morris, płynu do czyszczenia Clorox i tym podobnych, wreszcie kurtyna opadła i reflektor punktowy wydobył z mroku dziewczynę z lodami. Ślicznotka przybrała pozę, zgięła kolano, przechyliła główkę, błysnęła kusząco zębami, ale nikt się nie skusił, więc po chwili reflektor zgasł ze zniechęconym kliknięciem, kurtyna się rozsunęła i zaczął się film.

Siedziałem i czekałem, aż wygłupialscy bracia mnie zaczarują, ale tak się nie stało. Nie śmiałem się ani ja, ani nikt inny. Komедie mają sens tylko przy pełnej widowni. Gdy sala jest prawie pusta, człowiek widzi, jak po każdym żarcie następuje celowa przerwa na huragan śmiechu widzów, a ponieważ tego wieczoru nikt się nie śmiał, film

zaczął smucić. W połowie wstałem i wyszedłem. Za wahadłowymi drzwiami rudowłosa siedziała na krześle i piłowała paznokcie. Spytała, czy coś mi dolega; zapewniłem, że nic, ale po prostu chcę zaczerpnąć świeżego powietrza. Bileterka uśmiechnęła się słodko, co jeszcze bardziej mnie zasmuciło.

Zapadał zmierzch, a gorące, zadymione powietrze przywodziło na myśl stację metra. Szedłem bulwarem, nie myśląc o niczym szczególnym. Mój stan zawieszenia przypominał samopoczucie człowieka przed operacją. Co ma być, to będzie. Zresztą to, co miała przynieść noc, będzie w dużej mierze jak pokłosie czegoś, co już się wydarzyło. Nie sądziłem, że mogę dostać w kość znacznie bardziej, niż już dostałem. Człowiek hartuje się, przyjmując od życia ciosy, począwszy od chwili, gdy jest wystarczająco dorosły, by odczuwać ból serca; potem jednak przychodzi cios silniejszy od dotychczasowych i pojmujesz, jaki jesteś miękki, jak miękki będziesz zawsze.

Zatrzymałem się przy skrzynce pocztowej, sprawdziłem godziny jej opróżniania i ujrzałem, że dopiero co wyjęto z niej listy. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem kopertę, wsunąłem w otwór i usłyszałem, jak spada na dno.

Cahuenga Building świecił pustkami, jeśli nie liczyć nocnego strażnika w szklanej budce przy windzie oraz dozorca, bardzo wysokiego Murzyna imieniem Rufus. Rufus zawsze przyjaźnie do mnie zagadywał. Czasem podrzucałem mu cynk na wyścigi konne, ale nie wiem, czy kiedykolwiek obstawił. Kiedy wysiadłem z windy, ujrzałem, jak w zamyśleniu przesuwając mokrym mopem po podłodze korytarza. Miał co najmniej dwa metry wzrostu i dużą, kształtną afrykańską głowę.

– Pracuje pan dziś do późna, panie Marlowe? – zapytał.

– Czekam na telefon – odparłem. – U ciebie wszystko w porządku, Rufus?

– Zna mnie pan, panie Marlowe. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Stary Rufus jest zawsze zdrow jak rydz.

– Jasne.

W biurze nie zapaliłem światła. W ciemności przekręciłem fotel tak, żeby móc patrzeć na światła miasta i księżyc nad niebieskimi wzgórzami w oddali. Z szuflady wyciągnąłem butelkę, ale zaraz ją schowałem. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem tej nocy, był szum w głowie.

Zadzwoiłem do Berniego Ohlsa, lecz nie zastałem go w pracy. W sfatygowanym notesie odszukałem jego numer domowy. Nie lubił, gdy dzwoniono do niego do domu, ale miałem to gdzieś. Odebrała żona, a kiedy się przedstawiłem, pomyślałem, że odłoży słuchawkę. Mimo to zawołała męża, potem usłyszałem, jak Bernie wrzeszczy coś z oddali, w końcu rozległy się kroki na schodach.

– To twój kumpel Marlowe – oznajmiła kwaśno pani Ohls.

– Czego chcesz, Marlowe? – warknął.

– Cześć, Bernie, mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Darujmy sobie uprzejmości. O co chodzi?

Opowiedziałem mu o Petersonie. Niemal słyszałem, jak strzyże uszami.

– Widziałeś się z nim? Gdzie?

– Na dworcu Union. Zadzwoił do mnie i kazał tam przyjść. Wybrał dworzec, bo miał ze sobą walizkę i nie chciał się rzucać w oczy.

– Jaką walizkę? – spytał po chwili.

– Zwyczajną. Angielską, ze świńskiej skóry, ze złoceniami.

– Ale co w niej jest?

– Heroina warta pierdylion dolców. Własność niejakiego Menendezza. Pamiętasz naszego starego przyjaciela Mendy'ego, obecnie mieszkającego na południe od granicy?

Znów zamilkł. Poczułem, jakby ktoś zakręcał pokrywkę garnka ciśnieniowego. W miarę upływu lat opanowanie Berniego regularnie słabło; uważałem, że naprawdę powinien coś z tym zrobić.

– Dobra, Marlowe – rzucił w końcu zduszonym głosem. – Zaczynj wyjaśniać.

Tak też zrobiłem. Słuchał w milczeniu przerywanym prychnięciami wyrażającymi zdziwienie lub niesmak. Kiedy skończyłem, wziął głęboki wdech, co sprawiło, że się rozkaszał. Odczekałem ze słuchawką z dala od ucha.

– Chcę dobrze zrozumieć – wydyszał. – Peterson przemyślał prochy Menendezza z Meksyku dla Lou Hendricksa, aż wpadł na genialny pomysł, żeby zatrzymać porcję dla siebie i sprzedać dżentelmenom włoskiego pochodzenia. Transakcja się nie powiodła, ludzie zaczęli ginąć, a Peterson miał czelność zatrudnić cię...

– Tylko próbował.

– ...żebyś dostarczył walizkę Hendricksowi.

– Tak to mniej więcej wygląda. – W słuchawce rozległo się szuranie i trzask zapalki. – Bernie, zapalasz papierosa? Nie masz dość kaszlu?

Zaciągnął się i wypuścił dym.

– Więc gdzie jest teraz ta walizka? – spytał.

– W schowku bagażowym na dworcu. Klucz do schowka leży w kopercie w skrzynce pocztowej na South Broadway. Otrzymasz go jutro z drugą pocztą. Uprzedzając twoje pytanie, zrobiłem to, ponieważ obiecałem Petersonowi, że dam mu czas na ucieczkę.

– I gdzie on teraz jest?

– Popłynął w rejs do Ameryki Południowej.

– Boki zrywać.

– Nie warto go ścigać, Bernie. Nie marnuj energii i nie irytuj się jeszcze bardziej.

– Co z Hendricksem?

– Ale o co pytasz?

– Powinienem go zaprosić na pogawędkę.

– Pod jakim zarzutem? Narkotyków nie dostarczono, ty je masz albo dostaniesz, kiedy jutro w południe znajdziesz na wycieracze klucz. Nic

nie łączy Hendricksa z tą sprawą.

Bernie sięgnął po kolejnego papierosa. Nikt nie czerpie takiej frajdy z palenia jak człowiek, który jakoby rzucił.

– Zdajesz sobie sprawę, że po czterech trupach, włącznie z tym osiłkiem Canninga... Nawiasem mówiąc, jak on się nazywał?

– Bartlett.

– Włącznie z nim. Zmarł dziś po południu.

– Szkoda – powiedziałem takim tonem, jakbym tak uważał.

– Tak czy owak, mimo tylu zabójstw i całego bałaganu, nikomu nie postawiłem zarzutów, nie mam w areszcie nawet jednego podejrzanego.

– Jeśli to by cię uszczęśliwiło, mógłbyś zamknąć mnie za sprzątnięcie Bartletta – podpowiedziałem. – Ale sprawa w sądzie wyglądałaby marnie.

Bernie westchnął. Zmęczenie dawało się mu we znaki. Chciałem podsunąć mu pomysł przejścia na emeryturę, ale ugryzłem się w język.

– Oglądasz boks, Marlowe? – spytał po chwili.

– W telewizji?

– Tak.

– Czasami.

– Dziś wieczorem oglądałem walkę. Kiedy zadzwoniłeś, Sugar Ray wycierał ring Joeyem Maximem. Teraz, z mojej prywatnej kryjówki, gdzie trzymam telewizor, dobiega odgłos gongu i wrzawa. To pewnie oznacza, że Joey leży na ringu i wypłuwa krew i zęby. Żałuję, że nie widziałem, jak leci po raz ostatni. Nie mam nic przeciwko dużemu Joeyowi, to przystojny gość i odważny bokser. Założę się, że zanim zgasili mu światło, walczył dzielnie. Po prostu żałuję, że nie widziałem końca walki. Wiesz, co mam na myśli?

– Przepraszam, Bernie. Za żadne skarby nie chciałbym ci psuć przyjemności, ale myślałem, że będziesz chciał usłyszeć o Petersonie i całej reszcie.

– Masz rację, Marlowe, jestem ci wdzięczny za nowiny. Ale wiesz, co możesz teraz z nimi zrobić? Chcesz wiedzieć, co możesz zrobić?

– Niespecjalnie, ale podejrzewam, że i tak mi powiesz.

Miałem rację. Sugestie Berniego były plastyczne, głośnie i w znacznej mierze niepraktyczne pod względem anatomicznym.

Kiedy skończył, grzecznie powiedziałem mu „dobranoc” i odłożyłem słuchawkę. Bernie nie jest złym gościem. Jak już mówiłem, ma krótki zapalnik, który w dodatku staje się coraz krótszy.

Oparłem nogi na biurku. Za oknem wciąż widziałem świat. Dlaczego miejskie światła, oglądane z oddali, wydają się migotać? Z bliska świecą równomiernie. To musi mieć związek z powietrzem, może z milionami drobin pyłu. Wszystko sprawia wrażenie ustalonego, ale takie nie jest. Porusza się. Na przykład biurko, na którym trzymałem nogi, wcale nie było ciałem stałym, ale chmurą tak mikroskopijnych cząstek, że żadne ludzkie oko nie mogło ich dostrzec. Jeśli się nad tym zastanowić, świat jest przerażającym miejscem. Nie mówiąc już o ludziach.

Wcześniej sądziłem, że Clare Cavendish może złamać mi serce. Nie zdawałam sobie sprawy, że już jest złamane. Uczymy się każdego dnia, Marlowe, każdego dnia.

24

Zadzwonila wkrótce po dziesiątej. Moja wola osłabła, wyjąłem butelkę ze skrytki w szufladzie biurka i nalałem sobie skromną lufkę burbona. Gorzała nie wydaje się aż tak poważną sprawą, kiedy pije się ją z papierowego kubka. Whisky zapiekła mnie w usta, już obolałe od papierosów wypalonych w ciągu długiego dnia. Z pewnością nie ja powinienem mówić Berniemu Ohlsowi, żeby rzucił nałóg.

Sekundę przed dzwonkiem telefonu wiedziałem, że zadzwoni.

– On jest tutaj – powiedziała przyciszonym głosem, niemal szeptem. – Przyjedź tak jak wtedy pod oranżerię. I nie zapomnij zgasić przednich świateł.

Nie pamiętam, co odpowiedziałem. Może nic. Wciąż trwałem w osobliwym, onirycznym stanie zawieszenia, jakbym unosił się poza własnym ciałem, obserwował swoje działania, ale nie brał w nich udziału. Pewnie był to efekt długiego czekania i marnowania czasu.

Rufus poszedł do domu, umyta podłoga dawno już wyschła, ale podeszwy moich butów skrzypiały, jakby wciąż była mokra. Nocne powietrze, wreszcie oczyszczone od dymu, przyjemnie się ochłodziło. Samochód zostawiłem na Vine, pod latarnią. Teraz wyglądał jak duże ciemne zwierzę przyczajone na chodniku, a przednie światła patrzyły na mnie groźnie. Zanim silnik zapalił z grzechotem, wydał serię kaszlnięć i prychnięć. Prawdopodobnie należało zmienić olej albo coś w tym rodzaju.

Chociaż jechałem powoli, wkrótce ujrzałem ocean. Skręciłem w prawo na autostradę; po lewej miałem teraz fale kipieli jak ze świata duchów. Włączyłem radio. Rzadko z niego korzystałem; czasami na długo zapomniałem, że w ogóle je mam. Popłynęły dźwięki starego utworu zespołu Paula Whitemana, gorącej muzyki ułożonej na użytek mas. Nie pytajcie mnie, skąd gość nazwiskiem Whiteman miał odwagę, żeby grać jazz.

Tuż przede mną przemknął królik z nienaturalnie jasnym ogonkiem w świetle przednich świateł. Mogłem przeprowadzić porównanie między tym zwierzęciem a sobą, ale czułem się zbyt odłączony, by zawracać sobie głowę.

Dojechawszy do bramy, zgasilem światła, zdjąłem nogę z gazu i pozwoliłem, by samochód powoli się zatrzymał. Księżyc zaszedł i zapanowała nieprzenikniona czerń. Drzewa przypominały wielkich ociemniałych brutali idących po omacku przez noc. Przez pewien czas siedziałem wsłuchany w tykot silnika. Czułem się jak podróżnik, który dotarł do kresu długiej, męczącej trasy. Bardzo pragnąłem odpocząć, ale wiedziałem, że jeszcze nie mogę.

Wysiadłem z samochodu i stałem obok niego przez minutę, wdychając nocne powietrze. Jeśli pominąć swąd spalin, noc pachniała trawą, różami i roślinami, których nazw nie znałem. Ruszyłem przez trawnik. Dom przede mną stał pogrążony w ciemności, tylko na parterze w kilku oknach paliło się światło. Kiedy dotarłem do żwirowego łuku przed frontowymi drzwiami, skręciłem w lewo. Aromat róż był intensywny, słodki, niemal obezwładniający.

Coś zatrzepotało w pobliżu i stanąłem, ale nic nie widziałem w ciemności. Potem mignęło coś w kolorze połyskliwego ciemnego błękitu, rozległ się świst i natychmiast ucichł. To musiał być paw. Liczyłem na to, że nie wrzaśnie, bo moje nerwy by tego nie zniosły.

Kiedy obszedłem dom i ruszyłem w stronę oranżerii, usłyszałem dźwięki fortepianu i zatrzymałem się, by posłuchać. Domyśliłem się, że

to Szopen, choć mogłem się mylić; dla mnie każda muzyka fortepianowa brzmi jak Szopen. Te ciche dźwięki dobiegające z oddali uroczo szarpały za serce i... Cóż, po prostu chwyciły za serce. Tylko pomyśl, powiedziałem do siebie, pomyśl, że potrafisz wyczarowywać coś takiego z dużej czarnej skrzyni z drewna, kości słoniowej i naciągniętych drutów.

Przeszklone drzwi oranżerii były zamknięte na klucz, ale dzięki wiernemu wytrychowi na breloczku po kilku sekundach znalazłem się w środku.

Podążałem za muzyką. W półmroku przeszedłem pomieszczenie będące, jak pamiętałem, salonem, minąłem krótki, wyłożony dywanem korytarz, na końcu którego znajdowały się drzwi prowadzące, jak się domyślałem, do pokoju muzycznego. Skradałem się bezgłośnie, ale gdy od drzwi dzieliło mnie jakieś pięć metrów, muzyka urwała się w połowie frazy. Stałem, nasłuchując, lecz w ciszy rozlegało się tylko miarowe, niskie bzyczenie wadliwej żarówki w wysokiej lampie za moimi plecami. Na co czekałem? Czyżbym oczekiwał, że drzwi otworzą się na oścież i z pokoju wypadnie tłum miłośników muzyki, którzy zaproszą mnie do środka i posadzą w pierwszym rzędzie?

Nie zapukałem, przekręciłem tylko klamkę, pchnąłem drzwi i wszedłem.

Clare siedziała przy fortepianie. Gdy przekraczałem próg, zamykała klawiaturę i odwracała się bokiem na stołku, by na mnie spojrzeć. Musiała mnie usłyszeć w korytarzu. Jej twarz nie wyrażała nic, nawet zdziwienia z powodu mojego nagłego przybycia. Miała na sobie długą ciemnoniebieską suknię ze stójką. Wysoko upięte włosy odsłaniały kolczyki i naszyjnik z brylantami. Słowem, ubrała się jak na koncert. Tylko gdzie publiczność?

– Witaj, Clare – powiedziałem. – Nie przestawaj grać.

W wysokich oknach zaciągnięto zasłony. Jedyne światło w pokoju pochodziło z dużej mosiężnej lampy stojącej na wieku fortepianu.

Kloszem była kula z białego szkła, podstawie lampy nadano kształt lwiej łapy. Typowy przedmiot, jaki matka Clare uznawała za ostatni krzyk mody. Wokół lampy stało kilkadziesiąt fotografii w srebrnych ramkach różnych rozmiarów. Na jednej poznałem Clare jako młodą dziewczynę, z wiankiem w krótkich jasnych włosach.

Kiedy wstała, suknia zaszeleściła. To jeden z kobiecych odgłosów, od którego serce mężczyzny zawsze przyspiesza, bez względu na okoliczności. Twarz Clare nadal nie mówiła nic o jej uczuciach.

– Nie słyszałam twojego samochodu – powiedziała. – Może grałam za głośno.

– Zostawiłem go przy bramie – wyjaśniłem.

– Tak, ale zazwyczaj słyszę, kiedy samochód zatrzymuje się w pobliżu.

– W takim razie to przez muzykę.

– Tak, byłam rozproszona.

Staliśmy tak, w odległości może pięciu metrów, patrząc na siebie bezradnie. Nie przypuszczałem, że to będzie takie trudne. Kapelusz trzymałem w dłoni.

– Gdzie on jest?

Wyprostowała ramiona, uniosła głowę, a jej nozdrza zafalowały, jak gdybym powiedział coś obraźliwego.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – spytała.

– Powiedziałaś, żebym przyjechał. Przez telefon.

Uniosła brwi.

– Tak powiedziałam?

– Owszem.

Była myślami gdzieś indziej. O tak, roztargnienie to dobre określenie jej stanu. Gdy odezwała się znowu, mówiła nienaturalnie głośno, jakby słowa miały nieść się daleko.

– Czego od nas chcesz?

– Wiesz co? – odparłem. – Teraz, gdy pytasz, już sam nie jestem pewien. Sądziłem, że mógłbym wyjaśnić kilka spraw, ale nagle nie potrafię sobie przypomnieć dokładnie, o co chodziło.

– Kiedy zadzwoniłam, sprawiałeś wrażenie bardzo rozgniewanego.

– To dlatego, że czułem gniew. Nadal czuję.

– Nie okazujesz tego. – Usta Clare drgnęły w grymasie, który można by uznać za uśmiech.

– Uczą tego w szkole dla detektywów. To się nazywa „maskowanie uczuć”. Tobie też nieźle to wychodzi.

– Zechcesz mi wyjaśnić, o co się gniewasz?

Roześmiałem się, w każdym razie wydałem z siebie odgłos śmiechu i pokręciłem głową.

– Och, kochanie. Od czego mam zacząć?

Po mojej lewej ręce rozległ się gulgot, jakby duszonego człowieka, a odwróciwszy się, ze zdziwieniem ujrzałem rozciągniętego na kanapie Richarda Cavendisha, który spał albo stracił przytomność. Jakim cudem nie zauważyłem go po wejściu do pokoju? Ciało na kanapie: akurat tego nie powinienem przeoczyć. Richard leżał na wznak, szary na twarzy, z rozdziawionymi ustami, rękami po bokach i rozrzuconymi nogami. Miał na sobie dzinsy, błyszczące kowbojskie buty i kraciastą koszulę.

– Wtoczył się jakiś czas temu, pijany w sztok – powiedziała Clare. – Prześpi wiele godzin, a rano niczego nie będzie pamiętał. Często tak jest. Myślę, że przyciągają go dźwięki muzyki, chociaż muzyka budzi w nim odrazę, przynajmniej tak mi mówi. – Znowu ten spięty uśmiech. – To chyba jak z ćmą i płomieniem.

– Mogę usiąść? – spytałem. – Jestem trochę zmęczony.

Wskazała zdobione krzesło w kształcie liry obite żółtym jedwabiem. Wyglądało delikatnie i nie sądziłem, że mnie utrzyma, ale i tak usiadłem. Clare wróciła do fortepianu i usiadła na stołku, zakładając nogę na nogę pod suknią i opierając rękę na kłapie. Plecy trzymała bardzo prosto. Dotychczas nie zwróciłem uwagi, jak długą i smukłą ma

szyję. Migoczące brylanty na szyi przypominały mi miejskie światła, na które patrzyłem wcześniej przez okno biura, czekając na jej telefon.

– Widziałem się z Petersonem.

Te słowa wywołały reakcję. Raptownie rzuciła się do przodu, jakby chciała zerwać się ze stołka; palce lewej dłoni zacisnęła na klapie fortepianu. W szeroko otwartych czarnych oczach błysnęło gorączkowe światło.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – spytała zduszonym głosem.

– Właśnie to zrobiłem.

– Mam na myśli wcześniej. Kiedy się z nim widziałeś?

– Dzisiaj, około południa.

– Gdzie?

– Nieważne gdzie. Zadzwoił do mnie, chciał się spotkać, więc się spotkaliśmy.

– Ale... – Zamrugła szybko i zadrżała cała aż po czubek pantofla wyzierającego spod niebieskiej sukni. – Co on powiedział? Czy... wyjaśnił, dlaczego udawał zmarłego? Przecież nie może tak po prostu się zjawiać, dzwonić i mówić, że chcę się z tobą spotkać. Powiedz mi. Powiedz.

Sięgnąłem po papierośnicę. Nie spytałem, czy ma coś przeciwko mojemu paleniu. Nie chciałem być aż tak uprzejmy.

– Peterson nigdy nie był twoim kochankiem, prawda? Sprzedałaś mi tylko ten kit, żeby uzasadnić zlecenie mi poszukiwań. – Clare zaczęła coś mówić, ale nie dopuściłem jej do głosu. – Nie kłam. Prawda jest taka, że mam to gdzieś. I tak nie wierzyłem w bajkę pod tytułem „Proszę, znajdź mojego zaginionego chłopaka”. Wystarczył mi twój opis Petersona, by wiedzieć, że nawet byś na niego nie spojrziała.

– To czemu udawałeś, że mi wierzysz?

– Z ciekawości. Poza tym, szczerze mówiąc, nie uśmiechała mi się perspektywa, że wyjdiesz z mojego biura i nigdy więcej cię nie zobaczę. Żałosne, co?

Oblała się rumieńcem. To mną wstrząsnęło i zacząłem się zastanawiać, czy powinienem nieco zrewidować surowe wnioski co do jej charakteru wyciągnięte po rozmowie z Petersonem. Może była kobietą, którą mężczyźni łatwo owijali sobie wokół palca. Kim byłem, żeby ją osądzać? Potem jednak przypomniałem sobie o wszystkich kłamstwach, które od niej usłyszałem, i o tym, czego nie usłyszałem; pomyślałem o tym, jak zwodziła mnie od początku, i gniew wrócił.

Clare siedziała z twarzą zwróconą w lewo, prezentując nienaganny profil. Możesz nienawidzić kobiety, wiedząc jednocześnie, że wystarczy, by cię przywołała, a rzucisz się jej do stóp i obsypiesz buty pocałunkami.

– Proszę, powiedz, co się stało, kiedy się z nim spotkałeś.

– Miał walizkę. Chciał, żebym dostarczył ją niejakiemu Lou Hendricksowi. Mówi ci coś to nazwisko?

– Chyba je słyszałam. – Lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Pewnie, że słyszałaś, cholera. To jemu Peterson miał dostarczyć narkotyki.

– Jakie narkotyki?

Roześmiałem się. Wciąż odwracała wzrok, ciągle raczyła mnie profilem przebijającym profil Kleopatry.

– Daj spokój – rzuciłem. – Możesz przestać udawać. Jest po wszystkim. Nic nie stracisz, jeśli będziesz szczerą, chyba że zapomniałaś, jak to się robi.

– Nie musisz mnie obrażać.

– Nie muszę, ale sprawia mi to frajdę.

Wcześniej strząsałem popiół do dłoni. Clare wstała, wzięła z fortepianu dużą szklaną popielniczkę, podeszła i mi wręczyła. Przesypawszy popiół, odstawiłem popielniczkę na podłogę obok krzesła. Z kolejnym szelestem sukni Clare wróciła na stół. Chociaż byłem na nią wściekły jak diabli, bolało mnie, że właśnie utraciłem ten drobny fragmencik jej istoty, który, na krótką chwilę, pozwoliła mi uważać za swoją własność.

– Powiedz mi coś – poprosiłem. – Czy to wszystko była gra?

Spostrzegłem, że zasłony w oknie poruszyły się, choć nie czułem nawet najlżejszego powiewu.

– Jak to: wszystko?

– Wiesz, co mam na myśli.

Spojrzała na swoje dłonie ściśnięte na kolanach. Myślałem o lampie w róże przy moim łóżku, o tym, jak jęczała w moich ramionach, o trzepoczących powiekach i paznokciach wbitych w moje ramię.

– Nie – odpowiedziała tak cicho, że ledwie usłyszałem. – Nie wszystko.

Spojrzała mi w oczy błagalnie, przytknęła palec do ust i szybko pokręciła głową. Patrzyłem na nią pustym wzrokiem. Nie musiała się obawiać. Nie zamierzałem wypowiadać słów, o które prosiła, bym zachował dla siebie. Po co dokładać szkód do tych, które już zostały wyrządzone? Zresztą, rozpaczliwie chciałem wierzyć, że poszła ze mną do łóżka, bo chciała; że nie była to kolejna rzecz, jaką zrobiła dla człowieka, którego naprawdę kochała.

Zasłony znowu się poruszyły.

– Prosi pani o wiele, pani Cavendish – powiedziałem dostatecznie głośno, by wszyscy w pokoju mogli usłyszeć. Clare przytaknęła i znów spuściła głowę. Zdusiłem papierosa w popielniczce na podłodze i wstałem.

– Dobra, Terry! – zawołałem. – Możesz wyjść. Zabawa skończona.

Początkowo nic się nie wydarzyło, tylko Clare Cavendish wydała zabawny zduszony pisk, jakby coś ją użądliło. Potem tajemniczo poruszające się zasłony rozchyliły się i do pokoju wkroczył człowiek, którego znałem jako Terry’ego Lennox, z tym swoim chłopięcym, trochę nieśmiałym uśmiechem, który tak dobrze pamiętałem. Terry miał na sobie ciemny dwurzędowy garnitur i niebieską muchę. Wysoki,

szczupły i elegancki, tym bardziej że wydawał się tego nieświadomy. Miał ciemne włosy i schludne wąsy.

Tknęło mnie, że nigdy nie widziałem jego prawdziwej twarzy. Kiedy poznałem go kilka lat wcześniej, miał siwe włosy, a prawy policzek i szczęka zastygły w długich, cienkich bliznach. Podczas wojny dostał się pod ostrzał moździerzowy, potem wpadł w ręce Niemców, którzy pozszywali go byle jak. Przynajmniej taką bajkę opowiadał. Później, kiedy jego żona została zamordowana i wydawało się, że oskarżą o to Terry'ego, uciekł do Meksyku – mogę dodać, że przy mojej pomocy – gdzie sfingował samobójstwo. Dzięki operacji plastycznej, tym razem kosztownej i starannej, przeobraził się w Suramericano. W nowym wydaniu widziałem go raz, potem zniknął z mojego życia. Teraz wrócił.

– Cześć, stary – przywitał mnie Terry. – Poczęstowałbyś mnie papierosem? Zapach dymu obudził we mnie nagły głód.

Jedno musiałem mu przyznać: kto inny potrafiłby pół godziny kryć się za zasłoną, a potem wyjść, opanowany i autoironiczny jak Cary Grant? Podszedłem, wyjmując papierośnicę, otworzyłem kciukiem i podsunąłem Terry'emu.

– Proszę – powiedziałem. – Rzuciłeś czy co?

– Tak – odparł, wziął papierosa i z upodobaniem pokręcił w palcach. – Palenie mi szkodziło. – Położył dłoń na piersiach. – Tamtejsze suche powietrze mi nie służy.

Czyż to nie dziwne, że nawet w takiej chwili ludzie uciekają się do błałych rozmów? Clare, z dłonią na ustach, nadal siedziała przy fortepianie. Nawet nie odwróciła się, by spojrzeć na Terry'ego. Nie musiała.

Podąłem mu ogień, a Terry schylił się do zapałki.

– Jak minął lot? – spytałem. – Przyleciałeś z Acapulco?

– Nie. Akurat byłem w Baja na wakacjach, kiedy Clare zadzwoniła. Udało mi się złapać lokalny samolot do opylania pól, który zabrał mnie

do Tijuany, skąd miałem lot Mexican Airlines. To był DC-8. Tak mocno ścisnąłem fotel, że wciąż nie mam czucia w rękach.

Terry zrobił swoją starą sztuczkę: głęboko zaciągnął się dymem, na sekundę pozwolił mu zawisnąć nad dolną wargą i dopiero potem wciągnął go do płuc.

– Och – westchnął. – To jest naprawdę dobre. – Z głową przekrzywioną w bok przyjrzał mi się krytycznie. – Marnie wyglądasz, Phil. Cała ta historia z Nico dała ci się we znaki... Przykro mi, naprawdę.

Mówił szczerze. Cały Terry. Mógł ci zwędzić portfel, walnąć cię, zdeptać, a po chwili pomagał ci wstać, otrzepywał i szczerze przeproszał. A ty mu wierzyłeś. Mało tego, pytałeś, czy dobrze się czuje i czy nie nadwerężył sobie ręki trzymaniem ciężkiego rewolweru, którym mierzył w ciebie, przeszukując ci kieszenie. Czy jestem niesprawiedliwy? Może odrobinę. Dawno temu, gdy wydawało mi się, że go znam, był dość uczciwy. Miał słabą głowę, pieniądze się go nie trzymały, zawsze był problem z jakąś kobietą, ale nie pamiętam, żeby był poważnie nieuczciwy. Ten ostatni element uległ zmianie.

– Jak się miewa Menendez? – spytałem.

– Och, znasz Mendy'ego – odparł Terry z kwaśnym uśmiechem. – Jest jak kot, co zawsze spada na cztery łapy.

– Często go widzisz?

– Jesteśmy w kontakcie. Jak wiesz, sporo mu zawdzięczam.

Owszem, wiedziałem. To właśnie Menendez, i jeszcze jeden dawny kumpel wojenny Terry'ego, Randy Starr, pomogli mu zniknąć i zyskać nową tożsamość po tak zwanym samobójstwie w Otatoclán. Ci trzej siedzieli we Francji w jakiejś norze, kiedy spadł pocisk moździerzowy, a Terry uratował im życie, bo chwycił pocisk, wybiegł i cisnął w powietrze jak skrzydłowy wykonujący rzut życia. W każdym razie tak brzmiała oficjalna wersja. Jeśli chodzi o przygody Terry'ego, nigdy nie wiedziałem, w co wierzyć, i nadal nie wiem. Na przykład później dowiedziałem się, że, wbrew temu, co twierdził, nie jest Terryem

Lennoxem z Salt Lake City, ale Kanadyjczykiem, Paulem Marstonem z Montrealu. Ale kim jeszcze mógł być wcześniej? I kim miał zostać później, kiedy znów go spotkam, o ile to nastąpi? Ile warstw ma cebula?

– Menda działa w Acapulco, tak? – spytałem. – Ty też tam siedzisz?

– Tak. To miłe miasto, nad oceanem.

– Jak się teraz nazywasz? Wyleciało mi z głowy.

– Maioranos – odparł potulnie. – Cisco Maioranos.

– Kolejna przykrywka. Nie pasuje do ciebie, Terry. Sądziłbym...

– Na miłość boską! – zawołała nagle Clare, zrywając się od fortepianu, i ruszyła na nas z twarzą pobladłą z wściekłości. – Zamierzacie tu stać całą noc i gawędzić? To groteskowe! Jesteście jak dwóch okropnych chłopców, którzy coś zbroili i uszło im to na sucho.

Obaj odwróciliśmy się do niej. Chyba zapomnieliśmy o jej obecności.

– Spokojnie, staruszko. – Miało to zabrzmieć lekko, ale niezbyt mu wyszło. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi i nadrabiamy zaległości. – Mrugnął do mnie. – Prawda, Phil?

Clare zamierzała się odezwać, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że ma jeszcze sporo do powiedzenia, ale rozległo się delikatne pukanie, drzwi uchyliły się i ukazało się dziwaczne zjawisko. Była to głowa o twarzy białej jak maska aktora, no, z włosami zebranymi w ścisłą siateczkę. Cała nasza trójka wpatrywała się w głowę, która powiedziała:

– Szukałam książki w bibliotece, kiedy usłyszałam głosy. Nie macie łóżek, żeby się położyć?

Do pokoju weszła matka Clare w różowym wełnianym szlafroku i różowych papuciach z różowymi pomponami. Biała substancja na twarzy była maseczką piękności. Patrzące z niej oczy miały zaczerwienione obwódki; kolor ust przywodził na myśl surowy stek.

– Och, mamó – powiedziała Clare z desperacją, przykładając dłoń do czoła. – Proszę, wracaj do łóżka.

Pani Langrishe zbyła córkę i zatrzasnęła za sobą drzwi. Marszcząc czoło, patrzyła na Terry'ego.

– Kto to jest, jeśli wolno spytać?

Terry bez wahania ruszył do niej w lansadach i z uśmiechem wyciągnął rękę.

– Nazywam się Lennox, pani Langrishe. Chyba się nie spotkaliśmy.

Przyglądała mu się przez chwilę, próbując sobie przypomnieć, wreszcie się uśmiechnęła. Nikt, ani stary, ani młody, nie mógł się oprzeć, kiedy Terry częstował go wdziękiem jak perfumami z flakonika. Matka Clare ujęła oburącz jego dłoń.

– Jesteś przyjacielem Richarda? – spytała.

– Hm... – Terry się zawahał. – Tak, chyba można tak powiedzieć.

Zerknął na kanapę, a matka Langrishe podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– No proszę, oto i on. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i łagodniej. – Boże ty mój, spójrzcie na niego, śpi jak dziecko. – Popatrzyła na Clare, a rana jej ust stężała. – A co ty się tak wystroiłaś? Jest środek nocy.

– Proszę, mamó, wracaj do łóżka – powtórzyła Clare. – Wiesz, że rano spotykamy się z ludźmi z Bloomingdale's. Będziesz wykończona.

– Dajże mi święty spokój! – warknęła matka, po czym zwróciła się do Terry'ego z szelmowskim błyskiem w oku. – Ty i Richard daliście w gaz, co? Ten biedak nie powinien pić, alkohol od razu uderza mu do głowy. – Ponownie spojrzała pobłaźliwie na postać rozwaloną na sofie. – To okropny człowiek, o tak. – Cavendish, zupełnie jakby ją usłyszał, poruszył się we śnie i gromko zachrapał. Starsza pani zaskrzeczała rozkosznym śmiechem. – Tylko posłuchajcie! To kawał drania.

Wtedy zauważyła moją obecność.

– Pamiętam cię – rzuciła, marszcząc brwi, i wycelowała palec w moją pierś. – Ty jesteś... jak ci tam, detektyw. – Wykrzywiła wargi w chytrym, złośliwym uśmiešku; na białej masce po obu stronach ust pojawiły się zmarszczki i przez chwilę wyglądała jak kłown. – Znalazłeś perły wielmożnej pani? – zagruchała cicho. – Dlatego tu jesteś?

– Jeszcze ich nie znalazłem, ale jestem na tropie – odparłem.

Uśmiech kłowna momentalnie zniknął; pani Langrishe ponownie wycelowała we mnie palec, tym razem gniewnie drżący.

– Nie wyśmiewaj się ze mnie, bracie – wychrypiała.

– Pani Langrishe – wtrącił się gładko Terry. – Clare chyba ma rację. Myślę, że powinna pani wrócić do łóżka. Sen przywraca urodę.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy. Przypuszczalnie miała w życiu do czynienia ze zbyt wieloma wygadanyymi facetami w rodzaju Terry’ego, by dać się nabrać na jego urok.

Clare podeszła i delikatnie położyła dłoń na ramieniu matki.

– Chodź, mammo, proszę. Pan Marlowe i Terry są starymi przyjaciółmi. Dlatego ich dziś zaprosiłam. To takie spotkanie po latach.

Widziałem, że stara sroka wie, że ją okłamują, ale pewnie była zmęczona, więc z radością przyjęła kłamstwo jako pretekst, by się ulotnić. Jeszcze raz uśmiechnęła się słodko do Terry’ego, spojrzała na mnie, marszcząc brwi, po czym pozwoliła córce odprowadzić się do drzwi. Clare obejrzała się na mnie i Terry’ego. Zastanawiałem się, czy pewnego dnia będzie wyglądała jak matka.

Po wyjściu kobiet Terry wypuścił powietrze przez ściągnięte usta i zaśmiał się cicho.

– Niezła dama – rzucił. – Napędziła mi stracha.

– Nie wyglądałeś na szczególnie przestraszonego – zauważyłem.

– Och, znasz mnie. Jestem mistrzem ukrywania uczuć. – Podszedł do miejsca, gdzie wcześniej siedziałem, schylił się, zgasił papierosa w popielniczce na podłodze, a potem wsunął ręce do kieszeni, zbliżył się do kanapy i popatrzył na Cavendisha. Mąż Clare wyglądał jak istna karykatura pijaka.

– Biedny Dick – powiedział Terry. – Matka Clare ma rację. Nie powinien pić.

– Znałeś go? – spytałem. – To znaczy wcześniej?

– O, tak. On i Clare przyjechali do Meksyku. Wszyscy się znaliśmy: Nico, nasz przyjaciel Mendy, kilka innych osób. Wiezorami chodziliśmy

na koktajle do baru nad morzem. Ładne miejsce. – Zerknął na mnie przez ramię. – Kiedyś powinieneś wpaść. Przydałoby ci się trochę słońca i relaksu. Za bardzo się zajeżdżasz, Phil. Zawsze tak było.

Nazajutrz po tym, jak zamordowano jego żonę, zawiozłem Terry'ego na lotnisko w Tijuanie, skąd poleciał na południe. Gdy wróciłem, czekał na mnie Joe Green. Wiedzieli, że Terry dał dyla, a ja mu w tym pomogłem. Szef Greena, osiłek nazwiskiem Gregorius, dał mi wycisk, odsiedziałem parę nocy w chłodni, w końcu mnie wypuścili, gdy dowiedzieli się o jakże wygodnym samobójstwie Terry'ego. Wtedy zarówno moje życie, jak i reputacja zawisły na włosku. Tak, Terry był moim dłużnikiem.

Odszedł od kanapy i stanął przede mną, wciąż z rękami w kieszeniach. Uśmiechał się tak, jakby chciał mi się przypochlebić.

– Przyniosłeś może walizkę? – spytał. – Domyślam się, że to z tego powodu chciał się z tobą spotkać: żeby ci ją oddać. Nico nigdy nie był wytrwały. Zbyt łatwo oblatuje go strach. Muszę przyznać, że zawsze trochę nim pogardzałem.

– Ale nie na tyle, by przestać go wykorzystywać jako swojego kuriera.

– Mojego kuriera? – Otworzył szerzej oczy. – Stary, chyba nie sądzisz, że w tym siedzę? To dla mnie zbyt brudny interes.

– Kiedyś bym ci uwierzył – powiedziałem. – Ale zmieniłeś się, Terry. Poznają to po twoich oczach.

– Mylisz się, Phil. – Powoli pokręcił głową. – Pewnie, że się zmieniłem, musiałem. Życie na południu nie składa się z samej muzyki gitarowej, picia margarity i jedzenia mole z kurczaka. Musiałem robić rzeczy, o jakich tutaj by mi się nie śniło.

– Chcesz powiedzieć, że przepuściłeś pieniądze odziedziczone po Sylvii? Czyli pieniądze, które dostała od Harlana Pottera. Musiało być ich mnóstwo.

Znowu ściągnął usta w ciup, chyba po to, by stłumić uśmiech.

– Powiedzmy, że dokonałem pewnych błędnych inwestycji.

– Z Mendym Menendezem?

Nie odpowiedział, ale poznałem, że trafiłem.

– Czyli wiesz kupę szmalu Mendy’emu. Dlatego przysłałeś do mnie Clare, tak? W imieniu Mendy’ego?

Terry odwrócił się i oddalił na sztywnych nogach, ze wzrokiem wbitym w podłogę, potem zawrócił i znowu stanął przede mną.

– Już powiedziałem, znasz Mendy’ego. On nie odpuszcza, jeśli chodzi o pieniądze, długi, tego rodzaju rzeczy.

– Sądziłem, że jesteś jego kumplem i bohaterem – powiedziałem. – Przecież uratowałeś Mendy’ego i Randy’ego Starra od krwawej śmierci na polu bitwy.

– Na pomnikach bohaterów z czasem pojawiają się skazy. – Terry zachichotał. – Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, że ludzie męczą się długotrwałą wdzięcznością. Zaczyna ich drażnić to, że mają wobec ciebie dług.

Zastanowiłem się nad jego słowami. Terry Lennox miał rację. Zawsze mnie dziwiło, że Mendy w ogóle mu pomógł. Podejrzewałem, że Terry musi mieć na niego haka. Przyszło mi na myśl, żeby zapytać, co to było, ale po chwili uznałem, że mało mnie to interesuje.

– Oczywiście Clare z radością by mi pomogła – ciągnął Terry. – Jak wiesz, ma mnóstwo pieniędzy. Chciała mi trochę dać, żebym spłacił Mendy’ego, ale... – Uśmiechnął się przeproszająco. – Jeszcze zostały mi resztki honoru.

– A co z tymi dwoma Meksykanami? – spytałem.

– Tak, to była kiepska sprawa – przyznał i między brwiami zrobiła mu się zmarszczka. – Nie poznałem siostry Nico, ale jestem pewien, że nie zasłużyła na śmierć.

– Była w zмовie z bratem – wtrąciłem. – Zidentyfikowała ciało.

– Tak, ale mimo wszystko... Zginąć w ten sposób. – Terry się skrzywił. – Przysięgam, że nie miałem pojęcia, że Mendy posyła Meksykanów do Nico. Sądziłem, że poczeka, aż Clare pomówi z tobą, znajdziesz Nico, co

niewątpliwie byś zrobił, gdyby tylko Mendy poczekał nieco dłużej. Niestety, on jest mieszanką niecierpliwości i nieufności. Kazał więc tym dwóm goryłom odnaleźć Nico. Smutna pomyłka.

– Oczywiście nikt, ani ty, ani Mendy, ani nikt inny nie dowiedziałby się o numerze Nico ze zniknięciem, gdyby Clare nie zauważyła go na ulicy San Francisco – powiedziałem.

– To prawda. Wiesz... – Terry okręcił się na pięcie i znowu przeszedł się po pokoju na sztywnych nogach, tym razem z dłońmi za plecami. – Żałuję, że go zauważyła. Gdyby nie to, wszystko ułożyłoby się prościej.

– Pewnie masz rację, ale czy to była jej wina? Clare nie powiedziała Mendy’emu, że widziała Nico, prawda? Domyślam się natomiast, że powiedziała tobie, a ty powtórzyłeś jemu. Wtedy lawina ruszyła. Mam rację?

– Nie mogę cię okłamywać. – Te słowa wywołały mój śmiech, a Terry wyglądał na szczerze urażonego. – Nie okłamuję cię teraz. Owszem, powiedziałem Mendy’emu. Wiem, nie powinienem był tego robić. Ale, jak już mówiłem, mam powody, żeby być mu wdzięczny...

– Poza tym chciałeś mu się przypodobać, przynosząc atrakcyjną wiadomość, że Peterson sfingował swoją śmierć i wciąż przebywa na wolności z walizką Mendy’ego pełną prochów.

– Właśnie, walizka – rzucił Terry.

– Pewnego dnia dałeś mi ją na przechowanie.

– Zgadza się. Czy to było tej nocy, kiedy zawiozłeś mnie do Tijuany po śmierci biednej Sylvii? Nie pamiętam. Jak spotkałeś Petersona, oczywiście poznałeś walizkę.

– Trzeba przyznać, że ma bogate życie.

– To angielska robota. Widzisz, Anglicy potrafią robić trwałe rzeczy.

Przestał chodzić po pokoju, usiadł przy fortepianie, założył nogę na nogę i podparł dłonią podbródek w pozycji *Myśliciela* Rodina. Nie znałem człowieka, który miał chudsze nogi niż Terry. Przypominał bociana.

Zamierzał coś powiedzieć, ale w tej chwili Richard Cavendish usiadł na kanapie i spojrzał na nas, oblizując wargi i mrugając.

– Co jest grane? – wychrypiał.

– Wszystko w porządku, Dick – odparł Terry, zerkając na niego pobieżnie. – Śpij dalej.

– No dobra – mruknął Cavendish i znów opadł na kanapę, rozkładając kończyny. Już po chwili cicho chrapał.

Terry poklepywał się po kieszeniach. Nie miałem pojęcia, co spodziewał się tam znaleźć.

– Poprosiłbym cię o jeszcze jednego papierosa, ale nie chcę znowu się rozpalić. – Zerknął na mnie z ukosa. – Zdradzisz mi, gdzie jest ta walizka?

– Jasne. Leży w schowku na dworcu Union, a kluczyk w kopercie wysłałem do kumpla... swego rodzaju kumpla... Nazywa się Bernie Ohls. To zastępca wydziału zabójstw w biurze szeryfa.

W pokoju zapadła całkowita cisza. Terry siedział, zwinięty w supeł, z nogą na nodze, jedną ręką pod brodą, drugą podpierając łokieć. Podeszedłem do okna, stanąłem w przerwie między zasłonami i wyjrzałem. Nie było tam nic do oglądania, tylko ciemność i moje odbicie na szybie.

– To chyba nie było rozsądne posunięcie, stary. Postąpiłeś bardzo nierozsądnie – stwierdził Terry. W jego głosie nie było gniewu ani groźby. Mówił ze smutkiem, tak, był zdecydowanie zasmucony.

Kiedy odezwał się ponownie, ton głosu uległ zmianie.

– A, to ty. Co tam trzymasz?

Odwróciłem się od okna. Terry ciągle siedział przy fortepianie, plecami do mnie. Za nim, w otwartych drzwiach, stał brat Clare, Everett, z włosami opadającymi na czoło. Nie wyglądał o wiele lepiej niż wtedy, gdy widziałem go ostatnio, ale przynajmniej był przytomny. Ubrany w piżamę i jedwabny szlafrok w smoki. Na nogach miał mokasyny, które dziwnie komponowały się z piżamą, w dłoni trzymał pistolet.

Nieduży, przypuszczalnie colt. Dostrzegłem rękojeść wysadzaną macicą perłową. Pistolet nie wyglądał poważnie, ale każda broń, nawet najmniejsza, może zrobić dziurę w najtwardszym sercu.

Gdy wyłoniłem się zza zasłon, Everett spojrział na mnie niepewnie. Mnie się tu nie spodziewał.

– Cześć, Everett – powiedziałem. – Obudziliśmy cię? Twoja matka była tu przed chwilą.

Chłopak wpatrywał się we mnie. Z powodu łagodnych rysów twarzy wyglądał młodziej niż na swój wiek. Poza tym matka pewnie go rozpieszczała i chroniła przed okrutnym światem. Przynajmniej tak się jej wydawało.

– Kim jesteś? – zapytał. Wokół zapadniętych oczu miał sine obwódki.

– Nazywam się Marlowe. Spotkaliśmy się już parę razy. Za pierwszym razem byłeś przytomny, rozmawialiśmy na trawniku, pamiętasz? Wziąłeś mnie za szofera. Za drugim nie zdawałeś sobie sprawy z mojej obecności.

– O czym ty gadasz?

– Spytałeś, kim jestem – odparłem. – Właśnie ci wyjaśniłem.

Zmusiłem się do uśmiechu. Everett Edwards Trzeci mógł być maminsynkiem, jak by go nazwał Wilber Canning, był też jednak heroinistą z pistoletem w dłoni.

– A, tak – rzucił z niesmakiem. – Już sobie przypominam. To ty szukałeś wtedy Clare. Jakiś detektyw, prawda? – Nagle zachichotał. – Detektyw! Ale numer! Ja mam broń, a ty jesteś detektywem. Numer nie z tej ziemi.

Potem Everett skierował uwagę na Terry'ego.

– Dlaczego tu jesteś? – spytał, już nie chichocząc.

– Cóż, jestem jakby przyjacielem rodziny, Rett – odparł Terry po namyśle. – Znasz mnie.

Widziałem jedynie plecy i tył jego głowy, ale sprawiał wrażenie dość spokojnego człowieka. To mnie uradowało. Przez następne kilka minut

należało zachować maksymalny spokój.

– Pamiętasz, jak świetnie bawiliśmy się w Acapulco? – ciągnął. – Pamiętasz, jak nauczyłem się jeździć na nartach wodnych? Nieźle było, co? Potem kolacja w tej knajpie na plaży. Nazywa się Pedros. Ciągłe tam jest. Często tam wstępuję, a wtedy myślę o tobie i o tym, jak dobrze się bawiliśmy.

– Ty skurwielu – wycedził cicho Everett. – To przez ciebie wpadłem w herę. Ty pierwszy mi ją dałeś. – Dłoń mu drżała, a wraz z nią pistolet. To nie była szczęśliwa okoliczność. Drżąca dłoń może łatwo wystrzelić. Widywałem już takie rzeczy. Everettowi zbierało się na płacz, ale był to płacz wściekłości. – To ty.

– Nie popadaj w melodramat, Rett. – Terry się zaśmiał. – W tamtych czasach byłeś niezmiernie nerwowym chłopcem, uznałem więc, że odrobina proszku szczęścia ci pomoże. Przykro mi, jeśli się myliłem.

– Jak śmiesz tu przychodzić? – Dłoń Everetta zaczęła jeszcze bardziej drżeć, a lufa pistoletu ziała tak, że zacisnąłem zęby.

– Posłuchaj, Rett, może oddasz mi broń? – powiedziałem.

Chłopak patrzył na mnie przez chwilę, po czym zaniósł się piskliwym śmiechem.

– To detektywi naprawdę tak mówią? – spytał. – Myślałem, że mówią tak tylko w filmach. – Zrobił komicznie poważną minę i odezwał się niskim głosem, nieco podobnym do mojego: – Może oddasz mi broń, Everett, zanim komuś stanie się krzywda? – Przewrócił oczami. – Nie rozumiesz, głupku, że komuś właśnie ma stać się krzywda? Nawet bardzo poważna krzywda. Prawda, Terry? Prawda, mój dawny towarzysz zabaw z Acapulco?

Właśnie wtedy Terry popełnił błąd. W podobnych sytuacjach zawsze tak się dzieje; ktoś robi niewłaściwy, głupi ruch, po którym rozpętuje się piekło. Terry zerwał się ze stołka przy fortepianie, skoczył jak pływak dający nura w falę, wylądował na brzuchu i chwycił szklaną popielniczkę z podłogi obok krzesła, na którym wcześniej siedziałem.

Zamierzał nią cisnąć w Everetta jak zabójczym dyskiem. Nie przewidział, że człowiek leżący na brzuchu nie może mocno rzucać. Poza tym Everett okazał się dla niego za szybki. Terry dopiero cofał rękę, gdy chłopak zrobił krok w przód, wyprostował rękę z pistoletem, wycelował w głowę Terry'ego i nacisnął spust.

Kula trafiła w czoło, tuż poniżej linii włosów. Przez chwilę Terry trwał w tej pozycji na brzuchu, z popielniczką w jednej dłoni, drugą próbując się dźwignąć z podłogi. Ale już nigdy nie miał wstać. W głowie miał dwa otwory: jeden w czole, drugi, większy, z tyłu, u podstawy czaszki. Z tej drugiej dziury wyciekała masa krwi oraz szara lepka substancja. Głowa Terry'ego opadła i uderzył twarzą o dywan.

Everett wyglądał tak, jakby zamierzał strzelić ponownie, ale dopadłem go, zanim zdążył to zrobić. Bez większego wysiłku odebrałem mu pistolet. Praktycznie mi go oddał. Zwiotczał jak dziewczyna i stał, z drżącą dolną wargą, wpatrzony w krwawiącego Terry'ego na podłodze. Prawa stopa Terry'ego drgnęła kilkakrotnie, potem znieruchomiała. Jak przy wcześniejszych okazjach, zauważyłem, że proch pachnie podobnie do smażonego boczku.

Za Everettem znów otworzyły się drzwi i tym razem weszła Clare. Stojąc w progu, ogarnęła scenę z wyrazem przerażenia i niedowierzania. Potem postąpiła w przód, odepchnęła brata i opadła na kolana. Uniosła głowę Terry'ego i położyła sobie na kolanach. Milczała. Nawet nie płakała. Teraz widziałem wyraźnie, że naprawdę kochała tego człowieka. Ślepy by zauważył.

Podniosła wzrok na mnie, na pistolet w mojej dłoni.

– Czy ty...?

Pokręciłem głową.

Odwróciła się do brata.

– To ty? – Everett unikał jej wzroku. – Nigdy ci nie wybaczę – oświadczyła Clare spokojnym, niemal formalnym tonem. – Nigdy ci nie wybaczę. Mam nadzieję, że umrzesz. Mam nadzieję, że niedługo

przedawkujesz, wpadniesz w śpiączkę i nigdy się nie obudzisz. Zawsze cię nienawidziłam, a teraz wiem dlaczego. Wiedziałam, że pewnego dnia zrujnujesz mi życie.

Everett, nadal nie patrząc na siostrę, milczał. W końcu nie pozostało wiele do powiedzenia.

Za naszymi plecami Richard Cavendish wstał z kanapy i potykając się, podszedł bliżej. Na widok Terry'go i jasnej krwi plamiącej ciemnoniebieską suknię swojej żony przystanął. Przez chwilę nic się nie działo, potem Cavendish nagle się zaśmiał.

– No, no, trafiony, zatopiony – rzucił i znowu się zaśmiał. Chyba sądził, że to wszystko mu się śni. Podszedł jeszcze bliżej, przestąpił ciało Terry'ego, poklepał żonę po głowie, wreszcie potoczył się w stronę drzwi i znikł.

W końcu Clare zaczęła płakać. Pomyślałem, żeby do niej podejść, ale niby co miałbym zrobić? Było za późno, bym mógł zrobić cokolwiek.

25

Nie zadzwoniłem do Berniego. Uznałem, że na pewien czas miał mnie dosyć; ja z pewnością miałem go dość. Nie chciałem słuchać, jak znowu wrzeszczy na mnie przez telefon, wyzywa i radzi robić rzeczy, których nie wykonałby największy akrobata. Zamiast tego zadzwoniłem do Joego Greena, starego dobrego Joego, który może wypić z tobą piwo, pożartować, pogadać o meczu, Joego, któremu gacie kleją się do krocza w upalne dni.

Joe jak zwykle był na dyżurze, a dwadzieścia minut po moim telefonie zjawił się w Langrishe Lodge z paroma wozami patrolowymi na sygnale. Everett Edwards leżał zwinięty w kłębek na kanapie opuszczonej przez pijanego szwagra. Ronił gorzkie łzy, ale najwyraźniej nie były to łzy żalu, lecz frustracji, choć nie miałem pojęcia, co mogło stanowić jej powód. Może uważał, że Terry zginął za szybko, za mało cierpiał. Może też czuł zawód z powodu banalności tego, co się stało; marzył o wielkiej scenie z mieczami, przemowami i masą trupów – słowem, o scenie z innego Marlowe’a.

Joe stanął na środku pokoju i powiódł dokoła zaniepokojonym wzrokiem. To nie był jego żywioł. Zazwyczaj wbiegał na schody czynszówek, stawiał pod ścianą drobnych bandziorów w przepoconych podkoszulkach, wpychał im w usta lufy trzydziestkiósemki i kazał im przestać się drzeć. To był świat Joego. Tutaj miał do czynienia z zabawą towarzyską w wyższych sferach, która najwyraźniej potoczyła się bardzo źle.

Kucnął, przyjrzał się ranom postrzałowym w czaszce Terry'ego, zerknął na Everetta Edwardsa skulonego na kanapie, wreszcie na mnie.

– Jezu Chryste, Phil – powiedział cicho. – Co to ma być, do cholery?

Wyciągnąłem przed siebie ręce i wzruszyłem ramionami. Od czego niby miałem zacząć?

Joe wstał, stękając, i zwrócił się do Clare Cavendish. Z przerażoną twarzą, zakrwawionymi dłońmi opuszczonymi po bokach, z niebieską suknią zbroczoną krwią, była postacią ze starszej sztuki, napisanej dawno temu w starożytnej Grecji. Kiedy Joe nazwał ją pani Langrishe, poprawiłem go:

– Joe, pani nazwisko brzmi Cavendish. Clare Cavendish.

Do zszokowanej Clare najwyraźniej nic nie docierało. Stała jak posąg. Jej brat na kanapie załkał soczyście. Joe znów popatrzył na mnie, kręcąc głową. Był całkiem zagubiony.

W końcu przekazał ją jednemu ze swoich ludzi, barczystemu irlandzkiemu osiłkowi z piegami i marchewkoworudą czupryną, który poczęstował Clare uśmiechem Barry'ego Fitzgeralda i zapewnił, że o nic nie musi się martwić. Znalazł gdzieś koc, okrył nim ramiona Clare i troskliwie wyprowadził ją z pokoju. Bez najmniejszego oporu popłynęła do drzwi w zakrwawionej sukni, jak zwykle pełna wdzięku, z prostymi plecami, bez wyrazu, ukazując nam swój uroczy profil.

Everettowi założyli kajdanki i też go wyprowadzili, w piżamie i mokasynach. Nie patrzył na nikogo. Oczy miał zaczerwienione od płaczu, na policzkach widniały smarki. Zastanawiałem się, czy chłopak zdaje sobie sprawę, co miały mu przynieść najbliższe tygodnie i miesiące, nie mówiąc o latach, które miał spędzić w San Quentin. Chyba że matka kupi na tyle sprytnego i twardego adwokata, że wyciągnie Everetta przez lukę prawną, której nikomu nie przyszło do głowy zatkać. Nie pierwszy raz synowi zamożnej rodziny upiekłoby się zabójstwo.

Kiedy wyprowadzono jej syna i córkę, do pokoju wkroczyła matka Langrishe we własnej osobie, w siateczce na włosach, z twarzą w białej mazi. Spojrzała na leżące na podłodze ciało, które ktoś przykrył kocem, ale chyba nie wiedziała, kto to jest. Popatrzyła na mnie, potem na Joego. Nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Pani Langrishe była tylko smutną, starą, zagubioną kobietą.

Po wszystkim, gdy wozy patrolowe odjechały, Joe i ja stanęliśmy na żwirze obok jego samochodu i zapaliliśmy papierosa.

– Chryste, Phil – powiedział Joe. – Czy kiedykolwiek myślałeś o zmianie pracy?

– Myślę o tym nieustannie – odparłem. – Nieustannie.

– Wiesz, że będziesz musiał przyjechać na komendę i złożyć zeznanie.

– Tak, wiem. Ale posłuchaj, Joe, wyświadczy mi przysługę. Pozwól mi pojechać do domu i przespać się. Przyjadę do was jutro z samego rana.

– No, nie wiem, Phil. – Zafrasował się i potarł podbródek.

– Daję słowo: z samego rana.

– Och, dobra, to jedź.

– Prawdziwy z ciebie kumpel.

– Jestem zwykłym popychadłem – powiedział.

– Nie, Joe. – Rzuciłem niedopałek na żwir i zdeptałem. – To ja jestem popychadłem.

Pojechałem do domu, wziąłem prysznic, padłem na łóżko i przespałem resztę nocy. O siódmej rozległ się budzik. Jakoś się zwlokłem, wypilem parzącą kawę, zgodnie z obietnicą daną Greenowi pojechałem na komendę i złożyłem zeznania oficerowi dyżurnemu.

Nie powiedziałem wiele, ot tyle, by uszczęśliwić Joego i zadowolić sąd, gdy na wokandzie pojawi się sprawa *Stan Kalifornia przeciwko Everettowi Edwardsowi III*. Oczywiście wezwą mnie jako świadka, ale

nie miałem nic przeciwko temu. Martwiła mnie natomiast perspektywa zeznawania przed sądem i widoku Clare Cavendish siedzącej w pierwszym rzędzie, wpatrzonej w brata oskarżonego o zamordowanie jej kochanka. Ta perspektywa wcale mi się nie uśmiechała. Przypomniałem sobie ostrzeżenie matki Clare w kawiarni hotelu Ritz-Beverly, że w tej sprawie może ktoś ucierpieć. Wtedy odebrałem jej słowa jako wyraz niepokoju, że mogę skrzywdzić jej córkę, ale nie to miała na myśli. Starsza pani mówiła o mnie. To ja miałem zostać poraniony i zakończyć sprawę z bliźniami, co jakimś cudem wiedziała już wtedy. Trzeba było słuchać.

Gdy wyszedłem z komendy, oldsmobil stał w słońcu, a skwar unosił się z maski z niemal słyszalnym buczeniem. Kierownica pewnie będzie parzyć.

Myślicie, że powiem teraz, jak nazajutrz wstąpiłem do Victora i wychyliłem gimleta za pamięć drogiego przyjaciela. Nic podobnego nie zrobiłem. Terry, jakiego znałem, umarł znacznie wcześniej, niż Everett Edwards strzelił mu w głowę. Chociaż nie przyznałbym tego przed nim, Terry Lennox był dla mnie uosobieniem dżentelmena. Tak, pomimo gorzały, kobiet i kręcących się przy nim ludzi w rodzaju Mendy'ego Menendezza, mimo że w ostatecznym rozrachunku Terry miał na względzie wyłącznie własne dobro, był on, w pewien niepojęty sposób, człowiekiem honoru.

To był Terry Lennox, jakiego znałem, przynajmniej tak mi się wydawało. Co się z nim stało, co sprawiło, że przestał być przyzwoity, uczciwy, lojalny? Sam Terry obarczał winą wojnę; stukał się w pierś i mówił, że odkąd wrócił z frontu, wszystko w nim umarło. Nie kupowałem tego; takie tłumaczenie za bardzo zalatywało przeklętym romantyzmem. Może życie w słonecznym Meksyku, narty wodne, koktajle na plaży i rola chłopca na posyłki Mendy'ego Menendezza coś w nim zniszczyły; powierzchowny blichtr pozostał, ale metal pod spodem przeżarły kwas i rdza. Terry, jakiego znałem, nigdy nie

uzależniłby chłopaka takiego jak Everett Edwards od heroiny. Przede wszystkim nigdy dla własnej wygody nie skłoniłby kochającej go kobiety do uwiedzenia innego mężczyzny.

Ten ostatni element zdrady postanowiłem wykasować. Postanowiłem wierzyć, że Clare Cavendish padła mi w ramiona z własnej woli. Myślę o tej chwili, gdy Terry wciąż jeszcze stał za zasłoną; Clare ściszała głos, przykładając palec do ust, żebym przestał mówić o tym, jak spaliśmy ze sobą. Zresztą, nawet jeśli nie byłem mężczyzną, którego pragnęła, jeśli przespała się ze mną tylko po to, by skłonić mnie do poszukiwań Nico Petersona, postanowiłem wierzyć, że sama wpadła na ten pomysł, że Terry jej do tego nie nakłonił. W pewne rzeczy człowiek po prostu musi uwierzyć. Co ona mówiła? Zrób zakład Pascala. Cóż, dokładnie to zrobiłem. Nadal nie jestem pewien, o co Pascal się zakładał, ale chyba musiało to być coś ważnego.

Wysunąłem szufladę biurka, poszperałem, znalazłem stary rozkład lotów i zacząłem szukać połączeń do Paryża. Nie ma szansy, żebym tam poleciał, ale miło pomarzyć. Raz po raz przypomina mi się ta obrączka ślubna na dnie basenu w klubie Cahuilla i zastanawiam się, czy to jakieś ostrzeżenie.

W ramach gestów symbolicznych wzięłem z nocnego stolika lampę z kloszem w róże, zaniósłem za dom i wrzuciłem do pojemnika na śmieci. Potem wróciłem do środka i zapaliłem fajkę. Jeśli o mnie chodzi, to był koniec Clare Cavendish. Wkroczyła w moje życie, zmusiła, bym ją kochał – cóż, może nie zmusiła, ale wiedziała, co robi – a teraz odeszła.

Nie mogę powiedzieć, że nie tęskniłem za nią, że za nią nie tęsknię. Gdy taka uroda przelatuje przez palce, zawsze parzy. Wiem, że lepiej jest mi bez niej. Stale to sobie powtarzam. Wiem to, a pewnego dnia nawet uwierzę.

Tamtej nocy, gdy przyjechałem, grała na fortepianie dla Terry'ego. Granie dla człowieka, którego się kocha, chyba nie jest wulgarne.

Nigdy nie zapłaciła mi za to, do czego mnie wynajęła.

OD AUTORA

Wśród swoich zapisków Raymond Chandler przechowywał listę ewentualnych tytułów przyszłych powieści i opowiadań. Są wśród nich *The Diary of a Loud Check Suit*, *The Man with the Shredded Ear* oraz *Stop Screaming – It's Me*. Na tej liście znajduje się też *The Black-Eyed Blonde*.

We wszystkich powieściach o Philipie Marlowe autor traktował swobodnie topografię południowej Kalifornii, ja pozwoliłem sobie na to samo. Mimo to dbałość o pewne szczegóły była nieodzowna, a moja wiedza ograniczona. Dlatego polegałem na radach kwintetu informatorów, którzy doskonale znają ten rejon. Są to: Candice Bergen, Brian Siberell, Robert Bookman oraz moi agenci, Ed Victor i Goeffrey Sanford. Niniejszym wyrażam najgłębszą wdzięczność za ich wiedzę, szczodrość, cierpliwość i poczucie humoru. Szczególnie doceniam pieczołowitość i twórcze podejście Candice Bergen do tekstu; dzięki niej uniknąłem wielu wpadek. Przykro mi, że paw pojawił się tylko przelotnie.

Oto pozostali, którym pragnę gorąco podziękować: María Fasce Ferri, Rodrigo Fresan, Graham C. Greene, osoby z Estate of Raymond Chandler – dr Gregory Page, Maria Rejt, Fiona Ruane, John Sterling – oraz moja niezrównana redaktorka Bonnie Thompson.

Na koniec gorące podziękowania dla mojego brata, Vincenta Banville'a, który przedstawił mi Marlowe'a. Powieści kryminalne Vincenta pokazały mi drogę.

PRZYPISY

¹ Ripley's Wierzcie lub Nie! (ang. *Ripley's Believe It or Not!*) – seria książek, komiksów, filmów i audycji radiowych oraz sieć muzeów poświęcona wszystkim nietypowym, dziwnym i szokującym zjawiskom, stworzona przez Roberta Ripleya w 1918 roku.